



Na założenie albumu

wiersze, przekłady, opowiadania, fotografie, listy Tadeusza Chrzanowskiego



Na założenie albumu

wiersze, przekłady, opowiadania, fotografie, listy Tadeusza Chrzanowskiego

wstęp, wybór, opracowanie | Zbigniew Baran

O róży

¹
Wodyca ma imię knoću

Jróg kuliste ofody
zatr, mone nad zemię
knoćy ustajunę oddeł
twon wotrę przy siocheis
Śiels się nisko trony
oczekiwanię porę
myślicie zafon zapocy
myślicie otworę ^{zawon} kolory

Dnena budys kopujs
zielonej spokojni
roke się wota i tethu
za toby zewony matyl
poka nithe za nithe
mija ze chutę chwila
poka zielone łowu
korchnu

Wodyca ma imię: róza

O róży

Zbigniew Herbert

Tadeuszowi Chrzanowskiemu

1

Słodycz ma imię kwiatu –

Drżą kuliste ogrody
zatrzymane nad ziemią
westchnienie odwraca głowę
twarz wiatru przy sztachecie
ścielą się nisko trawy
oczekiwania pora
przyjście zagasi zapachy
przyjście otworzy kolory

drzewa budują kopułę
zielonego spokoju
róża cię woła i tęskni
za tobą zerwany motyl
pęka nitka za nitką
mija za chwilą chwila
pąku zielona larwo
rozchyl
słodycz ma imię: róża

Wybuch -
 z wnętrza wychoch
 chorągwie purpury
 kłębi niepełniacze
 trzeba zapachu
 na dźwięki motyli trobków
 obwołują spełnienie

koronę zawiła
 wirydone modlitwy
 obwody pełne rłok
 śnieżyste bęski obloków
 płonące kandelabry
 potrojne wieże mielenia
 promienie złamane na karytkach
 dno

bijące
~~Wiercho~~ iświła nieba
 okonstelacje płotków

wybuch –
z wnętrza wychodzą
chorążowie purpury
szeregi nieprzeliczone
trębacze zapachów
na długich motyliach trąbach
obwołują spełnienie

2

koronacje zawile
wirydarze modlitwy
obrzędy pełne złota
płonące kandelabry
potrójne wieże milczenia
promienie złamane na szczytach
dno –

o źródło nieba na ziemi
o konstelacje płatków

Nie pytaj, nie pyt róża pyta ją, ma się opowie
zapach robić myśli tuż ^{leżek} ~~leżek~~ minie się stała
kolone porządnie
kolone przesunęła powoli
buciemne kuliście słodkim
kierunki do wnętrza rordarta

3

Róża pochyla się
kolon ~~kolon~~ mała ramiona

opiera się na wiecie
e wień odchodzi ton

doremnie wzięte światli
nie zdola wypracować

spokojnie ~~aromatyczny~~ ~~porostu~~
zrobiła ~~pełni~~ ~~oprodu~~

już bardziej róża umiera
tem trudniej mówić o różach

*

nie pytaj czym jest róża Ptak ją może opowie
zapach zabija myśli twarz lekkim muśnięciem
starta
kolorze pożądana
kolorze płaczących powiek
brzemienna kulista słodycz
czerwień do wnętrza rozdarta

3

róża pochyła głowę
jakby miała ramiona

opiera się na wietrze
a wiatr odchodzi sam

nie zdoła wyrzec słowa
nie zdoła wyrzec słowa

im bardziej róża umiera
tym trudniej mówić o róży



Wstep



Tadeusz Chrzanowski, dla przyjaciół Ded (tym zdrobnieniem nazwany od dzieciństwa), lubił kolaże, przekładańce, formy złożone, wielobarwne.¹ Książka *Na założenie albumu* jest owocem mojej przyjaźni z profesorem: intelektualnych wędrówek i niezapomnianych spotkań w jego „Sarmackim sanktuarium” przy ul. Michałowskiego 9 w Krakowie. Ded pomimo niezaprzeczalnych osiągnięć naukowych i na niwie publicznej (prezes, przewodniczący komitetów społecznych), wydawał mi się osobą niespełnioną, z jakąś rysą niedosytu i braku doskonałości. Niczym laufer na szachownicy przeskakiwał różne dyscypliny, uprawiał wielość gatunków literackich. Wcielał się w publicystę i krytyka, prozaika i eseistę, kochał facecje i limeryki, grał felietonem w znakomitych ironiczno-prześmiewczych *Bujdach z Chrzanem* („Tygodnik Powszechny” z lat 80.) Owe gatunki zarzucał, by do nich wracać, na swój sposób mieszał, syntetyzował, „prometejski”, „wielogłowy”. Z pozoru frywolny, pozbawiony należnego wysiłku. Pod maską żartownisia ukrywał swoją „benedyktyńską” postawę intelektualisty-rzemieślnika. O skali i solidności warsztatu literackiego i naukowego profesora świadczy jego spuścizna, zdeponowana w Archiwum Nauki PAN i PAU.² Ponad 30 pudeł, a w każdym 20-30 teczek, zawierających: notatki, rękopisy-maszynopisy, korespondencję, wycinki prasowe, inwentarze fotograficzne i konserwatorskie; prywatne – zapisane piórem – antologie poetyckie, z wierszami: Lechonia, Tuwima, Leśmiana, Słonimskiego,

1 Zob. Tadeusz Chrzanowski, *Galicyjski przekładaniec*, koncepcja i red. Zbigniew Baran, numer specjalny, wersja polska i niemiecka, „Dekada Literacka” 1992, nr 11/12 (47/48), s. 3 i 6-7.

2 Archiwum Nauki PAN i PAU, Tadeusz Chrzanowski, K III – 210.



Wierzyńskiego, a z poetów obcych: Horacego, Heinego, d'Annunzia. Jak przystało na rękodzielnika-rzemieślnika opracował własne tomiki poezji.³ Wśród tego zbioru odkryłem małe pudełko z zeszytami (zeszyty małego formatu, z wydrukiem *Zeszyty do słówek*). Naliczyłem się ich ok. 400. Autor zapisywał w nich drobnym maczkiem: cytaty i komentarze z przeczytanych książek; noty z historii sztuki, literatury, filmu i muzyki. Zapisy czytelne, precyzyjne, z odstępami, marginesami. Był w tym podobny do swojego bliskiego przyjaciela Zbigniewa Herberta, poetycki „pięknoduch” z manierą robienia uczniowskich notatek.

Pierwszą Muzą Deda była Poezja, najbardziej ulotna i wymagająca. Z czasem ją porzucił, ale ciągle do niej wracał, czy to w przekładach obcojęzycznych, czy pisanych dla zabawy, przy okazji, limerykach. Debiutował w tym samym okresie, co Herbert, pod koniec lat 40. Miał nawet więcej szczęścia od Patryka (przydomek Herberta) w publikacjach i ich rezonansie. Drukowany w „Tygodniku Powszechnym” obficie, nie bez zachwytu redaktora naczelnego Jerzego Turowicza. Wiersze Deda na łamy, tego po wojnie najbardziej niezależnego i poczytnego pisma, nierzadko trafiały na pierwsze strony, miały swój oddech, opatrywane zdjęciami i grafikami. Tadeusz Chrzanowski wybił się znakomicie na poetę, miał jednak wątpliwości, czy nie jest w materii poetyckiej nazbyt sztuczny, czy należycie dotyka strun prawdy. Innymi słowy nie zaufał do końca swojemu talentowi, nie był w stanie przezwyciężyć stanów depresji i poetyckiej niemocy, podobnych, ale inaczej niż u Herberta przeżywanych. Określany przez opozycyjną krytykę jako: „pseudoklasycysta”, „estetyczny eskapista”, „katolik z pod zna-

3 Brulion *Rytm* z kartą tytułową: *Tadeusza Chrzanowskiego „Rytmy” z jedną miniaturą na okładce* (p. „Boecjusz w kryminale” – *Francja XII w.*) oraz z podobizną autora wykonany przez Mistrza *Lepkowskiego*. Wydano Roku Pańskiego 1953 sumptem *Autora* oraz z zasilku Ministerstwa Kultury i Sztuki. *Papier dla książki niniejszej wykonano w formie brulionów 60-kartkowych w Z. P. P. i M. P. Łódź Nr 864 Wzór Nr 135. Książkę odbito w 4 własnoręcznych egzemplarzach liczbowanych ręcznie od I do IV i podpisanych ręcznie przez Autora, Typographa i Edytora (łącznie)*. Por. brulion Zbigniewa Herberta, *Bajki*, oprac. Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2009.



ku klerka”.⁴ Interesujące zbliżenie na Tadeusza Chrzanowskiego z lat 50. przekazał Leopold Tyrmand w *Dzienniku 1954*.⁵ W *Dzienniku* sportretował siebie i krąg bliskich sobie kolegów, którzy próbowali być wtedy wolni: słuchali zakazanego jazzu, nosili długie włosy (Zygmunt Kubiak, z listu Patryka do Deda, Laski, 2, 3 IV 1952), czytali francuskich egzystencjonalistów. Tyrmand tak opisuje Deda po jego i Jerzego Turowicza wizycie w Warszawie: „Obiad jadłem u Literatów z Turowiczem i jeszcze jednym przybyszem z Krakowa Tadeuszem Chrzanowskim, który wpadł złożyć mi wizytę. Chrzanowski jest bardzo cenionym poetą środowiska *Tygodnika Powszechnego*, przyjacielem Zbyszka Herberta. Wysoki, zażywny, zamaszysty, o otwartej młodzieżowej twarzy, pochodzi z bogatej rodziny ziemiańskiej z Hrubieszowskiego i piórem kontynuuje liryczno-filisterski mit szlacheckich rymopisów w naszej poezji, z tym, że jako historyk sztuki uczulony jest bardziej na piękne malarstwo, niż urodę mistykalnych wschodów i zachodów. Ożenił się wcześniej, ma ładny dom, córeczkę, tyje, ale pozostaje wierny kulturze i nie ulega pokusom pisania dla potrzeb stotalizowanego rynku”.⁶ W innym miejscu: „Wczoraj mnóstwo odwiedzin (...) potem Ded-Chrzanowski z Krakowa, który nie omieszkuje wstąpić na długie pogaduszki, gdy przyjedzie do Warszawy. Czytał mi swoje nowe wiersze. Jest w nich gorycz beznadziejnego oporu, przez co zyskuje ich oskarżycielskość, Ded ma córeczkę, którą bardzo kocha i która wpływa na ton demaskatorski jego wierszy wypełnionych obroną dzieci, ich praw, ich czystości, ich radości przed wszystkim, co niesie dzieciom komunizm”.⁷

4 Por. Mikołaj Rostworowski, *O sytuacji młodej poezji katolików*, „Dziś i Jutro” 1953 nr 25. Listy Zbigniewa Herberta do Tadeusza Chrzanowskiego, list z 23 XII 1952, Archiwum BN, akc. 1822.

5 Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, wersja oryginalna. Wstęp, opr. Henryk Dasko, Wydawnictwo Tantem, Warszawa 1995.

6 Tamże, 28 stycznia 1954, s. 160-161.

7 Tamże, 11 marca 1954, s. 252.

Spojrzenie sugestywne i wnikliwe, ale i sam Tyrmand nie wyżył się sprzeczności w ocenie poezji Deda. W pierwszej odsłonie pisze o jego „szlacheckim filisterstwie”, w drugiej zaś o „tonie oskarżycielskim” jego wierszy. Aurę poezji Tadeusza Chrzanowskiego, która ją otaczała, celnie scharakteryzował w recenzji wydawniczej Jan Prokop. „W epoce – jak pisze – gdy oficjalna scena literacka wypełniała się socrealistycznymi agitkami, sławiącymi Stalina i Dzierżyńskiego, Nową Hutę i Plan Pięcioletni, poezja Chrzanowskiego z pełną urokiem nostalgią zwracała się ku tematyce, chciałoby się rzec *biedermeierowskiej*, uciekała na tereny malarskich arcydzieł przeszłości, a także w przestrzeń domowej prywatności, chwaliła to, co wydawało się skazane na zagładę, a więc na przykład intymną atmosferę rodzinnego stołu, przy którym zasiadamy do wigilii. Ta przestrzeń prywatna, wolna od natrętnej propagandy bębniącej w uszy z upaństwowionych mediów, przynosiła czytelnikowi ulgę i pociechę, sygnalizowała, że nie wszystko zostało pochłonięte przez wrzaskliwy dyskurs PRL-owskiej władzy”. W komentarzu do autora recenzji dodajmy: Ded łączył zachwyty nad sztuką zachodnią z polską, szukał ukojenia i prawdy w rodzimym krajobrazie i zabytkach sztuki dawnej. Wyrafinowany estetyzm w jednym cyklu wierszy zderzał prowokacyjnie w innym cyklu z naturalistyczną „proletariacką” rzeczywistością, jak w *Dyariuszu włóczęgi (Jelenia Góra, PGR-Myców, Szkic nie napisanego reportażu o Kostrzynie)*. Nie bał się – używając jego słów – zaglądać do przysłowiowych „dziur” i „pipidówek”.

Kolumbowie. Wygnańcy z Arkadii

Kluczem do zrozumienia twórczości poetyckiej Tadeusza Chrzanowskiego jest jego biografia i przyjaźń ze Zbigniewem Herbertem. Obaj pochodzili z zamożnych rodzin o rodowodzie szlachecko-inteligentkim. Wytrąceni z kolei życia przez wojnę, stracili domy, w których wyrastali, ponieśli rodzinne tragedie: brat Deda Edward, tak jak stryj Partyka zostali zamordowani w Katyniu. Obaj przeto czuli się wygnańcami z przedwojennej wschodnio-lwowskiej Arkadii, a zarazem wiedzieli, że właśnie tutaj, choć w niesprzyjających realiach politycznych, jest ich miejsce. Ded manifestuje tę postawę „wydziedziczenia” w drukowanym *Na założenie albumu* wierszu *My także byliśmy w Arkadii* z mottem w nawiasie: (*Do dziś istnieją pod narastającą warstwą plakatów okupacyjne „listy śmierci”*). I z wymownymi pierwszymi frazami wiersza:

*Z pasterskich i klasycznych przybywszy prowincyj
pod chłodny wiatr północy, co włosy rozgarnia,
pasterze mód odświętnych, snobizmów kibice,
głosimy hasło swe:*

Et in Arkadia...

Natomiast Patryk, w wierszu o zbliżonej metryce, zatytułowanym *Odpowiedź* zderza wielość ojczyzn, z prawdziwie okrutną puentą:

*(...)
helleńska, rzymska średniowieczna
indyjska elżbietańska włoska
francuska nade wszystko chyba
trochę weimarska i wersalska
tyle dźwigamy naszych ojczyzn
na grzbiecie jednej ziemi*

lecz ta jedyna której strzeże
liczba najbardziej pojedyncza
jest tutaj gdzie cię wdepczą w grunt
lub szpadlem który hardo dzwoni
tęsknocie zrobią spory dół⁸

Róża, las, drzewa...

Wiersz *O róży*, który stanowi motto książki-albumu, ma swoją metrykę i historię. W Archiwum Zbigniewa Herberta (*Notatniki V, O róży, inc. Żyje złożone w moje ręce..., kształt instrumentów*)⁹ jest zdeponowany notes poety (małego formatu zeszytik), w którym robił rozliczne przymiarki do tego wiersza: zapisywał pomysły, zastanawiał się na marginesach nad zasadą pojęć estetycznych i ich symetrią. *Róża* nie przypadkowo otwiera pierwszy tomik poezji Herberta *Struna światła*. W wierszu *Dwie krople* czytamy:

*Lasy płonęły –
a oni
na szyjach splatali ręce
jak bukiety róż
(...)
do końca byli mężni
do końca byli wierni
do końca byli podobni
jak krople
zatrzymane na skraju twarzy*¹⁰

8 Zbigniew Herbert, *Wiersze zebrane*, opr. Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2008, 162-163. Por. Stanisław Barańczak, *Uciekinier z utopii*, rozdz. I. *Nieporozumienia*, rozdz. II. *Antynomie*. Polonia, Londyn 1984.

9 Archiwum Zbigniewa Herberta, *Notatniki V*, 1951, rp. akc. 17 955, t. 31.

10 Zbigniew Herbert, *Dwie krople*, op. cit., s. 9.

Wiersz jest parafrazą cytatu z Juliusza Słowackiego: „Nie czas żałować róż, gdy lasy płoną”.¹¹ Filozoficzne refleksy *O róży* można odnaleźć w późniejszych utworach Herberta, zwłaszcza w głośnym wierszu *O potędze smaku*.¹² Wyraził w nim postawę estetycznego oporu i protestu swojej generacji „pięknoduchów”, z krakowskich kolegów: Deda, Adiego-Andrzeja Ciechanowieckiego, Tura-Jerzego Turowicza, Gawła-Jana Pawła Gawlika, Jana Józefa Szczepańskiego, Jacka Woźniakowskiego. *Róża* niczym „nić Ariadny” przewija się w życiu Deda i Patryka. W jednym z listów do przyjaciela z lat 50. Tadeusz Chrzanowski pisze: „My z pod znaku róży, tej *pięknoduchowskiej, aspotecznej*, by w jednym z ostatnich spuentować: „Słodycz ma imię Herbert”, w nawiązaniu do frazy wiersza „Słodycz ma imię kwiatu”. Historię przyjaźni Deda i Patryka dokumentują, wybrane z bogatego zbioru Archiwum listy, publikowane po raz pierwszy. Ded i Patryk traktowali się, jak rzemieślnicy z jednego cechu, pomagali sobie warsztatowo, pisali do siebie wiersze, poprawiali, dokonywali ostatecznych szlifów. Ufali sobie. Byli wspaniałymi pośrednikami w redakcjach: Tadeusz Chrzanowski w Krakowie, Zbigniew Herbert w Warszawie: „Dziś i Jutro”, „Twórczość”. U Deda w jego mieszkaniu – jak zanotował J.J. Szczepański – odbyło się pierwsze publiczne czytanie Herberta – autora dramatu „Jaskinia filozofów”.¹³ Pożyczali książki, robili wzajemne zamówienia w antykwariatach, sprzedawali sobie wypisy i cytaty z przeczytanych lektur. Bezpośrednie wpływy Ded – Patryk były wyraźne, zaznaczają się w podejmowanych tematach, fakturze wiersza, korespondujących tytułach i frazach. W wierszach sobie dedykowanych: *O róży* i *O drzewach*. U Deda:

11 Andrzej Kijowski, *Róża i las*, „Radar”, nr 12, s. 7-9.

12 [w:] *Raport z oblężonego miasta, Kasi*, 1983, Zbigniew Herbert, op. cit. s. 523.

13 W *Dzienniku* J.J. Szczepański, 16 X 1955, zanotował: „Przyjechał Herbert i u Deda Chrzanowskiego czytał swoje wiersze, opowiadania i dramat o Sokratesie. Zwłaszcza ten ostatni jest świetny. Naprawdę świetny”. Jan Józef Szczepański, *Dziennik*, t. 1: 1945-1956, opr. Tomasz Fiałkowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009, s. 575.

*Chciałbym o drzewach – w rytmach baśni
mową pogodną, chociaż mroczną
...ale zabrakło ustom pieśni
i sen wcale się nie rozpoczął.*

Odpowiedź Patryka:

*(...)
drzewa budują kopułę
zielonego spokoju
róża cię woła i tęskni...*

W cyklu *Palcówki*, wiersz Deda *Pochwalam* tyle różnych spraw, a między innymi...odnajduje swoje odbicie w jednym z modlitewnych *Brewiarzy*.

U Deda:

*Pochwalam wiersze duże:
elegie zdobne w róże
i księżyc pośród ody,
bo to są takie konwencje,
co ludziom przynoszą szczęście
nie szkody.*

Odpowiedź Patryka:

Panie,

*obdarz mnie zdolnością układania zdań długich, których
lina jak zwykle od oddechu do oddechu wydaje
się linią rozpiętą jak wiszące mosty jak tęcza alfa i omega
oceanu*

W te analogie można się bawić dalej, zestawiać *List do van Gogha* Deda i sławną *Mona Lisę* Patryka, *Życie przedmiotów* ze *Studium przedmiotu*, ale poprzestańmy na tych przykładach.

Praca nad książką była niełatwa, gdyż wymagała żmudnych badań i poszukiwań archiwalnych. Cieszę się, że udało mi się wyciągnąć z lamusa poety-profesora, rzeczy zapomniane. Największą radość sprawiają jednak odkrycia własne, takie utwory jak *Nieznane*, które światło dzienne ujrzały po raz pierwszy. Odkryciem są również przekłady, zwłaszcza „muzyczne”. *Na założenie albumu* ilustrujemy zdjęciami Tadeusza Chrzanowskiego i Włodzimierza Puchalskiego, który wprowadził Deda w arkany sztuki fotografii. Zdjęcia są świetne, kadry przenoszą nas do Londynu, Aten, Salonik, Istanbuhu. Ded-fotograf umiał patrzeć, chwytą chwile ulotne i radosne.¹⁴

Przykładem poetyckiej prozy Autora jest w książce opowiadanie *Lerech*. Buduje w niej piękne, malarskie plany swojej Arkadii – Hrubieszowa, odtwarzając mistykę, zaginionego już świata, Żydów prowincjonalnych-galicyjnych miasteczek. Koniec opowiadania wzbudza dreszcze, doświadczamy tragedii. Zaprzyjaźniony z rodziną Żyd-Lerech ginie, zastrzelony pod koniec wojny przez Ukraińców w folwarku ojca, gdzie ukrywał się dotąd szczęśliwie. *Lerech* koresponduje z wierszem *Sen o Goldfadenie*. Według mnie jeden z najlepszych, które publikujemy. Ze środkowego fragmentu zwraca uwagę fotograficzna obserwacja:

(...)

*Ostatni Polscy Żydzi bawią się na Sali,
my obok nich czytamy już tylko opowieść
z bardzo egzotycznej podróży w nieznane,
Żona pyta mnie: czyżby tak było naprawdę?*

*Zatrzasnęły się dzieje naszego współzycia,
o dziesięć wieków dalsi patrzymy jak morze,*

14 Anna Baranowa, *Gdzieś w Europie...*, Tadeusz Chrzanowski *Fotografik*, Galeria dyląg.pl, Kraków 2008.

*czerwone staje w progu naszych mieszkań
i cofa się przed chrzestem stalowych Egipcjan.
Patrzymy w szczęścian sceny
w archeologię tańczącą i barwną.*

Na założenie albumu posiada również – jak myślę – wartość edukacyjną. Odslania bowiem warsztat niekonwencjonalnego, wybitnego historyka sztuki. W procesie poznania i dokumentacji dzieła sztuki na początku, po wielokroć, był wiersz, poetyckie olśnienie, potem fotografia, a na końcu opis ikonograficzny. Interdyscyplinarność Deda i jego uwrażliwienie na poezję trafnie uchwycił ks. Janusz St. Pasierb, historyk sztuki i też poeta. W recenzji do esejów Tadeusza Chrzanowskiego *Żywe i martwe granice* napisał: „Chrzanowski posiada dar poetyckiej syntezy. Pisząc o kilku zjawiskach, epitafiach, figurach (...) pisze – o całej Polsce, o ziemi, rzekach (ta wspaniała wielka metafora o Wiśle wejdzie pewnie kiedyś do wypisów szkolnych), górach i drzewach. (...) Ten zmysł poetyckiej syntezy objawił się także w niezwykle szczęśliwym połączeniu rozważań o kulturze i naturze”¹⁵

Dziękuję tym wszystkim, którzy pomogli w opracowaniu i wydaniu *Na założenie albumu*:

dr. Zbigniewowi Beiersdorfowi
Teresie Chrzanowskiej i Jej Córkom: Elżbiecie i Agnieszce
prof. Andrzejowi Ciechanowieckiemu (Londyn)
Henrykowi Citce (Archiwum Zbigniewa Herberta BN w Warszawie)
Joannie Daranowskiej-Łukaszewskiej
Katarzynie Herbert
Janowi Koschowi
Teodorowi Koschowi
Michałowi Lisowskiemu (Paryż)
prof. Jackowi Majchrowskiemu
dr Ricie Majkowskiej (Archiwum Nauki PAU i PAN w Krakowie)
Lesławowi Modelskiemu
prof. Janowi Prokopowi
dr. Tomaszowi Skrzyńskiemu (Archiwum Nauki PAU i PAN)
Annie Horoszkiewicz-Zaleskiej (Paryż)
Helenie Zaleskiej (Bruksela-Warszawa)
prof. Franciszkowi Ziejce

Na założenie **albumu**

Na założenie albumu

Pamiętasz? – balu pstre bibulki
w mgłę alkoholów i tytoniów,
gdy jazz jak metalowe kulki,
które się gonią, ciągle gonią,
a serce?...

bije jak potrafi...
(lecz z tego nie ma fotografii).

Pamiętasz? – morze: owoc chłodu,
i piasku świst, i świst muszelki
i wodnych domów łoskot wielki
w nalocie sztormu, w dymach jodu,
– nie-ludzkie wojny, więc bezpieczne,
i bałtyckim zapisane wietrze.

Pamiętasz? – góry, które ciągną
w dół (skąd się bardzo chciało uciec!)
i noc, jak bramę przeogromną,
na którą wykuł mróz okucie...

Pamiętasz? – uroczystości gapie,
klęczniki dwa jak pierwsza stacja
w podróży, z której się nie wraca
(ale wracają fotografie...)

Niechże nam wolny lot albumu
skrzydłami stronic myśl wyręcza –
za siebie – Teres – i za męża
o dobrą pamięć z nim się umów!

Monsieur Chardin

Monsieur Chardin nie lubi obrazów rozpustnych,
Holendrów szczegółowych ni Flamandów tłustych,
Monsieur Chardin układa przedmioty oszczędnie
i światło bierze czyste, bez zbędnych ubarwień.
Monsieur Chardin zaledwie garstkę kwiatów narwie,

gdyż kwiat zerwany więdnie.

Monsieur Chardin – harmonii nauczyciel mądry,
co w obłokach gubi kalosze –
wśród zwykłych wnętrz i prac – nieśmieie płoszy
miedziane błyski rondli.

Monsieur Chardin...

i może dla tych właśnie względów
ma płótna niewygasłe,
płótna niewiędłe –
co w letni skwar motylom słodocy nie szczędzą,
co w zimny mróz kominki zachwytem rozniecą.

Monsieur Chardin łysinę chroni barwną chustą,
A oczom okulary przydaje...
To wszystko.
Teraz zaczyna –
Lecz nim zacznie po chwili barwnego namysłu
dokłada nóż do bułki i butelki wina.

Życie przedmiotów

Andrzejowi Ciechanowieckiemu

Gdzieżeś jesteście, zasobne i gościnne wnętrza,
w których powaga nigdy nie umniejsza
roli uśmiechu?...

Gdzież zasobne szafy,
do których chwiejny mól niełatwo trafi?...

Gdzież są, bez próżnych barw, zbytecznych fałdów,
bez krzykliwego, jarmarcznego zbytku,
pełne rozumnych ozdób, zgodnych kształtów,
przedmioty codziennego użytku?...

Nie kłamcie, że płomieniem idzie się ku szczęściu,
że orężem toruje się drogę najlepszą,
bo czyni, które idą na przelaj, w swym przejściu
nasze domy depczą.

Próżno słabymi dłońmi osłaniać kształt piękny,
ogień ciało ugodzi, a gruz zamknie odwrót.
Mocni mówią: to tylko kwiaty się przelękły.
Mężni mówią: to tylko podeptany ogród.

Ale gdzież wy, zasobne i gościnne wnętrza
mieszkań, z których dzieciństwo nie umknęło jeszcze?
W domach otwartych wojny ogniem i powietrzem
bezszałtna śmierć się spiętrza.

Chronię się niepotrzebnie i głupio: jak ślepy
w opiekę strun zwiotczających, poszczerbionych szkieł,
chorych mebli i makat...

Czas wszędzie zaszczenia
śmierć przedmiotów ukrytą
w rdzach, robactwie, pleśniach...
deszcz sięga zbitych szyb...
Odbiegł putto... odpłynął delfin z pluskiem płetw...
odfrunęły groteski, a echo przedrzeźnia:
„...gdzie ukryłeś się, Janie Vermeerze van Delft?... ”

Oda do malarza Altdorfera

Kiedy renesans bramy sztuk otwiera
jeszcze pełno gotyku w kwiatonych i fialach.
Lecz wielkie dzieło wieków średnich się oddala
i rosną ciężkie lasy malarza Altdorfera.

Ze świątyń, domów, studni – z ich zawiłych roślin
czas zwolna piach wygryza, treść dawną odbiera –
pyszny rozum szaleje – obudzony – groźny –
i rosną ciężkie lasy malarza Altdorfera.

Sztuki sięgają ziemi. Sprowadzają świętych
w dramatyczne pejzaże – w makiety uczucia.
Sztuki mówią o małych i cierpiących ludziach –
mówią również o rzeczach błahych, ale pięknych.

Nie rozróżnisz – czy wojska, czy spienione flukty
bitwie Alexandrowej statystują teraz –
i tylko sine barwy gór w przetrwanie ufnych –
i tylko ciężkie lasy malarza Altdorfera...

Kiedyś ujrzał zielenią rozsadzone bory,
śliskie korzenie, wody zmartwiałe i światła,
któryś całą naturę zapomnianą odkrył –
wiedz, że sztuka twa biegiem historii podatna:

oto święty nad smokiem... lecz listowie srebrne
jego nieziemskie sprawy przewyższa.
Oto pni drzewnych tło i pni drzewnych cisza,
że nie odróżnić od nich zabitego giermka.

Oto puszczy i niebios wołające barwy,
oto zamki fałszywie milczące na skałach,
oto studnie i dachy miasteczek – i martwy
kurz na uciekającej rodzinie sandałów.

Oto świat nowy bramy sztuk otwiera,
a kiedy wojna ramion i myśli się zbroi –
wśród urzekającego piękna gór i dolin
Zabrakło ludzi w farbach malarza Altdorfera.

List do Wincentego

Twoim jest, lecz i dla mnie świat
z elementarnych zbudowany farb,
gdzie granatowa burza wzdyma obłok
Vincent van Gogh.

Ja również widziałem wroni trzepot,
gdzie powłóczyły klęczał jęczmień,
gdzie szorstki sterczał rzepak
i gruby grom napęczniał...
lecz teraz na mnie idzie burza,
którą jedynie tyś ujrzał!

Ja jestem z kraju, gdzie podobnie,
zaledwie słońce dnia uchyli –
nieletnie stroją się jabłonie
kwiatkami dość lichymi.
Ja jestem z kraju gdzie fantazja
omija tragicznego błazna –
i gdzie kartofli dość dla ducha
Vincent z obciętym uchem.

Powtarzam w sobie śmiałość spojrzenia,
ostrożnie stawiam każdy krok,
uczę się patrzeć –
wciąż do widzenia
Vincent van Gogh.

Hieronymus Bosch

Nasz świat ze zwykłych zdarzeń –
doprawdy zwykłych:
ryb uskrzydłone paszcze
miotają brzytwy.

W podwodnych dzwonach marynarze
uśmiechem otwierają twarze –
a w głębi idzie gniew w pożarze
miast nie pragnących bitwy.

W szklanych ogrodach grzeszna nagość –
u mórz plugawe porty –
w gałęziach drzew przelotna radość:
uśpiony motyl,
a już się tłoczy pochód inny –
głowa na nogach, ptak roślinny,
i krab o oczach bardzo zimnych –
ze słonej wody.

Otwarta grzechu otchłań
ciemnością dzień opłotła
sadzami piekieł kopci
łuski potworów złoci!

A gdy krzyżują dymne bronie
latające flotylle
jest rozkosz tak, jak płomień
na barwnym filmie.
Jest człowiek smutny, ale mężny –
co w księdze czas roznieca,
gdy flora z pokus i ze sprężyn
czai się jak drapieżca.
I już ten krab ma oczy gniewne,
gdyż jest z nieczystych hufców pewnie –
lecz nie zwycięży!

Do portów płyną marynarze,
pożary gaszą dzielne straże,
samolot nad lotniskiem nisko
i pusty strop nad moralistą.

*

Fantazję dziwów ziemsko-morską
wzięto na szkło i pod mikroskop.
W muzeach zmierzchy farb nietrwałych,
a motyl budzi się z mimikry...

Już nie odróżnić Boscha sprawy
od sprawy zwykłej.

Przed obrazami Canaletta

O skrupulatny fotografie,
o kronikarzu miast stołecznych
widzianych w obiektywnym czerwcu,
noszonych w oku a nie w sercu –
(a w sercu – wspomnień garść
serdecznych)
(a w oku – już zatartych prawie).

O skrupulatny fotografie!
Nie sztuka tworzyć świat z perspektyw,
łączyć dokładność i plotkarstwo,
pod niebem uzbrojonym w ptactwo
nieść ulic gwar, ogrodów szeptę...
– ja tak Practicą też potrafię

O skrupulatny fotografie!
Porządki fasad, rytmy dachów,
nawet kolaska zatrzymana
historii to fatamorgana
bez głosu, smaku i zapachu
w otynkowanej drzeme sławie.

A jednak w muzeum – w Warszawie
przed chłodną płóciennych
wiernością
w milczeniu stają – zadumani –
ci, którzy wierność nieśli sami
pomiędzy śmiercią i młodością
i wdzięczni tobie – fotografie –
wierzą, że byłeś też poetą
Mistrzu Belotto Canaletto.

Sztuczne rokoko

Widzisz – z tobą tak jakoś dziwnie –
trudno prozą i trudno wierszem –
zaraz myślę, jąkam się, gubię...
bo ty śmiejesz się nieomylnie
i twój śmiech jest niby powietrze,
a powietrzem tym żyć najtrudniej.

Widzisz – trochę życia odległy,
trochę śmieszny i trochę próżniak –
za ładnymi śladami biegnę,
choć je w kurzach z trudem rozróżniam.
Urealniam śmieszne miraż
i powtarzam je jak canzony –
myślę tiule, mgły i nylony,
sarabandy i saksofony,
pastele i maquillage...

– i to jeszcze chciałem powiedzieć,
że mi wracasz lotne rokoko,
choć do tamtej swawolnej wiedzy
niezgrabnemu bardzo wysoko.
Lecz się schodzą damy La Tour'a
i Nattier układa im suknie.
Świat gdzieś w głębi – a one ufne
gdy przefruwa górą purpura.
Fragonard jest również łaskawy
i uchyla słodkie zabawy –
a Watteau jest ponad zielenie
w towarzyskich gajach odświętnych –
gdzie ogrody – tylko odcieniem,
gdzie kobiety – tylko akcentem.

Pęka kula barwna i zimna,
bo ty widzisz tylko oczyma.
A więc śmieję się nim znów nie zacznę –
wykpij słowa me nieopatrzne.

O trzech muzykach Boecjusza

I przyjdzie mądrość – i pocieszy
najgłębsze samotności więźnia,
a pamięć dotrze wieków lepszych
na szybkich ustach, szybkich pieśniach...
i przyjdzie znów do Boecjusza
przyganiać złu, a piękno chwalić,
morza pełnego pełna muszla

Musica Instrumentalis

Wizytę pocieszenia przyjmij,
nadzieją odpląć filozofii,
gdy świat jest nad sprawiedliwymi
w olbrzymim wichrze, w drobnej kropli.
Ten świat jest światem Boecjusza
i jego sprawa nam oddana –
i jego dziwność w naszych uszach –
czy słyszysz?

Musica Mundana

Na pograniczu stromych dziejów
nie mierzyć prawdy na oklaski –
a stąd gościniec do pokoju
przez dni, przez czyny, przez przypadki...
i schodzi – jak do Boecjusza –
tak jak dziewczyna zakochana –
i nieprawidłowości w pył rozkrusza –
i przetrwa –

Musica Humana.

O muzyce

Nieodmiennie płaczą opery
bardzo smutne i nieco próżne,
a Harnasi śpiewy na wierchach
rozniecają zachody późne.

Fajerwerki – to uwertury,
a symfonie – to bujne freski,
i piórami są klawiatury
i skrzydłami ptaków niebieskich.

Pomieszane muzyczne wizje,
pomieszane słowa zatarte –
a tu piszą o realizmie
śmieszni ludzie o szarych barwach.

Pomieszane wszelakie dzieło
z myślą maga i mechanika –
i fałszywych łez jeszcze pełno,
gdy już bardzo blisko muzyka.

Nieodmiennie płaczą opery
i zawodzą rodzinne walce –
a wiersz mówi wersety wierne
dawnym wzorom. I błysnie fałszem!

Bardzo prosto chciałem to złożyć,
lecz oszczędnie trwa słowo trafne –
i przychodzi wicher przemożny
strącający owoce w trawę.

Jeszcze plączą się ornamenty;
jeszcze próżnie i jeszcze błędy,
więdną „smutki” – bledną „księżycy” –
bliżej – coraz bliżej muzyce!

Świat malarza

Jakże lekki, jakże kruchy
jest zielony świat Chagalla!
Jak zielony, jak różowy,
jak prawdziwie nierealny,
kiedy wiosna nad Witebskiem
lub Paryżem się zapala,
kiedy spływa noc pijacka
nad miasteczek sen niedzielny.

Na tym świecie jakieś cyrki –
osiolki i krase szmatki –
skrzypce słodkie jak landrynki –
i pijane bałałajki –
na tym świecie są miasteczka
krzywe jak akordeony –
a skrzydlata krowa mieszka
w chmurach prawie urojonych –
na tym świecie jest samowar
wzdychający jak tęsknota –
a zielony rabi chowa
żółte oczy w rołkach Thory –
są kolory –
jak swoboda –
i odkrywa skryte rzeczy
jakiś śpiewak niedorzeczny.

Jakże lekki, jakże kruchy
jest zielony świat Chagalla –
głowa z ramion się odrywa
i ku barwom się oddala –
krążą myśli bardzo ściśle –
krążą farby bardzo lekkie –
krąży żołnierz ponad miastem,
ciężko fruwa goniąc gwiazdę.

U Chagalla świat odległy
kolorowym tli światełkiem –
były świat – stratowany najazdem.

Wiersz prosty

O kościele N.P. Marii na Piasku we Wrocławiu

Wojny, które cegłom kształty kradną,
nad świątynią przewiały upadłą.

Nad upadłej świątyni spokojem
dotąd stoi oddech tamtych wojen.

Nad zatartym kształtem ostrołuków
sprawy wiatrów i sprawy obłoków.

Niebo weszło do rozprutej nawy
pełne słońca i skłóconych kawek.

Niebo pełne dla ludzi spokojnych –
niebo puste dla człowieka wojny.

W nawie stanął tłum milczących cegieł,
tłum, co w gniewie zdeptał każdy szczegół.

Zdeptał żebra, zdeptał laskowania
na ołtarzach stanął – na organach –

rozdarł przestrzeń, w której się zawarła
długich wieków nieodmienna wiara.

Tylko szkarpy podtrzymują nadal
niebo, które nigdy nie upada.

Na obraz z Chromanic

Zdjęcie z krzyża

Trudną pracę miał malarz – dobry mistrz w swym cechu:
niebo złote wytłoczył w rozmaite wzory,
i niby pień potężny w obojętność kory –
przybrał w kwiaty, kwadraty i blaski przepychu.

Trudną pracę miał malarz – który dawno zamilkł
ziemię okrył dokładnie roślinnością błahą
i pedantyczne trawki sędziwych botanik
mówią farbą o niegdyś zwietrzałym zapachu.

Między niebem złotym i ziemią roślinną –
nagle –

 ciało uwiędłe,
 o wieki wieków odległe,
 komu, komu jeszcze potrzebne.

Między niebem wzorzystym a ziemią trawiastą
 płaczą szaty niewiastom,
 bo już w oczach zagasło,
 bo już martwe powieki

Barwa jak zmierzch: i ziemia – i wielka – i ostra
schodzi na zwiędłe ciało
na głowę co niosła
i świat
i cień
i to co jest bez granic

Gdy nad ziemią trawiastą,
pod niebem w złote wzory
zabrakło łez niewiastom
z Chromanic.

Stalle w Henrykowie

Z perspektywy gotyku za chwilę się wymkną
i prosto w niebo pójdą dębowa pielgrzymką –
z perspektywy stuleci – która niska, ziemską –
wyfruną z drzewnym szumem huraganem eskadr.

...a najpierw strzelą święci – niby odrzutowce
między gwiazdy znajome i mgławice obce –
za nimi rój aniołków: – rój pośpiesznych komet –
a potem: kwiaty – liście – owoce łakome –
podziw – i osłupienie – i wizja świętości –

i pusty gmach zostanie ludzkiej samotności

Tylko mury się zgorszą – nagie wśród pajęczyn,
że wielki hołd u stóp ich nie klęczy –
tylko organy zmiłkną – w pół fugi – i spojrzą
na ciszę opuszczoną przez eskadrę Bożą.

Mistrz życia Marii

Kolońskie mieszczki –
zbyt długie gotyckie mieszczki
napełniają naczynia, by przyjąć niemowlę.
Jedna ze skrzyni czyste wyjmuje chusteczki.
Druga porady szepce...

Długie brzydkie mieszczki
narodzinami przejęte ogromnie...

Oto się toczy historia Marii narodzin i życia,
którą nam opowiedział dokładnie malarz koloński,
jak gdyby wszystko na własne oczy widział
w swoim światku mieszczańskim.

A potem przyszło długich pięćset lat
i lata te nazwisko malarza zatarły.
Więc dzisiaj nazywa się tak:
Meister des Marienlebens –
Mistrz życia Marii.

I sędzę, że to największy dla malarza zaszczyt
zagubić własne nazwisko i przed pamięcią uchronić,
by takim pięknym imieniem przyjmować dzisiaj nasz zachwyt
za tę dostojną opowieść
ze średniowiecznej Kolonii.

Mistrz Teodoryk z Pragi

Stu trzydziestu świętych – skamieniały orszak –
jak muzykę monumentalną –
jak muzykę, która mocna i mroczna
wiodłeś do zamku Karlsztajnu.

Stu trzydziestu świętych o twarzach grubych –
grubych ustach podbródkach i nosach –
i do dziś biją kolorowe fugi
ku gotycko sklepionym niebiosom.

Ten święty – to akord błękitu –
a tamten – czerwień i brąz...
Teodoryku z Pragi, który witasz,
by oczom władzę rozwiązać!

A z Karlsztajnu dalekie spojrzenie
na doliny otwarte zielenią.
A z Karlsztajnu bliżej do obłoków
niż do nisko osiadłych rolników.
A w Karlsztajnie kaplica niezwykła –
stu trzydziestu świętych Teodoryka.

Mistrzu nieznany, któryś wzrokiem władał,
tłum świętych głosem olbrzymim gada –
tłum głów prostackich w milczeniu krzyczy
i barw muzyka brzmi dostrzegalnie
wśród grubych murów ciemnej kaplicy
w zamku w Karlsztajnie.

Barok

Kiedy pyzaty pieścisz barok,
muzyki przesypane pudrem –
wierz mi – jest to bezcenny urok,
a więc go utrwal.
Roślinka mdła – te barwy i te fałdy,
kiedy jesieni szumi Bałtyk.

Lecz wkoło twoi bliscy radzą
pod podejrzliwie bladym światłem,
gdy nagle ciszę wiatr rozsadza
z rąk wymiatając gazet płachty
i zgromadzenie dosyć liczne
w draperie stroi się komiczne.

Ukrywasz skromnie drwiący grymas,
lecz śmiech wymyka się znieńcka.
I już patosu nie utrzymasz –
i pryska kiepska imitacja –
a blask uderza – w grube kurze:
to już jest jutro – to pojutrze!

Odchodzą bliscy urażeni
i z ulgą wzdycha łono kanap.
Rozwiewa się na smutnych ścianach
twój teatr cieni.
Lecz poprzez tapet brzydkie kwiaty
uśmiechy barok śle pызaty.

Prawdziwy barok – lotna gracia
i podróż bez legalnej wizy.
Chwieje się słów karoca zacna
skłonna do niegdysiejszych wizyt –
zawierz jej – sercu śmiało otwórz
skrzypiącą podróż.

Przelotnie

Już ptasie odleciały tańce –
już w parkach liści brak i dzieci,
a górą chmury jak pasjanse
ruchliwych pełne wieści –
i wieczór wcześniej schodzić może
pełen światełek i dorożek.

Ulice, kina i znajomi –
uśmiech i podmuch.
Jak dobrze znaleźć na jesieni
nutę pogodną,
gdy z chmur gadają ciemne wróżby
o liście złym i złej podróży.

I dobrze wracać – samotnemu,
idobrze myśleć – pieszo,
kiedy dorożkom bardzo ciemno
a światłom w oknach śpieszno,
gdy drogą idzie się najkrótszą
na przekór wszystkim grzmiącym wróżbom.

A to już wszystko.

Biorę książkę
by długo szperać w kartkach –
i równym rytmem stuka wiersze
Mój rękodzielny warsztat.

Cyrograf

Mam taki bardzo tajemniczy notes,
gdzie są dowody najśmielszych hipotez –

systemy, z których żaden nie uwiędnie,
najgłębszych głębi niezgłębione głębie –

wszelkie nauki jakie znać potrafię!
(– a wszystko w bardzo dziwnym cyrografie –)

Wiem z jego chytrze poplątanych szyfrów
o sprawkach słońca i gadulstwa wichru –

o dobrych płótnach na salonach kwietnia –
o złych przekładach ptasiego libretta –

o roku, który ma wokoło zodiak –
o porach zmiennych – niezmiennych melodiach

Faun – mój przyjaciel – (morda bardzo dobra!)
uczył mnie długo czytać ów cyrograf

i dziś już umiem bez pomocy muz
odcyfrować szyfr na kolorze brzóz!

Ale to wszystko nie przeszkadza wcale,
że również słowo drukowane chwalę.

Ty zaś – młodzieży – pomnij me wskazanie:
kto czyta książki – ten mądrym się staje!!!

My także byliśmy w Arkadii...

(Do dziś istnieją pod narastającą warstwą plakatów – okupacyjne „listy śmierci”)

Z pasterskich i klasycznych przybywszy prowincji
pod chłodny wiatr północy, co włosy rozgarnia,
niby meczów niebieskich młodziutcy kibice
gryzmołimy na ścianach swe:

Et in Arkadia...

Metafory i mirty, ody i krawaty,
ruiny w bluszczach całe i dym po kawiarniach,
u wiotkich, bladych uczuć stygnie mała czarna –
i wiatr przechodzi światem...

A wówczas zatrzymani przy śpiewie – w pół dźwięku,
a wówczas zatrzymani w nurcie opowieści –
pośród plakatów, które wiatr rozgarnia –
wśród plakatów z nauką – plakatów z piosenką –
przed listą nazwisk wezwanych do śmierci
od dawna...

Pasterskie gaje szum złowróźebny rozwiewa,
rzeźbom pnącze sposobi, altany otwiera,
miesza żagle, busole skłóca, falę gniewa...
mokrym parom nieprzyjazna ulewa
kiedy tonie, naprawdę tonie ich Kythera...

A lista już nieważna, już nieaktualna,
gdyż wzywa nieobecnych do łez nieobeschłych,
więc jutro ją przysłoni wesoła, poranna
wieść o tańcach, o pieśni...

A to już Arkadia,
a to już są antyczne przełożone ody
na słowa nieporadne, na język bezpłodny,
a to już cała strona z niespełnionej książki –
i cała zimna ziemia na spoczynek wąski –
i wiatr – co czas rozgarnia.

O drzewach

Zbigniewowi Herbertowi

Chciałem o drzewach – w rytmach baśni
mową pogodną, chociaż mroczną
... ale zabrakło ustom pieśni
i sen się wcale nie rozpoczął.

Chciałem o drzewach, których korę
czytałem kiedyś (kiedyś przedtem) –
o liściach poruszonych sporem
... i nie dotarłem do tych lektur.

Jakie mi dąb sposobił dziuple,
akacja – zapach, brzoza – powiew,
a lipa – cień, a kasztan – wróble
... już się nie dowiem.

Popiół unosi się powoli
na swych skrzydełkach szaro-gorzkich.
Sypie się z byłych kart bukolik
niewiele łacińskich, niewiele polskich.

Od liści lżejszy, od powiewu,
od nuty zawieszanej w pustce
... i jakże mam obiecać drzewom,
że do nich wrócę?

Słyszałem piłę, która tęskni,
słyszałem siekier echa mocne,
widziałem proste białe deski
ludziom służące w każdej drodze.

A czasem dojrzę nurty słojów
w posłusznych sprzętach: w dniu codziennym,
spokojne nurty prądów pewnych
pośród wezbranych niepokojów.

Lecz w słojach dym się czai zmierzchły,
po sękach stuka głuche echo –
i dźwięczne słowo dobrych wierszy
niedoskonałą jest pociechą.

Nie nam pisana cisza portów,
gdy sztormy biorą kurs po morzach –
nie nam przyznany smak powrotów,
gdy nam i wam zagraża pożar.

To tylko głupie serce ufa
i tylko krótką chwilę boli,
kiedy popiołu ćma przyfruwa
od drzew straconych i bukolik.

Ci z AK

Po dziesięciu latach jeszcze noszą chlebak,
mówią – to jest tylko pamięć, mówią – trzeba.

A w chlebakach rdzą pokryta amunicja
brzęczy głucho, nie kiełkuje – zła pszenica

Ani pokarm, ani zasiew – puste ziarno.
Chciało żyć. Ale nie mogło. I nie zmarło.

Myśli – węższe, serca – pustosze, słowa – kruchsze,
ale tamte, póki oni są, nie umrze.

Tyle cierpień. Tyle krzywd. I nic ponadto.
Chuda ziemia – ta ojczysta – jest zapłątą.

Nie wychodźcie – krzywdzicie – im naprzeciw,
nie wychodźcie – obojętni – im naprzeciw.

Oni muszą z chlebakami wspomnień cierpkich,
z latarkami w korytarzach poniewierki,

z pustą bronią cudzych zbrodni, własnych błędów
napotykać drogowaskazy TO NIE TĘDY.

Jeszcze jedno z tych pokoleń bezpotomnych –
nie pomniki pozostaną po nich i nie domy,

nie fabryki i nie pola – dziejów skrawek,
sławy błędnej garść i może kwiaty nawet...

Jeszcze jedno pokolenie wśród pokoleń,
które przeszło poprzez rozpacz, poprzez płomień,

które wszystko utraciło, gdy z pożaru
ratowało sens głuchego słowa – naród.

Sen o Goldfadenie

Małe Żydki – Icki i Srukli
z kramikami guzików i wstążek
przypisanymi do pejsatego losu.

Takie ładne Żydki z drewnianych miasteczek,
z królestwa pluskiew, błota i carskich ukazów,
trochę z księżyca, trochę z wodewilu
i całkiem z naszej wspólnej nędzy.

A teraz wieko tej szkatułki zdejm,
wyjmij garść marzeń:
korzennych, bławatnych, krawieckich,
otrzep z kurzu Szekspira, który z katarynką
głosi swoim szwargotem hebrajsko-niemieckim
o wi szejn, o wi szejn...

Ostatni Polscy Żydzi bawią się na Sali,
my obok nich czytamy już tylko opowieść
o bardzo egzotycznej podróży w nieznane.
Żona pyta mnie: czyżby tak było naprawdę?

Zatrzasnęły się dzieje naszego współzycia,
o dziesięć wieków dalsi patrzymy jak morze,
czerwone staje w progu naszych mieszkań
i cofa się przed chrzęstem stalowych Egipcjan.

Patrzymy w sześcian sceny
w archeologię tańczącą i barwną.

Ci co nas otaczają – ostatni – ostatni –
wywiozą z naszej ziemi gorycz i nienawiść,
albo z lękiem w słowiańskie wpłyną pokolenia,
którym może odjęty będzie obłęd ras.

Ci co nas otaczają odnajdują tamto:
sześcian tańczącej sceny wydarty pamięci,
śmierci wydarty śmiech...

O, bierz salo beztroskę – dziel się chudą manną,
o śmieję się salo, śmieję –
o bierz, zanim wybierzesz z obu gorzkich części:
ze samotności danej emigrantom,
ze samotności danej tym co pozostaną –
o bierz, zanim wybierzesz co trzeba zapomnieć,
o śmieję się salo, śmieję!

Czemu czarna dziewczyno znowu śpiewasz do mnie:
o wi szejn...?

O goryczy

W dzień chwycić ptaki, obłoki i światła,
które na krótkiej chwili się zagnieżdżą,
którym naprzeciw słońcu dane latać –
naprzeciw deszczom.

W dzień również gonić tramwaje rozsądne
co znacznie szybciej dzwonią niż się toczą,
i mówić pannom pstrym słowa okrągłe,
i służyć oczom.

W dzień jeszcze chwilę zostawić nauce,
która wśród ciszy mieszka – pani skrzętna.
Więc czas przystaje... Lecz budzi go wkrótce
książka zamknięta.

A zmierzch już zewsząd jak kurz się zawiesza
i alchemiczne metafory miesza.
W nim można siebie zwiedzać i zgadywać –
lecz przed odkryciem nagle się wstrzymywać –
dojrzeć, dosłyszeć, dopowiedzieć sercem
i guzikami rymów zapiąć wiersze...
(by wyglądały godnie w swych tużurkach,
choćby los miał je zepchnąć w mroki biurka!)

I jeszcze długo czytać „Beniowskiego”,
jak gdybyś nurtu nie utracił...
i jeszcze pisać...

 tak strasznie daleko
od nieobecnych przyjaciół!

O owocach

Skoro dojrzewa owoc – trzeba go zerwać,
bo pod obuchem lipca upadnie sam –
choć jeszcze papierówkom uśmiecha się czerwiec
w słonecznych plamach.

W lipcu jabłka zapalą soczyste rumieńce
i zlecą do nich osy – kwiatom już niechętnie...
Ich życie chitynowe nierozważnie przetną
depcząc brzęczące.

W lipcu szerszeń pijany upalnym odwarem
utkwi w martwym powietrzu – zatrzymany promień,
i horyzont w powietrzu zadrży – skrzydło czarne,
które może odleci stąd – może zostanie.

A owoc wciąż dojrzewa, ciemniej w nim pestki,
cierpkimi prądy soki uderzają mocno.
Trzeba uważać, by dni zbyt niebieskie
nie ukradły przejrzałych owoców...

Może to późny morał, może śmieszny nałóg –
bo któż pośród owoców zechce szukać nauk?
I któż przenośnię z wiersza wyłuskiwać zechce?
(wszak różne są owoce – i różne są czerwce!)

O dziełach

Co z kamienia powstało, to powróci w kamień
(czas swoim ciężkim młotem najcięższe połamie).
Co z metalu powstało, to powróci w metal
(rdzą i ogniem zostanie mu forma odjęta).
Co z ludzkiej wyszło ręki, ludzką rękę przetrwa,
gdyż musi odpaść ręka życiu niepotrzebna.

Przez krótką chwilę w czasie niezliczonym nurcie,
jak przechodnie w ogrodzie zatrzymani furcie,
trwają dzieła wśród naszych nieuważnych spojrzeń,
którym na jeszcze krótszą chwilę dane dojrzeć.
I mówisz – „oto żyję”, i mówisz – „oto widzę”,
gdy mały krok rozdziela dwie obce okolice.

Lecz w tobie buntu nie ma, jak nie ma buntu w drzewach,
ziemskie pokarmy żywią to, co znowu dojrzewa,
i ziemski owoc wzrasta w naszym wąskim krążeniu –
wciąż trzeba już odchodzić pod rozległą jesienią.

Upada sucha gałąź. Upada martwe ramię.
Metal powraca w metal. Kamień powraca w kamień.

Oglądając sztychy

Chłodne rzeczowe sztychy
– nieocenione świadectwa –
opowiadają dokładnie
ważne zdarzenia historii.

Kaligrafują subtelnie
świat – niby zdanie – okrągły,
gdzie ludzie albo przecinki
stoją wśród wielkich słów.

Zdziwiony szukam wśród tłumów,
które wzbierają ulicą,
spraw, które także tam były,
lecz uszły oczom i rylcom.

Zaglądam w okna i twarze,
rozwijam zamarłe gesty,
spod peruk chciałbym wydobyć
myśl krótką, jeśli tam jest.

Chłodne, rzeczowe sztychy
opowiadają sumiennie,
jak kogoś wieńczono laurem,
jak komuś odjęto głowę,

jak innych witano, albo
jak się bawiono na placach,
gdy wojna przyniosła tryumf
(gdy na niej zarobił władca).

Lecz gdzież jest ciepło i tlen?
Lecz gdzież jest oddech u warg?
Chwytam za przegub czas,
lecz nie ma tętna we krwi.

I myślę o moim dniu,
i myślę o naszym czasie,
przecinkiem dzieląc wyrazów
chłodny, rzeczowy bieg.

A nagle: wążutkie słowa,
cieniutkie kreseczki liter,
i kartę przede mną okrywa
obraz wierny szczegółom.

Ludźmi wzbierają ulice
miast chudych, otyłych łądów,
lecz czego dotknął rysunek –
spojrzeń? czy sądów?

A przecież przyjdzie ten,
kto spyta mnie o świadectwo:
za rok, za sto lat, za kiedyś –
pod moją nieobecność.

Powitanie lata

Piękne lato! Piękna poro żniwna –
wieku męski – nosi cię mężczyzna
jak źdźbło ziarna, jak gałąź owoce,
piękne lato, piękna poro żniwna.

Kiedy burza ponad żniwa wkracza
pośród grzmotów, wichur – pani władcza –
piękne lato tym bardziej pięknieje:
głośna burza gniewem wicher obarcza.

Kiedy rozpacz zejdzie w cieniu szarug
wśród jesiennych zbiorów i bezmiarów,
jakże pięknie jesień twarz swą chyli
w cieniu smutku, w długim cieniu szarug.

Za nic dla mnie młodzieńcze rozpacze
i młodzieńcze gniewy (miłość tylko!) –
gdy z młodości mej jak z okna patrzę,
męskie gniewy widzę i rozpacze.

Za nic ogień, co błyska – nie pali,
za nic lód, co chłodzi, a nie zetnie,
za nic dla mnie są dwudziestoletnie
szumne burze ośmielone kwietniem.

Ściągam wodze i, gdy ręka słabnie,
maje mijam uśmiechnięte powabnie
(nie piękności mijam, lecz uroki –
kiedy dłoń strzegąca miary słabnie).

Prośba

„Zaprząż nie Tygry, nie Lwice, Cyprido
w złoty wóz – parę białych niech Kupido
gołębi lejcem jedwabnym pozenie
przez chmurne cienie”.

Zaprząż nie Gryfy, Nie Monstra co straszą
w swój wóz północny ojciec Boreaszu –
lecz otwórz niebo wroty okrągłymi
szerokiej ziemi. –

Proszę! – Bo ona lęka się, gdy szpetny
deszcz bije w okna kroplistymi płatwy,
ona się smuci, gdy blask martwy głuchnie,
gdy wichrów klótnie.

I pyta: „Kiedy łagodne powietrze
odmieni strzałkę na mym barometrze,
kiedy anteny powrócą z muzyką
cichą i zwykłą?”

Barometr strzałkę ku rozpaczom skłania,
mokry parasol płacze wśród mieszkania,
a obce miasta głuszą sarabandę
w kapryсах anten.

Ojciec Boreju! – Niech Cyprida rządzi
światem jej pogód – niech cień z oczu strąci,
niech oknom słońce, a muzyki rześkie
jej radiu ześle.

(Uwaga: Pierwsza zwrotka wyjęta jest z „Pieśni”, której autorem jest Mikołaj Sęp Szarzyński lub też Smolik, poeta z początku XVII wieku.)

W nocy jest inaczej

Jackowi Woźniakowskiemu

Świat wokół – pełne światła dłonie,
oczy syte spraw zmienionych w barwy,
płyną wiersze pisane spokojnie,
nasycone ziemskim pokarmem –
ale w dniu łagodnym zwodzi słowo,
choć otwarte czeka tuż obok.

Patrz: – na ziemi i niebie chmura –
w trawie łopuch i w słońcu łopuch,
gdybyś liść ten z wysoka urwał,
uwolniłbyś zaspany podmuch.
Nawet w blasku dziwów jest tyle –
sprawy proste, ale omylne.

Przejdą deszcze stłoczone ciasno
i kudłate przejdą zadymki,
a spragnione kurze osaczą
podpalając zielone listki.
Zżółkłe listki sypną na ogród
i przydrepczą deszcze na powrót.

*

Ale nocą kiedy inaczej,
słów tak bardzo skąpo – zaledwie
tyle, aby u rytmu tańczyć
i powiedzieć piękno potrzebne.
W noc, gdy wszystko złote lub czarne,
słowo kładzie właściwą barwę.

O wyborze

Janowi Pawłowi Gawlikowi

*„Cóż będę czynił w jak straszliwym boju
Wątpli, niebaczny, rozdwojony w sobie”*

Mikołaj Sęp Sarzyński

Mówią: wybieraj – w rozsuniętej talii
karty czekają nieskazanej wróżby!
Lecz jakże wybrać znak i kolor słuszny,
gdy każdy myślom inne prawdy chwali?

Mówią: osądzaj – obnażone czyny,
jak ludzie ciałom szukający osłon!
Lecz jak wywikłać z gęstwin drogę prostą,
i jak osądzić, gdyś sam nie bez winy?

Kierunki ludzkie poplątane w złości –
któż nic wywabi z toczących się węzłów?
Któż zechce przeciw własnej namiętności
tych, którzy głośno krzyczą, budzić ze snu?

Gdy mnie pytają o odpowiedź moją –
czy wody pragnę, czy wybieram ogień?
Mówię: cóż będę czynił w strasznym boju
wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?

Lecz skoro inni spojrzą w oczy – jakże
powieki zamknąć lub gdzie indziej patrzeć?
I jakże wargi od świata oddalać,
jeśli milczeniem na coś się zezwała?

Więc muszę wybrać z wszystkich niepokojów,
i sądzić muszę wając szale obie,
i stawać muszę do strasznego boju
wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie.

Pochwała strof

Pochwalam strofę, którą pan Jan mi pokazał,
gdyż się na niej najmniejsza nie ostaje skaza,
i równie w stromych lotach, jak w pogodnych tańcach
zawsze służy jej godność – zdobi elegancja.

Czatują na nią zewsząd łakome potrzaski:
tu lot nazbyt wysoki, nazbyt zawadiacki,
który nawet u ziemskich ogni spala skrzydła –
tam znów spojrzenie niskie, co się w błędach wikła.

Wśród różnych wichrów stojąc, gdy oparcia znikąd –
ona rękę podaje: i ludzką, i zwykłą.
Wśród rozgniewanych mórz, na nieokiełznanych falach –
ona żagle zdejmuje – i ona ocala.

Dla głuchych miedź i mosiądz, dla głupich trąby pyszne,
dla malców deklaracje – a dla mnie niezawisłe,
i niepodległe skazom, spękaniom ani rysom
strofy – strofy gładzone – w polskie kładzione pismo!

Woda poetycka

Nie barokowej metafory,
ani romantycznego mirtu –
ale ci trzeba mocnej strofy
z ust pełnych nurtu.
I treści trzeba, której nie splącesz,
ale osłonisz od wiatru.
Trzeba ci bardzo lekkich wiolonczel –
bardzo szerokich klawiatur.
Oddech muzyki niech będzie z tobą
co przetrwa lecąc...
i tych wiolonczel – i tych klawiatur –
najwięcej –

Nic inkrustacje, metafory,
strojne szepty.
I nic muzyka.
To jezioro.
– przepłyn! –

Okrągłym echem zbudzi się woda –
otoczy – wchłonie – nie odda –

Lecz ta woda chłodna i miękka
przez niewprawne przecieka ręce –
nie odejdziesz, bo to jest piosenka,
lepiej zawsze –

z piosenką –

w piosence

Miejsce na ziemi

Teresowi

Pod niezwykłym jazzu wrzaskiem
krótki rytm budzi boogie –
wśród nierozsądnych par
mądre kręgi toczy parkiet.

Srebrem krzyczy pod sufitem
i tupotem pod podłogą,
elektrycznym nagli skrzydłem
powracając rytmem wartkim.

Pod niezwykłym jazzu wrzaskiem
po maleńkiej ziemi drepcesz –
miejsca szukasz na tej ziemi
przy niezgrabnej mej pomocy.

Włosy twoje laskocące
o mój oddech z bliska czesziesz –
włosy twoje bardzo mocne
są z Shampoону i młodości.

Nasze miejsce coraz inne
(jak gwiazdozbiór niepoważny!)
gdzieś za nami wrzaski jazzu
i świat cały bardzo straszny.

Tylko parkiet nieomylny
prowadzący nas bez sensu
krótkim rytmem boogie woogie
po tym naszym ciasnym miejscu.



Lubelskie



Krajobraz

Matce

Lubię małe krajobrazy,
gdy się w słońcu topią,
gdy obłoków białe baze
biegną bosą stopą.

A tu skrawek nie krajobraz:
brudne, małe życie.
Tylko księżyc, gęba dobra,
pocieszyciel.

Dołem ślisko samochody,
wozów ranny jazgot.
Tylko czasem w zmierzchu pogodny
komin zerknie gwiazdą.

Tam poczciwie drzemie modrzew
otulony w opar –
a tu księżyc na chmur kołdrze
rudą głowę oparł.

Kanikuła

Ponad domem dymu dyszel –
wyżej obłok:

siwy zaprzęg.

Gdzieś wyjechał mój woźnico?
Skąd to?

A najjaśniej – a najwyżej –
słoneczne chomąto.

W szum listowia kół twych dzwona
w okno promień białych szprych.
Zaciął wiatr i ponad klonem
bicz
ścichł.

Wiezie domu jasny wóz
i obłoku siwy zaprzęg
ziemię suszy –
ziemię burz –

zawsze.

Sielanka

Tyle wiosny z ptasim powrotem –
tyle mleka pączkom, płam biedronce.
Już nastroszył się las szepcząc plotkę –
już w czerwonych wikłach ćwierka słońce.

Czarne błoto otwarło czeluście,
pochłonęło lekkim trudem spieszne kroki.
Wrony wrzeszczały widnokręgom:
„Wypuście
soczyste, poranne obłoki!”

A na progu kuchennym wśród upadłych piór
mądrość spojrzała wzrokiem szczenięcym.
Zasępiło się czoło nad gdakaniem kur –
i z powiewem uszył myśli...

i nie więcej...



Zima wiejska

Co dzień trzeba wyjść na próg,
który łamie się i chrzęści –
co dzień trzeba nowy ślad
zapisywać po obejściu.

Co dzień trzeba zbierać plon,
przechodzących sadem nocy:
to sikorki, które śpią
tak jak zwykle – ale mocniej.

Płóz i wiatru ostry świst,
koński zad kołysze drogę –
poprzez czas ten można iść
jak przez wrota otworzone.

Kuli się i kurczy świat,
sosny otwierają sęki –
i znów długi, długi wiatr
chmury w drobne skwarki strzępi.

A z tym śniegiem sypie zmierzch,
dzień zachodzi w szarą kulę.
I już musisz lampki strzec –
bo filuje.

Co dzień trzeba długo słuchać
jak narasta w ścianach mróz,
i jak śnieg buduje próg,
i jak piec u skrajy snu...



Coda

Masz oto ziemię nie malarską:
razowy bochen,
która odeszła z wiekiem płochym,
w przelocie pęcicin, z wtórem parskań
wśród lat popłochu.

Masz sprawę drzewną, sprawę żytnią,
sadów urodę –
masz długą zimę, wiosnę szybką,
i lato, które toczy płytko
wilgotne chłody.

Tam pozostały wróble, mysie,
zajęce prawdy –
bo ludzkie tobie bliższe dzisiaj.
Odwodzą cię od wiejskich wisien
szerokie trakty.

Ten świat ma cztery strony. Piątą
ozdabiasz w dźwięku.
Blask prosty w krętych wzorach odtąd
zbyt przystrojona błyska zwrotką –
niestałe piękno.

U słów postoję. Więźą jeszcze
łagodne śpiewy –
jak szyby zamącone deszczem,
jak słońce, które potem zetrze
ślady ulewy.

Z dyariusza włóczęgi...

Jakieś miasto

I oto znowu jakieś miasto
zaciska palce w nieustannej pięści:
poskręcane, że zda się nikt go nie rozkręci
ruin żelastwo.

Oskarżać chce i winić
za świat, który nagle przeszedł –
obnażony i otworzony do piwnic –
bez historii
bez krzeseł
bez czynszów i pięter chwały –

świat oczywiście upadły.

W rozbitych szybach blask
wyszczurza zęby:
tu mieszka tylko czas
termin bezwzględny i względny.

Spadły biurka? Ale gdzież są interesy?
Spadły łóżka? Ale gdzież jest miłość?
pogasły firanki? Lecz to już ani bezwstyd
ani wstydlivość.

Tysiące kroków zostało bez podłóg –
milion spraw uszło z odkorkowanych pokojów –
i gdzież jest to wszystko co upaść nie mogło?

– w powietrzu byłych domów? –

Przywrócone zostaną mury
dziś odarte z mieszkań i pluskiew,
Wypełnione zostanie powietrze –
dziś w tym mieście – jedynie ludzkie.
Odjęte zostanie żelastwo –
pamięć słuszności i błędów,
a czas wyznaczy granicę
bezwzględną granicę i względną.

Odjęta będzie pamięć
otwarte będą pięści –
– spójrz – tam dziewczyna
przystanęła w bramie –
w jakimś mieście.

Jelenia Góra

Adiemu Ciechanowieckiemu

Już ani śladu po jeleniach.
Cienie w podcieniach.

Trzy okna w rzędzie i gipsatury,
troszeczkę ciasno w starej uliczce –
lecz nadal stoją przytulone mury
i są serdeczne, gdy ktoś wyszepcze:
„Jakże tu ślicznie!”

A potem wieczór: – ciepłe okienka
hodują wróble i szrony –
nad nimi chmura pulchna i miękka –
to góry nocą ułagodzone.
W brzydkim kinie sam na sam z filmem,
ekran siny jak dusza rybia,
a stary film jest starym winem:
usypia.
W końcu makieta się zmienia –
cienie w podcieniach.

Polsce wielu zabrakło mieścin –
niech ich urok tu się pomieści,
tu gdzie stał pożar chciwy nad miastem,
daleko – w wieku osiemnastym.

Księżyc wspiął się na hotel,
po kocich dachach elektroluksem.
Może go wyszabrują potem –
może usnę –

Dookoła snu są podcienie...
W Jeleniej...

O miastach

Wiatr podaje oczom rozprószone cegły,
kołysze wysoko pustymi ścianami –
schodzi drobny deszcz – zwolniony dynamit –
będą pod nim mury pomalutku więdły.

Ledwie można dotrzeć do pogieętej jezdni –
krzywe zbocza gruzu idą aż do pięter.
Po niepewnych ścieżkach wędrują współcześni,
kluczą pośród kałuż tyńkiem nasiąkniętych.

Miasta naszego czasu otwarte na oścież
srogim ogniom, ulewom i wiatrom!
Miasta naszego czasu w obliczu ciemności
krótkiej jak atom!

Miasta, po których moi bracia śpiesznie drepczą!
Miasta w żywiołach postać tracące najlepszą!
Pachnące starym dymem i młodziutkim wapnem –
miasta moje – miasta nieroztropne –
do groźnych baśni podobne –
pierwsze – ostatnie –!

Wrocław

...a trawa spaceruje po brukach ucichłych,
rozbrojonych latarni dotykają wichry,
w makietach pustych ulic smutno i daleko –
kruszą się martwe style odeszłego wieku.

Ja nie biegnę do owych ugaszonych ulic
gdy odwiedzać przybywam.
Wolę słuszny kubizm,
przeloty samochodów oraz kapeluszy
i wystawy, na których sztywne panie kuszą.
Albo spokojnych mieszczaństw pompierski panteon,
w którym świadectwo dano urojonym dziełom,
gdzie teatr i kawiarnia – reprezentacyjne,
gdzie kariatydy robią miny secesyjne,
i gdzie między symbole cnót, muz, instrumentów
wchodzi prawdziwy gotyk –
też ogniem dotknięty.

To są moje przechadzki i odwiedzin schemat:
tramwaje oddzwaniają niedoszły poemat
i płyną w głąb mieszczaństwa bez złośliwych kpinek –
aż nagle wzrok uderza ocalały rynek..

O rynku pisać? Ale nie pisać zbyt długo?
Estetyzować, chwalić lub zamącać nudą?
Lepiej jedno spojrzenie rzucone przypadkiem:
na ratuszowym fryzie w kosmate pośladki
gryzą się wzajem monstra – niegroźne – domowe.
Szkoda, że tego fryzu nikt wierszem nie powie.

Chodźmy dalej –
przepuszczą kamieniczki krzywe
nierealne, kradnące groźną perspektywę,
którą święta Elżbieta pod obłoki trafia.
Wejźmy – pobożnych kupców ujrzyć epitaphia:
hierarchia wieku sztywne ustawia figurki
w ordynki ostatecznej patrząc pobudki.

A potem Universitas – radosny rozmach
architektury mądroj, której myśl pobożna
panegirykiem niebo i obłoki chwali
w Oratorium Marianum oraz w bujnej auli.

I jeszcze święty Maciej – i Ossolineum,
gdzie odpoczywać ucząc dano różnym dziełom,
gdzie z młodym polonistą wiek zasiadł brodaty –
i gdzie dobrych poetów dobre autografy.

A na koniec do serca murów tego miasta
przez liczne nurty Odry, która miasto pasła,
przez Piasek, gdzie o sprawy wzniosłe lub znikome
modlą się Panny Marii szkarpy wielce strome,
i gdzie Kanonia ściany od owych szkarp straszniejsze
wznosi ku niebu, które i chmurne i Boże!

Ale o Krzyżu Świętym – najwyższym, najśmielszym
nic nie napiszę – bowiem kres tu gładkich wierszy –
niedostatecznych wierszy kres, gdy duma waży
u ran katedry dzieło naszych kamieniarzy.

Wierszom powracać w miasto zeszłego stulecia,
gdzie po ciemnych latarniach Bezpióry przeleciał,
gdzie traw przechadzki wolne, gdzie pamiątki tylu
nierozsądnie wróconych do istnienia stylów.

Wierszom do skromnych spojrzeń, a nie do uniesień,
kiedy skroploną szarość rozpoczyna jesień,
kiedy w zegarku tyka godzina nagląca,
kiedy w „Pedecie” obiad pospieszny ust kasa,
kiedy sapiący odjazd z Wrocławia wyprasza
spojrzeń kronikarza...

Brzeg

Piastów na bramie zamku niby ulegalek –
zwisają wąsy, nosy, podbródki wspaniałe,
cisną się antenaty – i Bolki i Mieszki
pochwalić różnych wnuków, co w niepamięć pierzchli.

Pycha z genealogią gwarny czyni zamęt,
a prowincja z akantem splata się w ornament: –
im bardziej sznie historia, im wstydliej milczy
tym więcej wdziewa ozdób – jak kruczków prawniczych.

Milczenie poszło w miasto: zaułki uległe
powszechnej ciszy w okna i drzwi biorą kneble,
czasem bąkną nieśmiało, pogwarzą przy rynku –
lecz głębiej: wilgoć mapy studiuje na tynku,
pająk żagle naciąga na wezbrany przeciąg –
i śmieci zawirują –
i myśli ulecą.

Więc sunie ciemna podróż w kamiennym szeregu
i Brzeg ciszy dotyka u prowincji brzegu.

Jawor

Podcienia osmalone – szepty renesansu –
baszta z czapą skręconą w korkociąg bez sensu –
portale lekkomyślne: skamieniały snobizm –
(odbite nosy pamięć ukradły podobizm) –
Święty Marcin na koniu i wychudły nędzarz...

Jaworze – oczom szumisz, powieki odpędzasz!
Jaworze – chwile spojrzeń zanurzysz w utrwalacz –
tak jak ja swoje zdjęcia –
i unieść pozwalasz!

Osmalonych podcieni korytarze wiodą
wśród pni kamienic zmytych historią, jak wodą,
wśród ostygłych pożarów, oswojonych ogni,
gdzie kruche siedzą dziwy, bezbronne uroki –
...i starodrzewem ulic idzie szum – jak boru –
każąc oczom unosić dawną pieśń Jaworu.

Stary Gdańsk

Z osmalonych portali ledwie tyle
by odczytać przebrzmiały dobrobyt:
muszle wnętrza, wąsate profile
i wesoło pluszczący wieloryb.

Pustka ruin i ruin fantazja
przeźroczyście ustawia sylwetki –
tyle z trudów narosłych przez wieki.
Odpłynęła w głąb lat tłusta Hanza.

Skwar unosi parujące cegły
i czerwone obłoki spod opon –
a renesans jak piękny poległy
obojętny mijającym krokom.

Ale nowy prąd żywego wapna
bije w ciszę osmalonej grozy:
wiatr przebija obłoki dla światła –
gruz dla ludzi przebija buldożer.

Iskrzy spawacz u wyniosłych świątyń,
gdzie bezlistny las filarów wielkich –
zawiązuje murarz bardzo mądry
kamieniczki w łagodne rolwerki.

Pośród domów, kościołów i kaplic
prosty ludzi spocone zasługi –
mówią o nich nie marmury tablic,
lecz w sklepieniach napinane łuki.

A ja wciąż u ażurowych fasad,
z których każda jak księga bezcenna
gadająca o spalonych czasach
pana Obergena.

Reszel

małe miasteczko Reszel
na pograniczu Warmii:
zameczek bardzo groźny –
jak pudełko zapalek.
Lecz któż śmiałyby najść włości
gospodarnych biskupów?
Jakież szturmować mury
wazyłby się śmiałek?

małe miasteczko Reszel
podnosi się z za wzgórz
o krok zaledwie od szumu
mazurskich jezior i puszczy.
Jest gościnne lecz dba
o pozory potęgi:
taka ceglana pięstka
w łagodnym nurcie wzgórz.

Od zamku wąskie uliczki
wiodą pod tum gotycki.
Za rynkiem stoją otyłe,
a więc zasobne spichrze.
Bardzo godni mieszczanie
nasłuchują w swym grodzie
historii starych murów
(od mysich sprawek cichszej!)

Bardzo godni mieszczanie
zapraszają na wódkę.
Gościa jednocy z nimi
luby, przymglony szum...
a to mruży zameczek
w siniejącym powietrzu
w małym miasteczku Reszlu –
w małym miasteczku Reszlu.

Mitologiczne miasteczka

Na linijki wyszły
śpiewne romantyzmy
mity wraz z legendą.
Nie pytajcie wiersza,
gdzie są te miasteczka –
bo to wszystko jedno.

Szewcy już wieczorem każą spocząć młotkom,
bo szewcy wieczoru stukiem nie chcą dotknąć.
A krawcy maszyny uśpią, by nie gryzły,
i uśpią żelazka – by z nich dusze wyszły.
Wszystko ma odwieczny w tym świecie mechanizm –
każdy go oliwi – nikt nie zna się na nim.

Wieczorem na rynku już tylko przechadzki,
choć jeszcze w powietrzu trwa szum straganiarski,
a pod kasztanami albo podcieniami
przystają na chwilę szeptu z panienkami.
Czasem wszędzie lampa nad gwałtowne bruki
dojrzy siwy portal lub nieśmiałe stiuki.

Przy okazji ratusz uprzejmie pochwalmy,
choćby to był barok dość prowincjonalny.
Zresztą w renesansie niechaj ma początek,
lub gotycki kryje w swoich murach wątek –
zawsze lepiej chwalić – zwłaszcza że ratusze
mają w urzędnikach ozdobę – nie w murze!

Wreszcie czas na księżyc wierszom nieodzowny.
Stanie wśród kominów. A jaki? – Ogromny!
I już całkiem cicho – i już jak melodia
małoważnych dziejów dumna mitologia.
Zamość czy Orneta, Bolków, czy Kazimierz?
To nie ma znaczenia – wedle woli wybierz!

W bardzo małych miastach wśród otyłych plotek
snu nie płoszy dzisiaj głośnych dziejów potok.
Śpią narzędzia, bruki, chandry, dostojęstwa –
kotom się jedynie wybacza przestępstwa,
a poetom wiersze – nawet te zbyt tęskne.
Potem świt. O świetle wszystko pryska ze snem...

Na linijki wyszły
śpiewne romantyzmy
mity wraz z legendą.
Nie pytajcie wiersza,
gdzie są te miasteczka –
bo to wszystko jedno.
Sandomierz

...i przepuści Brama Opatowska,
pod którą stromo wypelza wyślizgana kostka:
koń wspina się osuwa i pada boleśnie –
Jeep natęża benzyną wykarmione mięśnie
i już – niby na wietrze postawiony kołnierz
bezludny rynek wita gości...
to Sandomierz.

Historia stąd przed laty szczelinami uszła,
ledwie jej osad dojrzysz na ścianach ratusza
co każe wzrok przejezdnym zadzierać, by w niebie
podziwiali attyki wyszukany grzebień.
(Bo ratusz niby kogut wypchany – więc cichy
jest z czerwonej patyny, grzebień i z pychy).

W rynku oprócz ratusza niezbyt częste domki
obsiadły perspektywę na Wisłę i łąki.
Gdyby nie one, byłby z tych łąk i z tej Wisły
smęt młodopolski: długi, rymowany, mglisty.

Uliczek kilka. Każda umyka w zakosach,
przy każdej kamieniczki w dziwnych siedzą pozach,
to naśladową gmachy o piętrowej chwale,
to niby dworki w zieleń przysiadły niedbale,
wsparły je grube szkarpy w ciągu wieków postnych
i dziś są niby dzieci w butach po dorosłych.

Od szkarp do szkarp przeróżne kładą się poziomy –
bo Sandomierz ma wzniosły charakter – jest stromy.
To wspinać się, to zbiegać trzeba – bez umiaru.
To brzeg jak dzielna burta –
to sekretny parów
wśród zarośli podskórne uprawia wędrówki.
Ale zieleń się pruje – i oto dachówki
jak czerwone poduchy, skąd wyfruwa pierze –
Lecz to tylko gołębie spadły na powietrze.

Tak się to miasto zrasta z elementów mnóstwa:
z impresji i historii, ze wzgórz i ubóstwa.

Dawniej mieszczan, jak sroga a rumiana niańka,
strzegł mur. Wzdłuż muru zwolna chodziły po gankach
strzelnice wąskookie – na przyjezdnych bacząc,
czy uczciwie handlują, czy zwadę chcą zacząć.

Dziś z ganków, baszt i murów tylko zarys został,
tylko ich profil czasem dojrzysz na domostwach –
przewierciły je okna w słońcu i doniczkach,
przykucnęły pod nimi chałupki w uliczkach,
i tylko Opatowska Brama (w której ciasno)
jak po zmarłym ministrze dostojny parasol.

I miasto za nic mając wiekowy porządek
wyszło z murów jak z garnka nieposłuszny wrzątek,
by bez ładu parowy i wzgórza popłamić
białą pianą (to znaczy: białymi domkami).

Lecz wrzątek już od dawna – wzburzywszy się – wystygł,
i z tych ostygłych kasków wizje urbanistyk
może snuć, gdy przyjeżdża tutaj na wakacje
poeta lub architekt – jeśli ma fantazję.

Można by tak bez końca gadać... niezawodnie!
lecz i tak z tego wiersza robi się przewodnik,
który kalwaryjskimi rymy wodzi w kółko,
pierwszeństwo dając kocim łbom oraz zaułkom.

A jeszcze do kościołów trzeba, które siedzą
po krańcach miasta – ciszy murowanej strzegąc –
i wiek kamienny noszą na ceglanych barkach,
i każdy nad wodami mroku, niby arka,
i każdy nad planami świtu płynąc w górę
ku żaglom chmur przerzuca sznury sygnaturek.

Panuje im katedra, co jak kościół wiejski
mieszka wśród lip. W jej wnętrzu bizantyńskie freski
z gotyckich łuków oczy podłużnymi patrząc
na złotą mowę Nowy Testament tłumaczą...

Lecz właściwie to fresków jak gdyby nie było,
gdyż je paluchem grubym tknął niebaczny żywioł,
co zwie się „restauracją” (dla dobra ojczyzny!)
więc z ruskich malowideł – farbka do bielizny,
i złoto, które zda się wprost od jubilera...

Chodźmy, chodźmy – gdzie indziej za dawnością szperać!

Bo tyle jej wokoło, że przebierać warto –
patrz: dom Długosza stanął nad wyniosła szkarpą,
bo uczony zostawił wśród swych dzieł wspaniałych
i budowie – godności pełne jak foliały.
A w jego właśnie domu, jego służąc ziomkom
zamieszkało muzeum, co zda się skarbonką,
co i w złoto zasobną i w drobne miedziaki...

Wejdźcie...

(a wiersz zaczeka, wejść brak mu odwagi!)

A teraz na dolinę rozłożystą spójrzmy,
skąd niegdyś wolne wody w wolną Wisłę uszły,
i gdzie dzisiaj żeglują floty mlekodajne –
krowy, nawy dostojne...

 i wreszcie siadajmy
na Jeepa – na rumaka bez kopyt, bez owsa –
by dalej, dalej szosą z „trzynastozgłoskowca”...

Góry Świętokrzyskie

Jodła już nie chce niżej
po ścieżkach kamienistych –
swoje suche kosteczki
składa do chłopskiej ręki.

Tam – gdzie już nie chce jodła,
tam – gdzie spływają ścieżki
drepczą chatki gruzlicze,
obórki skrofuliczne,
stodoły z wpadniętym brzuchem.

Gołoborze się czai
pod zagonów naskórkiem.
Przychodząc tu spod jodeł
pługom się sprzeciwia.
Wąskotorówka sapiąc
obgaduje pagórki –
wiezie z „dalekich krain”
dym pod jodlany oddech.

A na łysym, garbatym grzbiecie
klasztor co był dla dożywotnich
i kościoła razowy mur
na deszczowych mielony żarnach –
i kapliczki wśród ścieżek wiotkich

jak białe klocki z chmur –
i puszcza za życia umarła.

Jodło, jodło pisana
krystaliczną prozą –
po wiotkich, szybkich ścieżkach
kosteczki twoje niosą!

Glebo, glebo krajana
leniwym lemieszem –
twoje chude kartofle
sypią się w moje wiersze!

Jodło spod wzroku ptaka!
Glebo byle jaka –
sługo najniższa!

Tym w dole –
brzuchy nakarm
płuca oczyszczaj!



Zakopane

...więc się puszy górnice
i nagle grubą chmurę grubym wierchom urwie,
rzuci na dół, otępi przelęknione wczasy,
wezdmie płaszcz, szyb sięgnie i rozdmucha lasy.
A zanim lęk ucichnie i „kociaki” wyjrzą
puste Krupówki zliże bezbrzeżną odwilżą –
i zanim mgły się przetrą, przemalują panny
on odejdzie w doliny –
no rozumiesz – halny.

Tak na chwilę wyparta ze swoich stanowisk
wraca zima w śniegowy przystrojona połysk –
łagodzi gór wzburzenie, świerków ostrołuki,
i wszystko za noc jedną w nowej stawia sukni.
Zanim jej biel zapiszą tropy nart i zwierząt
jest chwila jak przed wierszem::
czyste karty leżą
pod zimnym piórem wiatru, co się chwilę waży,
nim wpisze pierwszy werset porannych narciarzy.

Więc wybuchają dworce: gazdowie, dzwoneczki
i z wszystkich naszych kufrów wypruwane resztki –
futra, dachy, kozuchy, lisy, nurki, kuny,
i szaraki, i źrebce, i „bażantów” tłumy...¹

¹ Zewsząd nadciąga naród – kto młody i stary... więc również swą stylową przywdziewa czamare ozdobną szamerunkiem (co firma to firma!) i porzuca Warszawę. sam Leopold Tyrmand!!

Teraz, kotlina kopciem, srogim się powlecze,
sadzami i kapustą nasyci powietrze –
to powietrze niezwykle – ach – (tu hiatus długi)
co DARMO miejskim płucom oddaje przysługi.

Potem słońce zaczyna swój kurs dorożkarski
i gór blaski skrzydłami biją mu oklaski,
jak gołębie, gdy stadem nagle się poderwą,
albo... lecz po co dalej prząść myśl niewspółmierną...

Ulice ozywają, pustoszeją domki
i już szturm rozpoczęty: tyralier ogonki
forsują kas przyczółki, bunkry poczekalni,
dopadają kolejek –
i wjazd tryumfalny,
i entuzjazm (w bufetach), i wprost żywiołowy
kontakt z przyrodą (poprzez balkon hotelowy)!!!

Gdy góry (i leżaki) zdobyte zwycięsko
słońce (złociste) zerknie z niebios (gdzie niebiesko)
i wkrótce niby mówca na wielkiej masówce
powala w błogą senność tłum na Gubałówce.

A to już nie na miarę mojego śpiewania,
by opisać tę ludzkość na „podniebnych graniach” –
tu nawet Homerowi w heksametrze wierzgnie,
gdyby gubałówkową miał opisać rzeźnię:
jatkę obfite, ciała mnogość rozmaita,
w słońcu skwierczącą, słońca promieniami przebitą.

Odejdźmy stąd. Lecz naprzód powierzmy tym śpiewom
ileż zbyt pewne siebie spojrzenie na Giewont,
co jednaki a coraz to inny, gdy gada
oczom zdjętym pokorom.

On – gniewna fasada
budowli gór niezwyklej, w którą grodzi dostęp.
On – piewca nieustanny poezji wyniosłej
i niedostępnej uszom nawykłym do krzyku –
(bo prawdziwą poezję mówi się po cichu!)

A pod Giewontem – wieńcem, ludzką skarżąc nędzę
leża plastyków naszych potrzaskane pędzle,
głoszące gorycz kląski, której ślad widomy
noszą na swoich ścianach rodzime salony.

„Gór syci” zstąpimy na dół, gdzie porwie nurt szybki
życia, co pachnie sianem, świerkiem i oscypkiem.
Tu się wioska poczęła – a owo poczęcie
po latach rozmaitych wygląda jak szczęście.
Stąd wypełzła ku górze – formując ulicę,
wzdłuż której kamieniczki, jak miejskie ambicje
lub jak smutek młodości dotkniętej sklerozą...

...a tu jeszcze i nabiął, i śmiech co dzień wiozą
na Tag...
tutaj kościółek, gdzie sęki na ścianach
niby kręgi na wodzie, co ciszą wstrzymana.

Więc pachnie dobra starość, i świece i modrzew,
i czasem ktoś wstępuje, i wówczas jest dobrze,
a świątki zagapione pobożnie na chórze,
wchodzącemu, gdy milknie, szepną nieraz: „zmówże...”

To chłopskie Zakopane – „staromiejski szczyt”,
przed potopem brzydoty ustępując – wątle –
wyciąga z prośba ręce ponad świat beztroski:
czynszówkowo-romański i tyrolsko-swojski,
przez leniwe Krupówki – na odległe Bystre –

Tam drugie Zakopane, romantycznie-mgliste,
młodopolskie, malarskie i witkiewiczowskie,
już nie całkiem góralskie, ale całkiem polskie.

Zakopane gruźlików, samotników, natchnień,
wojażów, kart pożółkłych, tęsknot nazbyt łatwych,
nieprzebranych liryków, amatorów, farb, płócien,
i twardej, skalnej śmierci, przed którą nie uciec...

O Zakopane starych doktorów, co tracą
godziny zmierzchu pełne, posłuch dając bacom,
o historia – niedawna, barwna i szarmancka –
czy słyszysz jak po górach słońce dłońmi klaska,
i co dzień nowe strony pisze nowa młodzież,
której dni idą w mądrość (i starość)
...tak co dzień,
jakiś wiersz... jakiś pejzaż... jakiś zmierzch –
jak rozdział...
o wierszu nieposłuszny, gdzieś ty się podział,
gdzieś zabrął nieopatrznie, gdzieś zajrzał – odlegle,
od Antałówki idąc spacerem „Pod Jedle”...?

...i chwilę jeszcze z żywic budowane stropy,
świerszcze – nie dla muzyki, mrok – nie dla ozdoby,
i cisza – sofoklejska, i śmiech – niczym z Fredry...
Zakopane! – mój świecie – nieprawdziwie srebrny!

Stąd nie schodzić, nie ufać Krupówkom i szminkom –

...a gdy świerki wzbierają, ludzkie echa milkną,
a gdy wzbierają skały, gdy głębłą przepaście,
czujesz spokoju najście i muzyki najście –
bryły rzeźb sens znajdują, formy sens przekroczą –
i nie ma granic płucom, nie ma brzegów oczom –

Pochyl się, kandahary napięte upewnij,
firmowe struny deskom zagrają najśpiewniej,
gdy coraz dłuższe kroki nagle w lot przeskoczą
i lotem tym kark ugną najdumniejszym zboczom –

– a uszom już nie wiersze, lecz wichrów konszachty,
gdy gubiąc heksametry odnajdujesz zachwyty!

Wiersz tłumaczący

z jakich powodów nie odważyliśmy się dotychczas
napisać wiersza o stoł. król. mieście Krakowie

Nie jestem stąd – więc jakże?
Nie jestem stąd – więc nie śmiem!
Wszyscy Krakowianie jak sędziowie groźni:
profesorowie, radcowie i woźni
staną nad wierszem.

Załamię się, gdy staną –
padnę, gdy trybunalskie
wytkną palce wskazujące na mnie
„Pan o rynku...? Wawelu...? O bramie...?
Bramie Floriańskiej...?”

Mam prawo – po ulicach...
Mam prawo – do Noworola...
Mam prawo błędząc w krzywej Kanoniczej
pytać o czasu zatarte oblicze
i o Michałowicza. Z Urzędowa.

Mogę mówić źle o Siemiradzkim
(i o innych co w Panteon poszli!)
Mogę się zakochać (ale bez nadziei!)
w tańcu figurek Stwoskowej predelli
mogę nawet mieć *Krakowski Rocznik!*

Ale pisać?

– Wszak pan, proszę pana,
nie z Krakowa...? No tak... zawierucha...
Ach – pan wiersze...? O Krakowie...? Myśl ładna...
Choć właściwie... tego... proszę pana...
pan nie może... tego... wyczuć ducha...”

Niepoważne uwagi o Łagowie

Łagów na dwóch jeziorach,
jak na dwóch stołkach –
a nad nim zamek z basztą
pisaną po obłokach.
Zamek od innych domów i wyższy i zuchwalszy,
choć ogniem i żelazem nikt tu nie walczył.

Dwa jeziora zamkowi
służą urodą.
Dwie drogi z różnych lasów
do zamku wiodą.
I dwie są bramy, które pilnują osady –
jak gdyby dwie pieczęcie na ciszę kładły.

w tych bramach trochę ciasno
wozom ze zbożem,
lecz Łagów bram otworzyć
szerzej nie może –
bowiem te opiekunki strzegące domków ładnych
na pewno w wodę by wpadły.

Dość, że w tę wodę lecą
nagusy i naguski –
że pod dumnymi mury
różne piski i pluski –
że po brzegach panowie w kamizelkach lub szelkach
marzą, by się na wczasach ryba trafiła wielka.

I tyle niepoważnych
uwag o „mieście”,
prze, które dużych kroków
może ze dwieście.

Za zamek buńczuczny, za bramy,
za śliwki gościnnych sadów
serdecznie pozdrawiam Łagów.

Byczyna

W przewodniku wyczytasz o Maksymilianie,
że tutaj – pod Byczyną – wziął przesławne lanie.
Wyczytasz jeszcze nieco zabytkowych metryk,
a tu szosa ostatnie liczy kilometry
i już sylweta miasta wschodzi nad równiny,
a nad nią baszty: ciemne, bezdymne kominy.

Więc tędy także ogień przeszedł, więc tu również
w bezpiecznym świetle ruin staniesz i ogłuchniesz,
więc tu baszty osypisk strzegą i kóz głodnych
(do swych siostr Wergilego w niczym niepodobnych),
brudnych, biernie stojących tam, gdzie stały kuchnie,
sypialnie, sienie, sklepy...
tam, gdzie z ciszy głuchniesz...

Tej ciszy baszty strzegą: ceglana niezłomność!
Lękał się ich najeźdźca, sławiła potomność,
lecz dzisiaj – emerytki – wartują na darmo,
nikt nie czeka najeźdźców, nie słucha alarmu...
Na jednej z nich syrena – zardzewiała blacha
rozgląda się po rzadkich, ocalałych dachach –
już jej lotnik nie spłoszy do długiego wycia –
deszcz ją tylko dotyka – człapiący po liściach,
przedrzeźnia tylko wiatr – jak gdyby w nim przetrwał
jęk wygasłej rozpaczy...
jest już niepotrzebna.

Nie ustrzegł śpiew syreny: kozy małoduszne
na osypiskach domów z pokrzyw mają ucztę.

Zamek Świny

Kilka kilometrów od Bolkowa
przy szosie
ruina zamku – twarda czap na lesie.

Kilka kilometrów od grodu śląskich Piastów
konkurencyjna firma: niemieccy magnaci
wydźwignęli szary, stromy blok
nad wzgórze głowę liściastą
ku przestrodze:
drodze
i miastu.

Mury, bramy, ciasne przesmyki,
kazamaty, osypiska, wykusze –
odrobina alpinistyki
i zadumy garść,
a odnaleźć można zwiędłe echo,
romantyczne ballady i liryki,
oraz obłok na samej górze
jednej z baszt.

Nie przesadzam ani trochę – najdosłowniej:
odnalazłem wiersz na ścianie jednej z komnat
i zabrałem go ze sobą na zawsze
(w kieszenie pamięci)
niepoprawny szabrownik:
„Verspände dein Leben beständig,
denn man ist länger tot als lebendig.”¹

¹ Ażeby było wygodniej.

Szkic nie napisanego reportażu o Kostrzynie

Przed czterema laty byłem w Kostrzynie.
Kostrzyń? – Miasto-nieboszczyk.
W ślepych oknach czarny wiatr – czarny wiatr –
jak puszczyk.

Przed czterema laty, czyli w sześć po wojnie:
a miasto było niegościnne ogromnie –
na jezdniach stały domy,
na miejscu domów zaduch,
w bocznej uliczce znaleźliśmy ludzka czaszkę,
ale restauracji – ani śladu.
Do bani z takim miastem – powiedział Zbyszek.
I jego trafny sąd wciąż w pustym echu słyszę.

Że wspomniałem o czaszce... no cóż?... po Hamlecie,
który bez reszty wygra ten rekwizyt,
jakoś to głupio... lecz przecież
trzeba naszkicować tak zwane tło...
a poza tym
krążyły mi po głowie rozmaite pomysły,
w swym bałaganie godne kostrzyńskiego śródmieścia,
że wojny – na swój sposób – były sprawiedliwe,
obdarzając sobą na równi
i tego co chciał
i tego co nie chciał,
i duże smutne miasta
i małe wsie (podobno szczęśliwe)...
więc stąd ta czaszka:

po totalnym pijaństwie pusta flaszka.

Było zimno. Nie było knajpy.
Ruszyliśmy na chybił trafił szosą, a przed mostem –
oczekując tych nielicznych z wizą
celnik – urzędniczy Robinson.
I choć nie miał na czym przybić nam pieczęci
witał – jak gości najmiłszych,
ludzi głodny – jak my śniadania
w mieście co milczy.

Staliśmy więc na szosie z celnikiem,
na prawo ulice nie bardzo dobre,
na lewo cmentarz żołnierzy Radzieckich,
którym nie dane było przejść Odrę –
tak – tę szarą – na wprost,
tam gdzie szosa wskakuje na most.

Za Odrą pola, grządki ruin,
i czarny wiatr – jak tu.
Myślałem – patrząc – że byłby to traf nie lada
gdyby jakiś archeolog Odrę zbadał
i znalazł w jej dnie słupy Chrobrego – te słupy,
które wbijano nam do łbów
wśród gnuśnej ciszy szkół.

Za Odrą pola, ruin grządki,
i jakiś wiatr, i jakieś domki –
myślałem – patrząc – o patriotycznych trąbach,
które obwieściłyby światu o naukowy odkryciu
wśród bębnow bicia, tukotu werbli...
bo wiadomo – zawsze znajdują się tacy: potrzebni –
dobosze historii, płomienni wieszczce,

na których dzieła najlepsze
sam Chrobry z obłoków spogląda.

Uśmiełbym się – gorzko – bo wiem,
ja – przeszłości amator szperacz,
historii nieśmiały wyznawca –
wiem dobrze jak to nędznie na historii się wspierać,
jak na lasce,
gdy krzywe nogi wiodą do rowu,
do którego już wcześniej wpadły
i hejnały
i hasła...

Bo dla mnie historia dobra, gdy przed nią traktor –
(tak – ten sam – od złych wierszy, trudnych pól –)
i dobra gdy ją czytam z ugorów lub zasiewów,
co płacą podatek faktom
ziarnem lub plewą...

Za Odrą pola, domki nudne,
i ludzie mniejsi od swych zajęć –
Historio – nie wiele ci daję
w to chłodne przedpołudnie,
gdy czekam na skraju rzeki
na skiby fal spod galarów,
gdy czekam na skraju pól
na fale skib spod traktorów...

dopiero wówczas ci oddam
uliczkę, czaszkę białuchną,
nawet ten chłodny poranek bez herbaty,
nawet ten wiatr nad szarą, szarą wodą –

sobie zatrzymam ufność:

że ta ziemia – przy szosie
da na co stać ją:
kłosa wyższe od słupów Chrobrego,
wyrosłe na śladach czołgów,
nad historyczną racją.

I jeszcze ta ufność:
 że ludzie
tyle dadzą i tyle wezmą
ile trzeba by uczciwie wypełnić
dużą białą ankietę socjalną,
którą śmiem nazwać
historią współczesną.

Do bani z takim miastem – mówi Olek –
słusznie – bo żeby najgorsze knajpa,
a tu tylko czarny wiatr – czarny wiatr –
i gdzie odrzańska szkarpa
miasto – wstrzymany pochód kalek.

Żegnaj szoso. Żegnaj cmentarzu.
I ty – sprawiedliwy celniku.
Tobie – bić na paszportach pieczętki,
a nam – szosę połykać szybko.

Cztery lata temu opuściłem Kostrzyń.
Role wydarte ugorom wtórowały kołom.
Za kołami niel czarny krąg popiołu –
miasto-nieboszczyk.

PGR Myców

Wiatr przeleci – ani nie spocznie.
Ptak przeleci – ani nie zerknie.
Nad ogłuchłym parowem cerkiew,
ponad cerkwią – sprawy obłoczne.

Tu – na morenach żyznych
szeroki oddech: stepowy, podolski...
Tu – spotkały się trzy faszyzmy:
ukraiński, niemiecki i polski.

Teraz dzikie jabłonki w gęstwinę
sypią cierpki, zielony owoc,
nad osmalonym kominem
księżyc pochyla się co noc.

Na hrubieszowskich równinach
grządki gruzu pod strażą krzaków,
stare grusze – karczmy dla ptaków –
w których nikt nie szuka gościny.

Nie ma nic...
do izb nie wejdem...
nie ma nic...
samotny chłop
nie ruszy z płachtą na siebę...
nie ma nic...
podchodzi step...

Wioski, przywołane ze wspomnień –
grusze, karczmy przelotnych ptaków –
spójrzcie: z szarych, smutnych baraków
wyszedł traktor w pola bezdomne.

PGR-y brudne i biedne:
po barakach pluskwy i zaduch –
– idzie noc od bezpłodnych sadów,
widnokręgi nagie obiegnie.

Wraca traktor spóźniony – rzęzi.
W białych stertach szpera reflektor
– idzie noc –
i szerzej jest szeptom
w opuszczonych od ptactwa gałęziach.

PGR-y – ubogie wyspy –
pachną ropą, machorką, dziegciem;
Wy im także powiedzcie – grusze,
jaka cena jest roli żyznej.

Wy im także powiedzcie – grusze,
powolne ptactwu wiosennemu –
jakich zbiorów, jakich plonów muszą
od krwawego żądać czarnoziemem...

Idzie noc – żywych i umarłych zrówna
czarnym snem – czarną ziemią –
kiedy stygnie ciemność nieufna,
jeszcze ciepłe traktory drzemią.

Idzie noc – kładzie ślepe ręce
na baraków sen: na żywe wyspy –
tu – gdzie zeszyli się trzy faszyzmy,
tu – gdzie nigdy nie zejda się więcej!

Palcówki

Palcówki

Już wieczór idzie przyplywem
na ziemskie światła swawolne,
już się w spoczynku leniwym
senne zwijają symbole,
już woda lustra wygładza,
i świat na opak odwraca –
już dobre zboże na polu
przy ostrych usypia chwastach –

Już wieczór, prawdziwy wieczór
jak ciszy ton – po dźwięku –
jak zieleń traw – po deszczu –
– prędko – !

A przebudzony ołówek
w odsiecz przybywa słowom
(gdyż inne narzędzia ubiegł
swą cienką drogą ...)

– i to już tylko błahy smutek
przy błahym szczęściu: –
melodia z siedmiu nut
na palcach pięciu.

Pochwalam tyle różnych spraw, a między innymi:

Pochwalam wiersze duże:
elegie zdobne w różę
i księżyc pośród ody,
bo to są takie konwencje,
co ludziom przynoszą szczęście
nie szkody.

Pochwalam też liryki,
że jak przechodnie zwykli,
a zadziwieni –
że jak drobne w tramwaju –
można je zmienić.

Pochwalam chwile nieczęste
zwdzonym rzucone przęsem
przez co dzień i przez co noc,
chwile dla życia dobre –
szczęśliwe albo mądre,
jak owoc.

A jeszcze psa – że ufny,
że w grube kryje kudły
i pchły, i przyjaźń ...
Więc ani psów – ni wierszy,
nawet złych, nawet śmiesznych,
nie chcę omijać.

Piosenka o moim świecie

Mój świat ma cztery rymy,
co cztery wiersze wiążą –
a między nimi zimy
i wiosny jak dziewczyny
ze wstążką.

Mój świat ma barwy trzy
które barw rodzą wielość...
a rym wypada: mgły –
a rym wypada: sny –
– nie dość?

Mój świat ma końce dwa
i jeden złoty środek,
więc temu światu gram
dając najlepszą z gam:
oddech.

Mój świat... ale już dosyć
liczbom i bujdzie:
byle go umieć znosić
i byle móc go głosić –
ujdzie!

Piosenka o rzemiośle

Mam mały rok – w tym roku
układam nuty.
A te próżniacze trudy
spełniam o zmroku.

Mam również malowany zodiak
gdzie jest i waga, i rak,
a pod każdy magiczny znak
przypada skoczna melodia.

Pod szumem groźnego losu
ulegam łatwo:
mnoży się wierszy stadko
grzecznych na pozór.

Co nie wypowiem to wyśpiewam
albo na odwrót –
i zawsze dobry czeka powrót
po gniewach:

Na zodiaku toczę obrazki,
na dniu oglądam blaski –
na noc nakładam rytmy –
i oto trzymam mocno
pełne trudu i łaski,
ciężkie lecz nieuchwytnie
śpiewające rzemiosło!

Piosenka na serio

Spokój lubię, a spokój osiągnięty wiedzą
podwójną miarą się liczy.
Rytm lubię, gdy cezura przecina jak miedzą
nurt najszybszy.

Gniew lubię, gdy buduje. Śmiech, kiedy przewraca
potężne głupstwa.
A także chmury wolne, opiekunki ptactwa
na wiatru ustach.

Pośród nieważnych spraw, od których lekcje
biorę bezpieczne,
ani dobrych, ni złych odrzucać nie chcę –
gdy są człowiecze.

Ozdób tyle co trzeba. Niechwalebny nadmiar
uparcie zwalczam dotąd.
To wszystko. Resztę życia memu udowadnia
wiara i oko.

Wiersz na córkę

Jak to śmiesznie – rzeźbić człowieka.
Jak to cholernie trudno – tworzyć człowieka,
gdy palce grube, glina lepka.

Ale się lepi dzień za dniem,
formuje coś, co wciąż umyka,
jakbyś z wody budował na przykład,
albo z myśli...

zresztą, bo ja wiem...

Ten gest - co się nie zaczyna i nie kończy,
ten głos – co jest zaczątkiem słów,
tych słów, których sam dopowiedzieć nie umiem,
tak jak dojrzyć nie potrafią moje oczy,
gdy tymczasem idzie ktoś,
kto słowa i wzrok
podejmie znów.

Na razie wszystko nie dokończone lub nie rozpoczęte.
Nie dokończone jak zagięcie palca.
Nie rozpoczęte jak Wielki Czyn.
Nie wypowiedziane – szeptem,
nie przeczyte – lecz kojące jak balsam.

Jak to strasznie – lepić człowieka,
lepić to, co się palcom wymknie zgrabnie,
wymknie krwi... i myśli...

(lecz nie sercu)

– z kromki chleba, z butelki mleka
budować inne życie, co moje okradnie.

Jak to strasznie, i rozkosznie, i dobrze
lepić z gliny kości i uczucia,
formować głos, co mówi: mama, tata, baba –
mówi o ludziach.

A wówczas – już się całkiem wemyka,
krew z rany, z instrumentu muzyka,
żywy oddech z mojego wierszyka.

O bałaganie

Nie ułożone światy,
nie policzone kwiaty,
nie zsumowane gwiazdy
w bilansach godzin jasnych...

Przez krótką chwilę stoję
wśród tego bałaganu,
przez krótką chwilę łowię
nutę niedośpiewaną:
nad przemądrzałą starość,
nad przemądrzałą młodość
uskrzydłona swobodą
wyfruwa rześka radość.

Wzniosła starość się gorszy –
wzniosła młodość się groszy –
lekkich lotów dosięga
szmer zgorszenia zaborczy –
że to błąd, że to nieład,
że w ogóle bez sensu,
że wzięło i odfrunęło
bez zamknięcia bilansu...

Ależ proszę: sortujcie –
ależ proszę: sumujcie –
zaksięgujcie pod „Różne”,
pod „Niebaczne”, pod „Uszłe” –
ależ proszę – najmocniej,
najszczerzej, najbezowocniej...

(Bo zanim policzycie,
już kwiaty pogubicie:
smużką woni – po zwrotkach,
smużką śmiechu – po smutkach.

Bo zanim policzycie
i światy utracicie –
atlasy się zamącą,
gwiazdy pójdą – zabłądzą.)

Nieznane



★★★

W moim kraju mieszkają drewniane legendy,
lniane bajki bielone na słońcu.
W moim kraju chodzą drogi tędy i tamtędy,
ale nigdzie nie dochodzą w końcu.

W moim kraju jest dla poezji przytułek
taki jak dom dla starców.
Odwiedzają go panie dalekie i czule
z pierścionkiem tkliwości na palcu.

W moim kraju jest łagodna przychylność dla poetów,
dla smutnych zwierząt i pijaków.
Ale gdzie jest ten kraj? Poza historią zszywaną ze strzępów –
poza pieśnią oszukanych ptaków –

Nauczyliśmy się kraść

Nauczyliśmy się kraść:

Kradniemy czas.

Nauczyliśmy się zabijać:

zabijamy czas.

Nasze bronie są przestarzałe: zacinają się łatwo

taktyka jest niemodna i w ogóle do kitu,

niemniej trafiają się sukcesy –

od czasu do czasu.

Nauczyliśmy się kraść:

na chleb, na koszulę, na tandetną radość..

Nauczyliśmy się zabijać:

myśli, które ludźmi i słowami, które zdradzają.

My – wspaniałe układy planetarne w

przyciasnych orbitach –

Kopernikańska niewola pod radosnym

słoneczkiem.

Lecz oto coś się psuje w astronomii mądrzej:

z systemu wypadają tryby i muterki,

tu i ówdzie komety zakłócają porządek,

coś się nawet przebąkuje o zaćmieniu.

Uwolnieni z przyciasnych orbit,

wyrzuceni na brzeg łagodną falą chaosu,

czy oduczymy się kraść?

czy przestaniemy zabijać?

Ukraińcy

Dziewki smętnookie śpiewne i namiętne –
parobczaki dorodne, konopne.
Step już z dawna usnął, z pól traktory tętnią,
tylko w glinie wóz po osie w dni słotne.

Wasze wiosnki tak jak nasze
– z rozłożystą drogą.
Koło mostu nocą straszy,
nocą – śpiewka i samogon.

Oj wy pieśni rozłożyście pod czerwony zachód,
pod czerwony, pod rumiany, ni to krew na piachu.
Tylko w lipach złote słońce jak cerkiewna bania –
tylko bić się albo szlochać – z gniewu czy z kochania?

Oj wy pieśni – a namiętne jak wasze dziewczuchy:
wzrok mgłą zajdzie, gardło zaschnie, noże za pazuchy!
Ryże popy do żniw skrzykną, nie do modłów –
dziwnych żniw – bo nie orany leży odlóg.

Oj koszule naszywane, oj te dumki –
czarnobrewy sokół w pola – w lasy umknie,
kur czerwony na gonciane skoczy dachy-
i te pieśni – i samogon – „rezał” lachiw!”

Żółto stygnie, woskiem krzepnie ciało rankiem,
dziewkę w sianie tulić będą ręce całe we krwi –
w nasze wioski ze złotego mroku cerkwi
śmierć spogląda – bizantyński, czarny anieł.

Jazz

Cóż wy robicie wariaci,
mistycy i mistyfikatorzy,
wy – umarli, wy – żywi – dziwnie ocaleni
nawinięci na miliardy kilometrów taśmy,
okręceni miliardami kilometrów chropawego rowku
wokół pępka płyty.

Całe wasze życie
(to znaczy oczywiście, jego część,
ta która pochodzi z krwi i tkanki ciała),
więc jednak całe wasze życie
wydmuchaliście przez trąbkę,
puzon czy saksofon,
wytlukliście na klawiszach
lub żagwiach perkusji.

Inni też robili – przed wami.
Ale wam było dane coś więcej:
odnaleźć lekkość wolności
(a nie tylko gorycz),
zawartą w dźwięku, barwie i zdziwieniu.

Dane wam było zwykłe, dobre posłannictwo:
nieść dla innych wesele
w kieliszkach sentymentu,
w grubych kuflach żartu.

Lecz wy chcieliście więcej.
Zaczęliście myśleć,
refleksję kładąc na tej samej szali,
na której tańczy uśmiech, precyzja i żart,
trzy małe siostry wolności.

Uważnie bierzcie w dłonie
dar i posłannictwo.

To małe nic jest jednak potrzebne nam
jak...
nie wiem.

Może jak szklanka wina,
jak cień rzęsy.
Bardzo

Łuk

Bardzo niemądry proces
napięty jak łuk
od jednego końca do drugiego.

Pomiędzy dwoma mądrościami
napięty łuk
pagórek człowieczeństwa.

Pierwsza jest mądrość dziecka
nie zdobyta, lecz dana,
połknięta i wyssana.

Druga jest mądrość starca
wszystko już raz widziane
i wszystko dopełnione.

Radosna jest mądrość dziecka,
bowiem nie musi się liczyć
z prawami cioci natury.

Gorzka jest mądrość starca
tak pewna twierdzeń i prawd
względnych jak życie starca.

A my, a my gdzieś pomiędzy,
na wzgórzu wątpliwości
napiętym niby łuk.

Którzy już nie możemy,
którzy już nie pragniemy
powrócić w mądrość radosną,

którzy już tylko czekamy,
skazani i pogodzeni
na ubogie tobołki wiedzy.

Cholera! Żeby to tak można było pozostać
na tym pagórku między mądrościami,
na pół drogi od każdej z nich,
na tym pagórku wiecznej wątpliwości,
buntu i głodu, pozoru spełnienia,
na tym pagórku napiętym jak łuk,
pośrodku życia!

Limeryki

Itakowy panegiryk wiślany

Kraków jest to miasto cudów,
gdzie jest moc pradawnych budów,
co krok jakiś zabytek:
tu Wawel, a ówdzie Itek

Itek bowiem to ozdoba
czy się to komu podoba,
bowiem jeśli kogo drażni
znaczy: brak mu wyobraźni.

Stąd przymioty wszelkie wzięł te?
czy mu je przyniosła Pełtew?
Czy je znalazł w Łyczakowie,
albo w samym Kulparkowie?

Ja mniemam, że w uczone światy
trafił, gdy larwy i piernaty
zabrał przybywszy na Rudawę
i tu spotkał Panią Sławę.

Więc najpierw na studiach wyniki
w zakresie biustu Moniki,
bo że była jako wiochna
stwierdził Szablowski i Bochniak.

Lecz najbardziej zdziwił wszystkich,
gdy w przybytku Czartoryskich
(a to często się nie zdarza),
tytuł wziął referendarza.

Zdumiał mędrców, oszołomów,
gdy pośród berdyszy i złomów
pośród nadzieaków, karacen
róśł i róśł ów dziarski facet.

i już jest na samym czubku,
skąd zerka na nas, jak na głupków,
gdy my mu laury i peany
niesiem nad wiślane bałwany!

Rymowana (chwilami) laudacja ku czci Stanisława Lema jubilata

Intelektualistów krakowskich tłum
Przeważnie wie co znaczy: „Cogito ergo sum”,
Ale tylko drobna cząstka rozumie, że „Wiem”
Oznacza, że istnieje Lem.
Bo jak długa i szeroka jest ta nasza Matka Ziemia
Wszędzie na niej tłum mędrali wielbi Stanisława Lema.
Dlatego oświadczam dziś wszem:
Nie ma to jak Mędrzec Lem!
On wymyślił Ijona Tichego
I wszystko co wynikło z tego.
on stworzył Elektrybalta Trurla
Co się wśród poetów turla.
On wykreował pilota Pirxa
Który prowadzi cyrk S.A.
On wreszcie króla Murasa
osadził na tronie z atlasa.
Nie da się zaprzeczyć iż
Lem nas wiedzie kędyś wzwyż,

ponad Borek Fałęcki i kliny,
W niezbadane dotychczas krainy.
Jest więc naszym cyberprowodyrem,
Co Kraków namaszcza hyrem,
Jest też uczoności głębią
pomiędzy Długą i Gołębią.
I rzec można od tatr do Bałtyku
Wszystko wyraża się w okrzyku:
Nie damy ziemi skąd nasz Lem,
Niech dobrze to przemyśli ten
Co by się na nią szarpnąć chciał:
Bo my mu pokażemy wał.
Lem naszym władcą, bowiem Lem
Jest jako straż lechickich ziem
Z przydatkiem gwiazdnych szlaków wszak
Bo Opatrzność zarządziła tak.
Więc pięknie ozdabiaj te ziemie
niepowtarzalny Lemie!

Przekłady

poezja francuska

poezja muzyczna

Charles d'Orléans

Ballada

Módl się o pokój, Maryjo łagodna,
Królowo niebios, władczyni wszechświata,
Za sprawą łaski swojej połącz w modłach
Świętych i święte – niech błaganie wzłata
Do syna Twego, by z wyżyny światła
Raczył na ludzkość obrócić spojrzenia,
Którą krwią własną kupił dla zbawienia,
Niech wojen przegna precz niegodziwości;
W błaganiach swoich nie znaj odpocznienia,
Módl się o pokój, prawy skarb radości.

Módlcie się, księża: plebani, prałaci,
Mnisi – niech w sen was nie wpędza lenistwo,
Módlcie się wszyscy z tej duchowej braci,
By źródło nauk w czas wojny nie wyschło,
Aby klasztorom w gruzy paść nie przyszło,
By los nie zmusił rzucić bożą służbę,
Gdy spokój zniszczą wam czasy złowróźbne;
Proście gorąco Pana z wysokości,
To kościół każe nieść modły przeróżne
Za pokój świata, prawy skarb radości.

Módlcie się, władcy, co dzierzycie lenna:
Królowie, diucy, książęta, barony,
Niech szlachta w modłach z rycerstwem się jedna,
Bowiem źli ludzie wznoszą się nad trony
I roztrwają skarbiec wasz ogromny,
Pną się z motłochu ku najwyższym stanom –

Co dnia widzicie to jak prawdę jawną –
Gdy się bogacą z waszych kies i włości,
Z których lud pomoc czerpał nieustanną –
Proście o pokój, prawy skarb radości.

Módl się, o ludu, gdy gnębią tyrani,
Kiedy panowie popadają w słabość,
Że władać tobą nie w mocy już, ani
Strasliwym krzywdom twym uczynić zadość;
Pocziwi kupcy, grzbietów waszych nagość
Zbyt ciężkie jarzma dźwiga, zbyt ciężkie
Towarów mnogich w obce wy już ziemie
Wieźć nie możecie: droga się nie mości
I zguba czyha na was i na mienie –
Proście o pokój, prawy skarb radości.

Módlcie się, strojni, weseli młodzieńcy,
Pragnący trwonić grosz w milej kompanii,
Już wojna mieszki trzebi wam z pieniędzy;
Módlcie się również i wy, zakochani,
Miłosne służby pożoga ma za nic,
Odwraca od was piękne damy wasze,
Wielekroć wahać, cofać im się każe,
A kiedy, zda się, cel już w rękach gości,
Obcy przybłąda skradnie Ga na zawsze –
Proście o pokój, prawy skarb radości.

Bóg Wszechmogący niech wszystko ochrania
Na ziemi, niebie i w morskich otchłaniach,
Módlmy się, niechaj w swojej wszechmocności
Nieprawość wszelką, wszelkie zło poskramia –
Prośmy o pokój, prawy skarb radości.

Joachim du Bella

Oliva

XVI

Podobnie kiedy rozbudzone ognie
Skoczą z paproci na chaszczę i krzewy,
A nawet zbożom, przez wichrowe gniewy
Gnane, zagrożą, lotne niecąc głownie;

I jeszcze kiedy płomienie wędrownie
Las cały przejdą gorącym zalewem,
Z ogniska, które pod dębowym drzewem
Pozostawiły pasterki niepomne;

Tak miłość nieraz z błahego początku
Pożary rodzi i płomienie straszne.
Więc lepiej pióro wstrzymam tu, bym żadnych

Szaleństw nie czynił jak ów bez rozsądku,
Co mając własny swój dom za igraszkę
Ogień w nim nieci, zgasić go nie władny.

LV

O myśli słaba, zdjęta niepokojem,
Czemu w podziemia nie chcesz zejść umilkłe?
O serce z ognia w popiół nie ostygłe!
O smutne oczy, gdzie łez waszych zdroje?

Dobra wątpliwe, zwykłych trosk bezmiary!
O prawdo słodka, w tobie gorycz na dzień!
Panie, co sprawiasz, że tyle mam pragnień,
Czemu płonącymi czynisz me zamiary?

Młody łuczniku, ty, co oczu nie masz,
Jakże tak celnie mierzysz swymi strzałami?
Płomieniu żywy, który opromieniasz
Bogów, dlaczegoś chłód mój stopił cały?
O serce twarde, o twarzy anioła,
Spójrz choć na męki, którym nie podołam!

Guillaume de Salluste du Bartas

Siedem dni, czyli stworzenie świata

...Budowniczego świata wola to przedwczesna,
By dzień stapał po nocy, noc po dniu nadeszła.
Noc władna jest uśmierzać upał dnia straszliwy,
Niebiosą nasze zraszać, użyźniać nam niwy;
Noc jest tą, co rozpina swe skrzydła tajemne
Nad oniemiałym światem, mroki budząc ciemne,
I smakuje milczenie, z wolną sącząc w kości
Spoczywających zwierząt głuchy nurt senności.
O nasza słodka nocy, bez ciebie istnienie
Byłoby piekła równe, gdzie żal i pragnienie,
Gdzie ból i skąpstwo oraz śmierci sto bez mała
Nieustannie płonęłyby w sercach i ciałach.
O nocy, w tobie maski, przebrania najrzadsze,
W które się próżno stroim w tym ludzkim teatrze
Pośród jasności dziennych; noc w spokój otula
Czyniąc równymi sobie i gbura, i króla,
Biedaka i bogacza, Greka, cudzoziemca,
Sędziogo i skazańca, nieuka i mędrca,
Pana i sługę, piękno i brzydoty straszne,
Gdyż Ty, nocy, pokrywasz wszystko mrocznym
płaszczem...

Jean Ogier de Gombauld

Mór ludobójczy

Mór ludobójczy, źródło śmierci, przerażenia,
Grzech, którym piekło przestwór świata wciąż zakaza,
Byt mój przemienia w echo mojego istnienia,
Sam się we własne trupie widmo przeobrażam.

Twórca wszechświata, władca niebios i monarcha,
Przez mą człowieczą piękność widzialny się stawał,
Postać niegdyś przywidziana, dawna moja sława –
To posiadam jedynie, to dźwigam na barkach.

Lecz z tej minionej chwały nic nie pozostaje
Prócz upiora, co ściga dóbr ułudnych kraje,
Prócz ciała, które żyje, gdyż toczy je robak.

Nie! Stawiam się nicością poddając tym próbom,
Duchem mrocznym, co widzi wszystko snem i złudą,
Poszukującym, czego znaleźć niepodobna.

Jean de Lingendes

Stance na młodą kurtyzanę

Znając wesołość twoją, wiem ja, Sylwio miła,
 Że wiek twój pędząc szybki
Pośród kochanków, których wokół ciebie siła,
 Chcesz zadość czynić wszystkim.

Czyż mogę wątpić znając do głębi zaiste
 To, co zwą dworską modą,
Iż trudno w cnocie przeżyć wiek swój, trudno czyste
 Wytrwać z taka urodą.

Przyzwalam twym rozkoszom, czerp w onej zabawie
 Tyle, ile byś chciała,
Gdyż miłość ciągle dając, byłoby bezprawiem,
 Byś jej sama nie brała.

Skoro grzech ten bez zmayı jest dla onych osób,
 Co kryją go z polotem,
Chciałbym tylko, byś swoje czyniła w ten sposób,
 Bym nic nie wiedział o tem.

Która swoje występki umie taić łatwo,
 Jest niewinną bez ujmy,
A która swą rozpustą szczydzi się ponadto,
 Popelnia grzech podwójny.

Więc się tym, co milczenia godne, nie przechwalaj,
Z lęku, by niecna plotka
W blasku dnia nie stawiała tego, co zezwala
Czynić w mroku noc słodka.

Chwaląc się tak, narażasz u dworskiej estymy
Na okrutną infamię,
Podczas gdy milcząc zyskasz opinię dziewczyny
Miłość czyniącą sprawnie.

Niewinności w obyciu twoim dawaj forsy,
Albowiem w samej rzeczy
Wygląd starczy za wszystko – stwórz tylko pozory
I już więcej nic nie czyn.

Codziennie ona rozkosz przyjmując zwyczajną
Od kochanków dyskretnych,
Opowieści zaniechaj kochać nie przestając,
Pilnie chroń swe sekrety.

Nieobyczajnej mowie przeciwstawiaj czystość
Twych ust i gestów godną,
A gdy jej słuchać musisz, to w różę przeistocz
Twą płeć lilii podobną.

Nie wiąż się z zazdrośnikiem, który źle ci świadczy
I szkaluje cię zawsze,
Lecz takowego związku odrzucając zaszczyt,
Wszelki wstyd odrzuć także.

Pod firanek osłoną czynź sztukę lubieżną
I budź śmiechy rozkoszne,
I czule opowieści, i naiwność piezczot,
Wszystko uda się dobrze.

Niechaj wokoło ciebie rozbrzmiewa alkowa
Od najszczęśliwszych westchnień,
Niech smakuje miłość, co w swych kunsztach chowa
Miód i żar jednocześnie.

Mocno tuląc kochanka, w miłosnych pragnieniach,
W ciał jednoczonych uczcie,
W onych milutkich drzeniach, w celnych uderzeniach
Łożnicę waszą burzcie.

Wszelako, moja Sylwio, gdy opuścisz łożo,
Strzeż się, by grzech miniony
Wskutek mowy swawolnej – twej własnej być może –
Nie był ci wyrzucony.

Byle tylko nikt o tym nie wiedział i byle
Nie szerzyła się fama,
Możesz dzień cały trawić uwięziona mile
Ze swym kochankiem sama.

Lecz udawaj cnotliwą i przechwałek nie czynź
Z swej uciechy w bezwstydzie,
Wyznając zło, któremu serce moje przeczy,
Nie chcąc cię znienawidzić.

Złość mną miota, gdy widzę, jak wciąż pewien młodzik
Nosi ci swe usługi,

A już, by swej kolei nie minąć, podchodzi
Do drzwi twoich paż drugi.

Uczucia zbyt gwałtowne, szczerze ci to wyznam,
Gniew budzi nazbyt jawny,
Gdy dojrzę, że twe lica znaczy słodka blizna
Pocałunków niedawnych.

Twa pościel zbyt pomięta, jeśli miał to sprawić
Sen, co się w ciszy kładzie,
I twe włosy zruszone budzą we mnie zawiść
Do tego, kto je gładził.

Widząc, jak wstyd skazujesz na banicję, ważę
W sercu zazdrość tak srogą,
Iż umrzeć pragnę, ale byś nie uszła karze,
Umrzec chcę wspólnie z tobą.

Nie trwóż się o zerwanie, ukryj niezawodnie
Amory twe najskrytsze
I nie sądź, że ja będę wymawiać ci zbrodnię,
Którą zataisz chytrze.

A choćbym cię na jawnym nierządzie dosięgnął,
Choćby tam był mężczyzna,
Klnij się, że jest to kłamstwo, klnij, aż pod przysięgą,
Żem nic nie widział, wyznam.

Gdyż za sen poczytując swawolny nad miarę
Wszystko, co się zdarzyło,
Kłam własnym oczom zadam, twym słowom dam wiarę
I lubą znajdę miłość.

Charles Vion Dalibray

Na klepsydrę

Widzisz: piasku garść szara,
Co liczy bieg twych godzin,
Tyle razy przechodzi
Przez ciasne szkło zegara.

Ja, Damon, jestem pyłem
Z łaski Filis skazanym,
To dla niej paliłem,
Dziś mieszkam w dworze szklanym.

W ogniu płonąłem blasku,
Aż w garść zmieniony pisku
Krążę tu bezprzytomnie!

Kochanku! Los się śmieje,
Depcze nawet nadzieję,
Że znajdziesz spokój w skonie.

Saint-Amant

Fajka

Z cybuchem w dłoni siedząc na tej chrustu wiązce,
O kominek opieram zasmucone czoło,
Ze wzrokiem wbitym w ziemię, z duszą niewesołą
Dumam o losie srogim wciąż mnie nękającym.

Co dzień nadzieja lepsze jutro obiecawszy
Usiłuje przeważyć nad moim cierpieniem
I z pychą ukazując inne przeznaczenie,
Każe mi po cesarów rzymskich sięgać wawrzyn.

Lecz ledwie popiół zielska dopełni cybucha,
Znów zstępuje w poprzedni stan mojego ducha
Powtarzając zwątpienia i skargi niełatwe.

Nie, nie widzę różnicy, którą by dzielono
Porcję tytoniu oraz nadzieję tak płoną,
Bowiem jedno jest dymem, a drugie jest wiatrem.

Karol Zeller

Czy wiesz, co znaczy róży kwiat

na głos z fortepianem

duet Adama i Księżny z operetki „Ptasznik z Tyrolu”

słowa: M. West i J. Held

A. Czy wiesz, co znaczy róży kwiat,
gdy dar zeń czynią, ile wart?
Nie samej róży niesiesz blask,
lecz siebie dajesz z różą wraz!
Czy znasz tyrolski zwyczaj ów,
czy czujesz tak?
Najmilsza, mów,
czy czujesz tak?
Więc ufaj, wierz,
i co z różą siebie daj mi też.
Czy wiesz, co
znaczy róży kwiat, gdy dar zeń czynią, ile wart?
Nie samej róży niesiesz blask,
lecz siebie dajesz z różą wraz.
W twych oczach tyle wróżb o nowym szczęściu róż,
tak, tak, te róże już mam,
nie same róże mam.
W twych oczach tyle wróżb
o nowym, wielkim
szczęściu róż, tak, tak, te róże już mam
tak, te róże już mam

K. Cenią w Tyrolu róży kwiat
 gdy dar zeń czynią ile wart,
 lecz tu nie znany zwyczaj ten,
 bo tu nie Tyrol, ale Ren.
 Nie, ja ich zabrać nie chcę już,
 może ci szczęście da pęk tych róż,
 ale błędnych nie snuj wróżb,
 nie otrzymasz nic prócz róż.
 Gdy dałam węż je już,
 niech szczęście ci da pęk róż,
 te róże ci dam
 i tylko róże ci dam.

The image shows a musical score for a song. It consists of three staves: a vocal line for the Katerina (K.), a vocal line for the Anna (A.), and a piano accompaniment. The key signature is one flat (B-flat), and the time signature is 3/4. The tempo is marked 'molto rit.' and the dynamics include 'f' (forte). The lyrics are in Polish and German. The piano part features a rhythmic accompaniment with chords and moving lines in both hands.

molto rit. f

K.
 da pęk róż, te róże ci dam
 nicht zu rück die Ro-sen sind dein,

A.
 szczę - ścią róż, tak, tak, te róże już mam
 hol - den Blick ja, ja, die Ro-sen sind mein

Franciszek Liszt

Kiedy śnię

na głos i fortepian

słowa: Wiktor Hugo

O przyjdź, gdy noc
kiedy myśl moja uśnie,
tak do Petrarcki przybywał Laury cień.

O przyjdź, gdy noc
niech mnie oddech twój muśnie
i nagle uśmiech przeniknie sen.

Pod chłodnym czołem,
gdzie blask wszelki gaśnie,
zły czarny sen już nazbyt długo trwa.

Niech więc twój wzrok,
lśniąc od gwiazd blasku
jaśniej, jak w szczęśliwej baśni
rozbłyśnie w snach,
rozbłyśnie w snach.

Ach. Na wargi moje,
 gdzie płomieniem jarzy miłości żar,
 złóż swych ust boski dar
 i pryśnie sen, odleci anioł
 z marzeń w kobietę żywą przemienisz się,
 przemienisz się.

O, przyjdź, jak ranny brzask,
 o przyjdź jak Laury cień.

rit. dolciss. *V* *morendo* *a tempo*

przyjdź, jak ran-ny brzask, o przyjdź jak Lau-ry cień
viens, *come à Pe-tran-que* *ap - pa - rais-se Lau - ra*

pp rit. *a tempo ppp*

♩ 2 1

Edward Grieg

Ja kocham cię

na głos i fortepian
słowa: Ch. Andersen

Tyś moją myślą,
tyś mój cel i przyszłość,
zachwytem serce me wezbrane jest.
Ja kocham ciebie,
kocham nade wszystko,
ja kocham cię,
ja kocham cię,
ja kocham cię po życia mego kres,
ja kocham cię po życia mego kres.
O tobie myśl,
o tobie myśl jest każda
i szczęście twe jest troską moich trosk.
Nad życie moje wzeszłaś niby gwiazda,
ja kocham cię,
ja kocham cię,
ja kocham cię, to mój na wieki los,
ja kocham cię, to mój na wieki los!

Andante

Śpiew

Tyś mo-ja
Du mein Ge-

Fortepian

P

legato

con ped.

my-śla, tyś mój cel i przy - szłość,
- dan - ke, du mein Sein und Wer - den!

za - chuy-tem
Du mei - nes

pp

pp

se - rce me wez - bra - ne jest.
Her - zens er - ste Se - lię-kei!

mf

mf

non arpeggiando

Giuseppe Giordani

Tyś mój skarb

na głos i fortepian
Z włoskiego

Tyś mój skarb,
przyjmij więc pieśń
i jako dar me serce weź,
tyś jest mój skarb,
więc jako dar me serce weź.

Wierność mą znasz
i znasz mój los;
sercu czy dasz zginać od trosk,
sercu czy dasz zginać od trosk,
zginać od trosk?

Tyś jest mój skarb,
przyjmij więc pieśń
i jako dar me serce weź,
tyś jest mój skarb,
przyjmij więc pieśń
i jako dar me serce weź.

Claude Debussy

Mandolina

na głos i fortepian
słowa: Paul Verlaine

Ci co niosą serenady
i dziewczęta co je przyjmą
zaczęli błahe narady
pod drzew zieleńią gościnną.

Oto Tirsie bałamutny
i nieśmiertelny Klitander,
Damis kochankom okrutnym
układa znów sarabandy.

Ich tunik zrywa się wir,
jedwabne treny ich szat,
ich elegancja, ich czar
i niebieskie cienie par
krążą, mienią się w ekstazie
pod księżycy żółtą twarzą,
dreszcz powiewu zwolna gaśnie
i już mandoliny gwarzą.

Edward Grieg

Gdzież oni dziś

na głos i fortepian
słowa: Henryk Heine

Nad morzem skała wznosi grzbiet.
Samotnie tam siedząc, dumam;
w krąg wichru gwizd i mewy śmiech,
a fale wędrują i szumią i szumią.

Tak wielu kochałem: dobrych, złych,
przyjaciół tylu kochałem.
Gdzież oni dziś?

Wciąż gwizdzie wicher
i fale u stóp rozszalałe,
u stóp rozszalałe.

p *f*

- ja - ciół ty - lu ko - cha - żem. Gdzież o - ni dziś?
man - chen gu - ten Ge - sel - len. Wo sind sie hin?

p *f*

Gabriel Fauré

Kołyski

na głos i fortepian

słowa: Sully Prudhomme

Na redzie wielkich statków rząd
drzemie obojętnie pod ciszą.
I cóż dla nich ląd,
szary ląd,
gdzie kobiety dzieci kołyszą.

Lecz znów przyjdzie pożegnań czas,
płaczu żon, samotności matek,
bo mężów los odpływać w blask,
gdy widnokręgi kuszą statek.

Już port, malejąc w dali, znikł,
zamknie się obręcz horyzontu,
lecz statku dziób spotka wśród prądów
kołysek kruchych czuły rytm,
kołysek kruchych czuły rytm.

Jan Sebastian Bach

Zwada między Febusem a Panem

na głos i fortepian
słowa: Picander

To on, to on, o spójrz,
to sprawił wiatr,
tak, wiatr,
to sprawił wiatr!

To on, to on, o spójrz,
to sprawił wiatr,
tak, wiatr,
to sprawił wiatr!

To on, to on, o spójrz,
to sprawił wiatr,
tak, wiatr,
to sprawił wiatr!

Pysznisz się choć grosza brak;
to sprawił wiatr,
że za prawdę bierzesz rad,
na co tylko wzrok twój padł;
to sprawił wiatr!

Pysznisz się, choć grosza brak,
 to sprawił wiatr,
 że za prawdę bierzesz rad,
 na co tylko wzrok twój padł,
 to on, to sprawił wiatr!

Że po księgach szukasz prawd,
 to sprawił wiatr,
 i że szczęście ślepy traf,
 to sprawił wiatr,
 to on, to sprawił wiatr, to on,
 to on, to on, to sprawił wiatr!

(mp) wiatr, i że szczę - ście śle - py traf, to spra - wił wiatr, to
 Wind! Dass das Glü - cke sel - ber blind, das macht der Wind! Pa -

on, to spra - wił wiatr, to on, to on, to on, to on, to spra - wił wiatr.
 - tron, das macht der Wind, Pa - tron das macht der Wind, das macht der Wind!

Da capo al fine

Kamille Saint-Saëns

Aria Dalili

z II aktu op. Samson i Dalila na głos i fortepian
słowa: Ferdynand Lemaire

Me serce jako kwiat,
kiedy dotknie go świt,
na twój głos wnet rozkwita.

Więc, ach, kochanku mój,
w mych oczach osusz łzy,
mów mi, mów, drzę z zachwytu
Dalili swojej mów,
żeś na zawsze już jej,
spragniony tak czułości
i pieszczoty jej znów,
czekam wciąż,
mów mi mów!

Ach we krwi mej żar rozniecaj,
niech ten żar zwątpień chłód rozproszy.
Płomieniem sięgaj serca,
płomieniem sięgaj serca!

Ach, spal mnie,
ach, spal mnie w ogniu tej rozkoszy!
Dalilo! Dalilo!
Ja kocham cię!

Dalla dolce

Jak zbo - za zło - ty ten,
 Ała - si qu'on voit des blés

Jak zboża złoty łan,
 kłosów szelest tan
 kiedy powiew je spłoszy,
 tak serce moje drży,
 raduje się, gdy ty mówisz doń,
 o najdroższy!

Nie szybszy strzały grot,
 który śmierć niesie w lot,
 od kochanki, co spieszy,
 by w ramiona twe paść,
 w ramiona twe paść!

Ach we krwi mej żar rozniecaj,
 niech ten żar zwątpień chłód rozproszy.
 Płomieniem sięgaj serca,
 płomieniem sięgaj serca!

Ach, spal mnie,
 ach, spal mnie w ogniu tej rozkoszy!
 Kocham cię! Kocham cię!

Ach, ja kocham cię!
 Ach, ja kocham cię!

Ryszard Wagner

Śpiewacy norymberscy

Pieśń konkursowa Waltera z III aktu na głos i fortepian
słowa: Ryszard Wagner

W rannych oparach różowi się świt,
roznieca woń wśród pól i błoń
i nic nie płoszy chwil rozkoszy
w ogrodzie, który kwitł.

Zakłęte drzewo rośnie tam,
owoców dźwiga brzemię
i niesie obietnicę nam:
miłosnych snów spełnienie.

Lecz boski zawisł gniew.
Jak pięknaś jest Ewo,
wśród rajszych drzew!

Wieczór zapada,
otacza mnie noc.
Wśród stromych dróg
u moich nóg źródelko wita mnie
i pieśnią perlisty uśmiech śle.

W poświęcie gwiazd,
przez mroków chłód,
gdzie bujny rośnie wawrzyn,
czarowny sen przeżyłem tam:
na marzeń stojąc straży
podała napój dla mych ust wybranka muz
z Parnasu wzniosłych bram!

Łask pełen dzień
obudził mnie z licznych snów,
wyśniony dzień, ten ziemski raj,
w przepięknej szacie znowu wstał,
płonąc od lśnień.

U stóp źródła rzeński śmiech
wskazuje ślad wybrance mojej,
wybrance mojej, tej, której piękna
jak świat i jest mu muzą muz,
gdy dotknie moich warg świętością swoich ust.

W słonecznej dnia jasności
zdobyte pieśnią włości:
i Parnas mój i raj!

Ryszard Wagner

Pieśń do gwiazdy

z III aktu op. „Tannhäuser” na głos i fortepian
słowa: Ryszard Wagner

Jak śmierci tchnienie,
zmierzchu skrzydło mroczne
okrywa świat, otula w swą oponę
i duszę żądną wzlotów
przejmie strach przed grozą
nocnych dróg spowitych w mgłach.

Wtem błysniesz ty
spojrzeniem srebrnym,
gwiazdko, pociechę śląc
w łagodnym swoim blasku,
twój dobry promień
zburzy mroków mur,
wskazując drogę
z dolin
o z gór.

O gwiazdo, z mroku dna się wnieś,
przyjmij wdzięczności mojej pieśń,
zbłąkanej duszy drogę wskaż,
w nocy bezkresach sprawując straż,
gdy ponad ziemski glob się wzniesiesz,
aniołem stać się
tam, w niebiesiech,
gdy ponad ziemski glob się wzniesiesz,
aniołem stać się tam,
w niebiesiech.

Ryszard Wagner

Ballada Senty

z II aktu op. „Holender Tułacz”

słowa: Ryszard Wagner

Jo ho hoe! Jo ho ho hoe!
Ho ho hoe! Jo hoe!

Wzburzonym morzem okręt mknie,
czerwone żagle, czarny maszt.
Kapitan czuwa noc i dzień,
posępną bladą wznosi twarz.

Hoi!

Jak huczy wicher!

Jo ho he! Jo ho he!
Hoi!

Jak dmie wśród lin!

Jo ho he!
Jo ho he!
Hoi!

Chyżo mknie w bezkres mórz,
pośród fal, gniewny wiatr, łoskot burz.
Jednak ten blady żeglarz
zbawienie kiedyś posiadzie,
jeśli kobietę wierną po grób
odnajdzie na lądzie!

Kiedy ją znajdziesz,
posepny żeglarzu?
Módlcie się zań!
Niech wierną po zgon znajdzie wśród nas!

Wśród sztormu pragnął minąć brzeg,
okrzyć go wśród gniewnych fal,
przysięgał, klnąc się,
śmiały człek: „okrażę, choć bym płynął wiek!”

Hoi!

Tam szatan był.

Jo ho he!
Jo ho he!
Hoe!

Usłyszał go.

Jo ho he!
Jo ho he!
Hoe!

Wówczas wyrok nań padł, pośród fal,
w łoskot burz, w gniewny wiatr!
Lecz, aby biedny żeglarz
zbawienie wreszcie uzyskał,
wskaz mu, aniele Boży,
nadziei brzegi i przystań.

Obyś odnalazł ją, błądy tułaczu!
Módlcie się zań, niech wierną po zgon
znajdziecie wśród nas.

Na ląd co siedem schodzi lat,
dziewczyny wiernej
szuka swej, na próżno!
Znów co siedem lat na nowy musi ruszać rejs.
Hui!

Rwij żagle wzwyż!
Jo ho he!
Jo ho he!
Vi!

Kotwicę wznieść!

Jo ho he!
Jo ho he!
Hoe!

Miłość fałsz, wierność fałsz,
w drogę już pośród fal,
w łoskot burz!

Gorzki twój los
wierność niech ma rozwiąże!
Bóg niech mi ciebie wskaże,
cieniu,
ratunek podam ci –
przez morze,
przez gniewne morze!

Opowiadania



Szafy

„Śniła mi się szafa,
Zwyczajnie dla hecy...”

Sny należą do najintymniejszych spraw ludzkich. Ujawnienie ich jest nie tylko postępowaniem nieprzystojnym, ale i wysoce niebezpiecznym, bowiem można przy okazji odkryć te wszystkie słabości, które w sobie rozpoznaliśmy, i których się wstydzimy, jak również pozostałe, o których jeszcze nie wiemy. Ale ludzkość uwielbia ryzyko, a już szczególnie takie, które posiada ów pikantny posmak nieprzystojności. Gwałcenie własnej i cudzej wstydlivości to przecież nasze hobby.

Na swoje usprawiedliwienie mam to, że sny, o których chciałbym wspomnieć, zdarzyły się bardzo dawno: w innym świecie i innym czasie. Natomiast nie usprawiedliwi faktu, że przypadły w porze ludzkiego życia, kiedy śnić się powinny pewne stereotypy, przybrane w kalejdoskopową niepowtarzalność, kiedy – jednym słowem - sny opanowuje przewrotna geografia seksualna, kiedy obudzenie jest jak cios, po którym powoli powraca się do przytomności, w miarę obsychania małych kropelek potu na czole, kiedy...

Z moich snów nie budziłem się gwałtownie; wydobywałem się z nich powoli, leniwie, także z uczuciem niespełnienia, ale bardziej refleksyjnym i dlatego może bardziej dojmującym. Po prostu od dzieciństwa specjalizowałem się w snach cyklicznych, w snach d.c.n., a po kolejnych serialach – lotniczych, morskich, baśniowych, przyszedł

okres na sny biblioteczne. A więc wkraczałem do jakiś księgarskich seszamlów, gdzie wszystko co wybiorę, mogło należeć do mnie, a ja zdejmowałem z regałów książki o ileż wspanialsze niż w rzeczywistości: albumy o trzykroć liczniejszych – niż to było naprawdę – ilustracjach, powieści pięciokroć dłuższe niż na jawie, wszystko to na pół realne, bowiem część owych trofeów miała jakieś bibliograficzne odniesienia, ale część była już czystym rojeniem, syntezą prawdy i zmyślenia.

Czy owe senne biblioteki mieściły się w szafach? I czy miały jakiś zapach? Śmiem wątpić, bowiem nie sceneria była tam ważna, ale dziś chętnie podłożyłbym wspomnieniom te elementy składowe, choć wiem, dobrze wiem, jak bardzo sny są bezbarwne, bezwonne i pozbawione drugorzędnych szczegółów.

Za to wspomnienia pełne są woni, a to co dotyczy książek, ma zapach trojaki: drewna, kurzu i jeszcze taki jeden, trudny do określenia, trochę przypominający starego człowieka. Można je oddestylować i wyjaśnić pochodzenie każdego. Tak więc drewno wiąże się ze stolarnią, w której królował Franek, twórca setek kół do wozów, orczyków, koromysel, cebrzyków, a także balasków do balustrad i rozmaitych dziwacznych ozdób.

W okresie tym obudziły się we mnie przelotne i nie odwzajemnione zamiłowania do rękodziela, więc pod okiem Franka toczyłem jakiegoś wszelkiego, nawet estetycznego sensu pozbawione dziwactwa, heblowałem zawzięcie części składowe samolotów i statków, które nie tylko, że nigdy nie poszybowały, ani nie pozęgłowały, ale w ogóle nie przydziały się w kształt samolotny czy stateczny. Wkrótce potem zamiłowania te przeszły jak ręką odjął, ale kiedy – nie bez trudu – dobrnąłem do pierwszej klasy gimnazjalnej – roboty ręczne doścignęły mnie i pokonały na tymże samym polu bitwy. Pan profesor od robót, typowy plód pedagogiczny o ograniczonym lecz dosadnym słownictwie, rozdał nam na początku roku tematy: mnie przypadło zadanie wykonania wieszaka.

Wydawałoby się, że nic prostszego: równo wyheblowany prostokąt o sfazowanych kantach, a w nim osadzone trzy kołeczki

z nacięciami; takie coś można potem powiesić na ścianie, a na tym z kolei cokolwiek: palto, kaszkiet, ostatecznie także ręcznik lub ścierekę. No tak, bardzo proste, ale ja przez cały rok heblowałem mozolnie deskę, której powierzchnia wykazywała nieustannie znaczne zróżnicowanie poziomów. Pan od robót wymyślał mi od matolów i kazał wyrównać, nie bacząc, że deski było coraz mniej. Wreszcie w ogóle jej nie stało. Skończyło się na tym, że mi Franek wykonał ów przeklęty wieszak, a ja go przeszmygnowałem na lekcje, złożyłem jako tako i oddałem podejrzliwie łypiącemu belfrowi. Tak więc na koniec roku otrzymałem z robót ręcznych stopień dostateczny, co zresztą obu nas – to znaczy Franka i mnie – w pełni satysfakcjonowało. Wolałem nie myśleć o tym, jaki temat przypadnie mi na rok następny. I słusznie, że nie zwracałem sobie tym głowy, wakacje bowiem przypadły na rok 1939. Nigdy już nie miałem do czynienia z robotami ręcznymi, jeśli nie liczyć reperacji „Jawy”, „Warszawy” i „Syrenki”.

Otóż u Franka, pewnej zimy w połowie lat trzydziestych, zawrzała robota. Zima bowiem oznaczała zwolnienie tempa prac, ale w tamtym roku wcale tak nie było: ojciec postanowił urządzić na nowo bibliotekę. Nie pamiętam, na czym stały poprzednio wszystkie te książki, pewnie na jakiś byle jakich półkach. Obecnie pokój biblioteczny zaczął się wypełniać wspaniałymi, dębowymi szafami, które u dołu były głębokie, o charakterze komód, a powyżej otwierały się wysokimi, aż prawie pod sufit sięgającymi, oszklonymi drzwiami, które u góry zamykały się ostrołukowymi arkadami. Szafy otaczały cały pokój, z wyjątkiem oczywiście drzwi i okien oraz tego narożnika, w którym był kominek. Bliżej okien stał podłużny stół, a wokół niego krzesła o wysokich oparciach ujętych kręconymi kolumienkami. Z opisu można by wnosić, że były to barokowe meble, w rzeczywistości – jak sądzę – stanowiły też dzieła Franka, tyle że wykonane nie za mojej pamięci.

Trudno mi dziś opisać dokładnie zawartość owych szaf, ale z grubsza pamiętam ich topografię. Otóż w owych komodach leżały wszelkiego rodzaju wydawnictwa zeszytowe, wielkie albumy, atlasy

oraz stopy tych czasopism, które przeznaczone były do zachowania. Kiedy się do biblioteki wchodziło z salonu, to w pierwszej szafie po lewej były tak zwane „białe kruki” – starodruki, niektóre istotnie bardzo cenne, wiele o białawych pergaminowych oprawach, inne w skórze, inne w czarnym płótnie – dzieła domorosłego introligatorstwa. Natomiast po przeciwległej stronie znajdowały się wielkie, wielotomowe wydawnictwa, więc Słownik Geograficzny, więc herbarze: dwa wydania Niesieckiego i jedno – nie dokończone Boneckiego, dalej ozdobione miedziorytami wydawnictwo o odkryciach w Herkulanum i Pompei, francuskie albumy o średniowieczu i renesansie, oczywiście słownik Lindego i moc innych dużych woluminów, częściowo w ozdobnych oprawach z esofloresowymi złoconiami. Nad wejściem do pokoi gościnnych była galeryjka, łącząca dwie szafy: wypełniały ją roczniki Biblioteki Warszawskiej. Nigdy tam nikt nie zaglądał. Kolejny segment zajmowała beletrystyka: trochę polskiej, ale głównie francuska, obejmująca dzieła wielkich i małych reprezentantów fin de siècle’u, niektóre z obrazkami, czasem sentymentalnymi (Pierre Loti), czasem frapującymi (Pierre Louys). Resztę szaf zajmowały książki o treści historycznej, bowiem zarówno dziadek, który dał początek tej bibliotece, jak i ojciec – byli z zamiłowania historykami – amatorami. Oczywiście dział ten zawierał moc przestarzałych prac francuskich, znacznie mniej niemieckich, ale poza tym składał się nań bezcenny zespół dzieł polskich, od epoki Oświecenia, aż po najnowszą historię powszechną Trzaski – Ewerta – Michalskiego.

Skąd się wzięła na wsi, w tamtych hreczkosiejских stronach, gdzie roślinność eksplodowała na wiosnę nieprzebraną bujnością, ale gdzie intelekt wątlwym zaiste otwierał się kwieciami, taka dość specjalistyczna, a w każdym razie obfita biblioteka? Dziedziczna choroba, nie wyleczona zniszczeniami kolejnych wojen i klęsk narodowych? Reakcja na to bujne lecz szare hreczkosiejstwo? Protest przeciwko działalności zaborcy (nie pamiętam w owym zbiorze ani jednej książki drukowanej cyrylicą!), dążącego do kulturalnego i wszelakiego w ogóle wynarodowienia? A przecież do zawartości owych neoneogotyckich szaf

należałoby doliczyć i ten niemały depozyt mego dziadka w lwowskim „Ossolineum”, złożony głównie ze starodruków, a także owe skrzynie stojące na strychu, wówczas traktowane dość bezceremonialnie, ale nie zanadto, bowiem jak kiedyś ojciec złapał mnie na tym, że robię papierowe okręciki z bardzo dobrego papieru, na jakim drukowano „Illustration”, dostałem solidne lanie.

I tu chwila sposobna dla zapachu kurzu. Ale nie tylko tego suchego, jałowego, papierzano-mysiego, lecz także niepokojącego zapachem tajemnicy. Bowiem na przestronnym strychu, w scenografii potężnych krokwi i sznurów do suszenia bielizny, skrzyń rozmaitego autoramentu było sporo: i takich podróźnych, okutych w ozdobne metalowe pasy i takich najzwyczajszych, zbitych z byle jak hebanowego drewna. Mieściły się z w nim rzeczy niezwykle: stare kostiumy, kapelusze, jakieś tajemnicze przedmioty (na przykład maszynka do cięcia „bakonu”). Nie chciałbym jednak odchodzić od tematu: w skrzyniach uzupełnianych w pewnym sensie bibliotekę leżały stopy oprawnych roczników: małych i grubych – to były „Revue des Deux Mondes” – oraz dużych i płaskich, to były „Illustration”, ale także „Kłosy”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Bluszczy”. Tylko ze względu na obrazki cenilem – i to w sposób ograniczony – owe skarby, które wszystkie przepały, i których do dziś nie mogę odzłować.

Kiedy powróciliśmy – późną jesienią – po wrześnieowej wędrówce, dom był pusty: nie było w nim mebli, obrazów, naczyń, nie mówiąc już o ubraniach, czy bieliźnie. Istniała nadal tylko biblioteka z neoneogotyckimi szafami, z częściowo zachowanymi krzesłami o wysokich oparciach. Z zawartości szaf przepadło niewiele, ale jednak były spore luki, a ponadto część owych co pozłocistszych i bardziej wytlaczanych opraw padła pastwą rabunku – pozostało wiele książek o grzbietach wstydliwie obnażonych, starczych i brzydkich, najeżonych sznurkami i gruzelkami kleju. Luki trzeba było czymś zapchać – więc ze strychu przywędrowały opasłe, czarno oprawne tomy „Revue des Deux Mondes”. Zaglądałem czasem do nich, ale tak po prawdzie to jedynymi ciekawszymi składnikami ich zawartości były strony

zasmarowane czarną farbą. Trzeba przyznać, że czujność carskiej cenzury była ogromna, a jednocześnie działalność jej cechowała pewna subtelność: zakwestionowane akapity zacierano farbą drukarską tak znakomitą, że na próżno starałem się cokolwiek spod niej wywabić na światło dzienne. Niemniej pismo doszło do adresata.

Ingerencje owej cenzury były zresztą dziwaczne: na przykład wcale się nie zainteresowała tłumaczeniem opowiadania zapomnianego prozaika polskiego z końca XIX w. – Adama Szymańskiego...

Jak sięgam pamięcią, w bibliotece odbywał się pewien rytuał towarzyski: po kolacji rodzina, o ile nie było jakichś wyjątkowych gości, zbierała się przy podłużnym stole, panie z robótkami, ojciec z pasjansem. Czasem, kiedy bawiła u nas babcia, odbywały się partie belotki, rozgrywane z ojcem w zasadzie w milczeniu. W zasadzie, bowiem od czasu do czasu przerywały ją oburzone eksklamacje babci, węgierki z pochodzenia, która po pół roku spędzonym w Polsce, języka tubylców nie opanowała, a własnego zapomniała:

„Wyczu, ti znów szulerujesz!”

Otóż w czasie takich rodzinnych sjest, odbywały się lektury na głos, albo wielkich klasyków, albo głośnych nowości. Czytał zazwyczaj mój brat, które duże fragmenty Trylogii znał na pamięć, i który był w pewnym sensie łącznikiem między dawnymi a nowymi laty, infiltrując do grona wieszczów jakichś całkiem nieopierzonych młodzików, w rodzaju Parandowskiego, czy Iwaszkiewicza. To dzięki niemu mniej więcej równocześnie z Panem Tadeuszem poznałem telegrafistę Piotra Płaskina. Ale to już nie na owych gremialnych sjestach, do których nie zawsze byłem dopuszczany (Janusia pędziła mnie co prędzej do łóżka, miała bowiem zawsze bogaty program wieczornych randek), ale u niego w pokoju na górze, koło owego strychu pełnego skrzyń i zapachu kurzu.

Edzik posadził mnie na kolanach (była między nami dość znaczna różnica wieku), i wyrecytował głosem lekko wibrującym ową smętną tuwimowską opowieść z mordobijskiego powiatu. Słuchając poczułem nagle, że mnie coraz bardziej wypełnia dojmujące współczucie

dla nieszczęsnego telegrafisty, wypełnia tak dosłownie, że nagle musiałem się poderwać i pomknąć do łazienki. Jedyne raz w życiu katharsis objawiło mi się w tak bardzo fizycznym kształcie: smutek i żal po prostu mnie „zemgliły”. Było to pierwsze i ostatnie w mej biografii najzupełniej idealne i bezinteresowne wymiotowanie.

Podczas okupacji, kiedy już nie było z nami Edzika, kiedy starsza siostra mieszkała z mężem w dalekiej ziemi krośnieńskiej, kiedy babcia – z uwagi na trudy podróży – nie odwiedzała nas, grono było znacznie mniejsze, ale z kolei pojawiły się jakieś dotąd nieznanne osoby, wygnańcy z Reichu. Ojciec próbował odrodzić obyczaj wspólnych lektur, ale kto miał do tego głowę! Więc przynajmniej mnie zapędzał do książek, z reguły niemal francuskich, pod pozorem szlifowania akcentu. Więc czytałem owe „roman” – oczywiście te o sentymentalnych obrazkach – a w posępnym milczeniu opustoszałego pokoju lekturom towarzyszył nikły szept kart oraz – od czasu do czasu – grobowym głosem wygłaszane poprawki.

Pewnego razu ojciec, szperając na półkach z „Revue des Deus Mondes”, wyciągnął jeden z opasłych tomów i wieczorem kazał mi to czytać. Było to tłumaczenie francuskie opowiadania Adama Szymańskiego pod tytułem „Srul z Lubartowa”, opowiadania niegdyś powszechnie znanego, obecnie dokumentnie zapomnianego, choć chyba należy do najlepszych osiągnięć nowelistyki polskiej przełomu stuleci. Dukalem ten tekst początkowo bez większego zapału, przy rytmicznych pomrukach ojca poprawiającego tu akcent, ówdzie wymowę. Ale potem poprawki urwały się i ciągnąłem dalej, kalecząc okrutnie mowę Racine’a, w całkowitym milczeniu. Nawet pasjans przestał szepotać. Aż do samego końca, do tego pytania o te małe, szare ptaszki, które ćwierkają po ulicach różnych zabitych deskami Lubartowów.

Dziś, z perspektywy tylu doświadczeń, patrząc ze zdziwieniem na ową scenę w mrocznej bibliotece, na to filujące światło *ancien régime* tłące pośród książek zgromadzonych w łagodnym świetle rolniczych pór roku, niemal nikomu niepotrzebnych. Jest jakiś sentymentalny paradoks w ustawieniu owej sytuacji: starego człowieka, któremu

młokos czyta złą francuszczyzną polską nowelę o powstańcach z ubiegłego wieku, o jakimś może nawet zmyślonym Żydzie, w momencie kiedy miliony innych Żydów „wychodziły przez komin”.

Nie. Literackość tamtej sytuacji jest nieznośna. Obawiam się, że owym wędrówką po księgozbiornie towarzyszyła ona stale i odcisnęła piętno na moim widzeniu otaczającego świata. Za wcześniej dałem się wciągnąć, a może musiałem się wciągnąć w tę chorobę, która jeszcze kiedy byłem w szkole kazała mi towarzyszyć ojcu we Lwowie na ulicę Batorego – ulicę antykwariuszy. Dziś pamiętam z tych pokątnych sezamów tylko dwa, na zasadzie kontrastów: jeden u wylotu na plac Halicki całkiem nowy, może nawet nie antykwariat, ale księgarnia specjalizująca się w nowościach Trzaski, Ewerta, Michalskiego, Gebethnera i Wolffa, „Raju”, pełna zagranicznych nowości, czysta, jasna, nie uznająca targu.

Drugi sklep był po tej samej stronie, ale niemal na drugim końcu, gdzieś niedaleko ulicy Fredry. W pierwszym pomieszczeniu, w którym półki sięgały sufitu, kręcili się dwaj lub trzej młodzi Żydzi w kamizelkach, zachwalający drukowany towar, skupieni, bladzi, czujni. Aby dostać się do właściwego skarbcza, trzeba było mieć markę starego klienta. Ojciec ją oczywiście posiadał, więc przede wszystkim szliśmy tam, nie zatrzymując się zbyt długo w pierwszym pokoju. W tym drugim siedział stary Żyd, zawsze w kapeluszu na głowie, zawsze z jakąś książką w ręku, którą może czytał, może tylko kartkował, a może jedynie napawał się jej kształtem i zapachem? Czy można bowiem stwierdzić z całą pewnością, że perfumy Guerlaina mają woń przyjemniejszą, mocniejszą, bardziej podniecającą od książek? A czy te z kolei można zestawić z aromatem topiącej się w letnim skwarze żywicy? Z wiosennym szaleństwem tataraku? Ze zwierzącą wonią miłości?

To był właśnie ów trzeci zapach, zapach starego człowieka, którym przeniknięte są stare książki, zatraskujące pomiędzy swymi kartkami, w oprawie, w wyklejce czułości lub niepokój ludzkich rąk, umiłowanie, pragnienie, wyrachowanie i tęsknotę. O starym panu

z Iglu z ulicy Batorego, który był już chyba trzecim, a może nawet czwartym przedstawicielem tej ogromnie dla naszej kultury zasłużonej rodziny, pisali Tuwim i Opalek. A on pozornie nie robił nic, nie brał nawet udziału w targowaniu się o ceny od tego byli ci młodzi subiekci, może synowie, a może nawet wnukowie – poważni i czujni, on tylko tam siedział, na zapleczu, w kapeluszu, wymieniał ze starymi klientami jakieś jakby skrótami formowane uwagi, trzymając w ręce książkę może wartą cały majątek, a może tylko taką, którą bez zarobku, za kilka groszy można było znów puścić między ludzi. Pamiętam go bardzo dobrze, chociaż nie w szczegółach, nie wiem nawet czy nosił brodę i czy był gruby czy chudy, ale pozostała we mnie jakaś taka szara klisza, szara jak tamte ptaszki, o które kiedyś, na dalekiej Syberii, pytał Srul z Lubartowa, senna nieomal klisza antykwarycznego zapleczka z rezydującym tam starym panem Iglem.

A potem książki, nie wszystkie, ale większość pakowaliśmy w skrzynie, też zbite w pośpiechu przez Franka. Zostały czarne roczniki „Revue des Deux Mondes”, „Biblioteka Warszawska”, niezliczone tomiki powieści francuskich i – a tego żal mi najbardziej – roczniki starych pism na strychu. A pomiędzy nimi pewna książeczka, którą ukryto tam zapewne przed okiem młodzieży, ale która – za sprawą bibliotecznego chochlika – wpadła w moje ręce. Była to w początku naszego wieku wydana we Francji rzecz dla miłośników flagelanctwa, bogato ilustrowana przez jakiegoś niekwalifikowanego Beardsleya. Na obrazkach tych dziewczęta i panie smagane były na różne sposoby i w różnych okolicznościach, a ich twarze zdołał stereotypowy wyraz, wypracowany w dobie baroku (tzw. spojrzenie „*himmelend*”), a utwierdzony przez ubiegłoroczny akademizm: cierpienia i zachwycenia zarazem, jednym słowem jakieś takiej męczeńskiej słodyczy. Przysłowia są ponoć mądrością narodów, nie jestem jednak pewny słuszności tego o Duchu Świętym i różecze...

Pośpieszna, niedbała, niesprawiedliwa selekcja została dokonana i książki, załadowane do skrzyń, powędrowały najpierw pod Kraków, a potem do Krakowa. I do dziś oczekują na regały,

rozmieszczone po rozmaitych skrzyniach i zachowankach, zwłaszcza, że przybyło jeszcze tyle rozmaitych wydawnictw. Regały jednak nie mogą się narodzić, bowiem – jak twierdzi Józus – drewno jest ciągle za mokre i stolarz czeka na jego wyschnięcie, a ja nie gwałtuję, bowiem tak po prawdzie nie zanadto mam forszę na tę inwestycję.

A poza tym z niejaką złośliwą satysfakcją spoglądałam na te skrzynie, te zakamuflowane stopy i kopczyki, myśląc sobie: dobrze wam, leżcie tu pozbawione zapachu drewna i zapachu starego człowieka, zdane na własny kurz. Dobrze wam tak ostygłym, pozbawionym ciepła rąk, które by od czasu do czasu otwierały wasze zatrzaśnięte, zakneblowane świątki. Dobrze wam tak, bowiem wy zburzyliście moje widzenie i rozumienie świata.

Bo przecież mogłem, jak każdy normalny człowiek, widzieć ten świat prosto i zwyczajnie zwłaszcza tam – w hreczkosiejskich stonach i czasach, kiedy świadomość kształtował naturalny kierat pór roku i naturalne kołysanie lekko falujących horyzontów. Ale to wy, stare, niedofermentowane wiedźmy, kazałyście mi – patrzącemu w noc – widzieć nie gwiazdy, lecz wędrowca i myśliwca Oriona, gdy stawał na skraju stawu i parku, to wy zmuszałyście mnie do litości dla zarzynanej na niedzielę indyczki i dla szarych ptaszków z noweli Szymańskiego, to wy – cyniczne deprawatorki, skarbniczki flagelanctwa i perwersji – skłaniałyście do ubierania zwykłych popędów w sukienki zwykłych uczuć! Więc leżcie sobie i czekajcie łaski ciepła ludzkich rąk. Z sadystycznym opieszalstwem, jeśli kiedykolwiek wyschnie drewno na regały, będę was otrzepywał z kurzu i ustawiał w pozycji stojącej, w pozycji godnej książki i człowieka, a teraz jeszcze leżcie, zatrute skarby mojej młodości...

A szafy? Udało się część ich sprowadzić do Krakowa, dokładnie dwie: jedną dwu-, a drugą trzydrzwiową i jakimś cudem mieściły się w tym pokoju, gdzie zamieszkałem po wojnie. Ale ogromnie zawadzały: były za duże, za ciężkie, a poza tym przyszły lata chude, kiedy nie przewidywałem takiej możliwości, że kiedyś wżenię się w odpowiedni do ich gabarytów areal mieszkaniowy. Więc zwróciłem

się do pewnego słynnego historyka sztuki – profesora o zdecydowanym sposobie wyrażania opinii – a on, przybywszy do mojego mieszkania i rzuciwszy okiem na niedobitki szaf, ogłosił werdykt:

„Tak, proszę pana, to typowy przykład dworskiej stolarki z drugiej połowy XIX wieku, mniej więcej z okresu powstania styczniowego! Dam pięć tysięcy za obie”.

Uprzejmie potakując profesorowi, wziąłem te pięć tysięcy z uczuciem, że są to judaszowe srebrniki, za które sprzedają arcydzieło Franka i kawał własnego życia. Dziś żal mi tych szaf: byłyby przestronniejsze niż jakiegokolwiek Józusiowe regały. Ale wcale nie sądzę, że tamte pieniądze były srebrnikami, były to po prostu zwyczajne pieniądze, których sens chciała zburzyć trucizna pachnąca drewnem, kurzem i starym człowiekiem.



Lerech

„Wiciu, czy to prawda, że Lerech ma na ciebie wykupioną hazukę?”

Bardzo często stawiano ojcu to pytanie, a on, nie dając zdecydowanej odpowiedzi twierdzącej pozwalał jednak dorozumiewać się, że tak jest istotnie. Kiedy zaś o to samo pytano Lerecha, on odpowiadał niby negatywnym „Iiii” oraz wzruszeniem ramion, co miało oznaczać, że to wszystko bzdura i nieskromne głupstwa wymyślone przez gojów, ale owo „Iiii” wraz ze wzruszeniem ramion robione było jakby trochę w bok, niezupełnie w każdym razie na wprost, żeby nie można było orzec stanowczo, że to czemukolwiek przeczy lub potwierdza. Przy tym, jego zazwyczaj czerwona twarz, zbudowana z grubych, jakby z nadmiernym pośpiechem wymodelowanych elementów, mroczyła się, ale na krótką chwilę, bo już tak była z owych kluseczek i bułeczek zbudowana, że się raczej do uśmiechania nadawała niż do zaszępienia.

Lerech był całkiem pogodnej natury, a zresztą kto dziś może to wiedzieć, kiedy go dawno już nie ma, a i wtedy, kiedy był, czy komukolwiek zależałoby tak naprawdę zajrzeć w środek Lerecha? Istniał obok nas w swej dość zwyczajnej codzienności, nie różniąc się zbytnio od przedmiotów codziennego użytku.

Kiedy czytuję biografię (za czym zresztą nie przepadam), uderza mnie w nich zawsze dydaktyczna formuła, nie żeby koniecznie autorzy ich kładli kawę na ławę, wmawiając w czytelnika, że powinien postępować tak jak ci bohaterowie, a w rzadkich wypadkach, przestrzegając go gorliwie przed takim naśladownictwem, ale że pod faktami nawarstwia się tak zwany podtekst, znacząc w ten sposób współudział muzy komentarza, pani

bardzo serio, którą pominęli antyczni, więc do dziś nie dorobiła się własnego imienia lecz tylko grymasu zawodu na jędrnej niegdyś twarzy. Biografie chcąc nie chcąc zawsze są pouczające, najczęściej budujące, skłaniające do refleksji (ulotnej nie zupełnie ślubnej progenitury muzy komentarza) i właściwie nie zdarzają się takie, które by poświęcono osobom byle jakim, a więc ani wielkim dobroczyńcom ani wielkim sukinsynom, których ludzkość wyhodowała sama sobie na chwałę i niesławę. Nawet autobiografie usiłują zawsze coś niecoś poprawić, stonować czy pobarwić w życiorysie i nie bez racji stary bohater i polityczny bankrut Pétain, gdy już po wyzwoleniu Francji przebywał w więzieniu na propozycję spisania pamiętników obruszył się: „A po co? Przecież niczego nie mam do ukrycia!”.

Tak więc należałoby postawić pytanie, czy próba pisania biografii człowieka nijakiego ma jakikolwiek sens? Ale tu wyłaniają się dwie zasadnicze wątpliwości. Pierwsza kwestionuje nijakość jakiegokolwiek jednostki ludzkiej. Nijakim mógł być średniowieczny Jedermann, nie człowiek, ale jego przyniesiona śmiertelnością idea, ale i ta idea wzbijała się ponad nijakość, a choćby tylko dzięki poezji. Ale konkretna jednostka ludzka? Można o kimś powiedzieć, że był brzydki, głupi, nudny, że niczego nie potrafił zrobić, ale czy to wszystko oznacza nijakość? A druga wątpliwość, już najściślej związana z Lerechem, to fakt, że ja po prostu za mało znam danych do jego życia, że są to strzępki, anegdota, z których prawie nic nie wynika. I czy w takim wypadku Lerech nie jest pretekstem do pisania o sobie?

Nie zamierzam się niczego wypierać: tak, o Lerechu wiem tak mało, że biografii z tego zbudować nie można, a jeśli jednak biorę się do pisania, to zamierzam pisać o sobie, a ściślej – jednak o Lerechu, ale przez siebie samego, więc nie o Lerechu, jakim był naprawdę, ale o takim, jaki przetrwał w drobnych strzępkach mojej pamięci. A w tym momencie opuszcza mój pokój muza komentarza, unosząc na swej niegdyś pięknej twarzy wyraz opanowanego, lecz wyraźnego dyzgustu, a na blacie stołu, po obu stronach mego „portabla” opierają na dłoniach swe pyzate mordki dwa psotne i nieudane geniuszki: pucaty – uśmiechniętej anegdoty, i zafrasowany – zasmuconej pamięci.

Bowiem tak po prawdzie jedyny dziś, to znaczy materialny, dówód istnienia Lerecha, którym mogę się wykazać, to przed wojną zrobione zdjęcie. Lerech zresztą nie jest jego głównym bohaterem – tym bohaterem jest mój ojciec, a Lerech należy do jego pełnej uszanowania asysty. I potwierdza ono pamięciową rekonstrukcję jego twarzy: ów zestaw mięsistych, krągłych, niedbale wymodelowanych elementów, układających się w uśmiech, co więcej nawet z czarno-białej odbitki domyślić się można ogólnego kolorytu: dominanty świecącej czerwieni, zakłóconej szczytniastym zarostem.

Należy jednak przeprowadzić egzegezę tematu głównego: migawka uchwyciła ojca w charakterystycznym momencie odbywania jednej z ulubionych jego rozrywek, należących do sfery żywota pocziwego. Wyjaśnić bowiem wypada, że ojciec owego żywota pocziwego bynajmniej nie ubóstwiał, traktując go jak dopust boży, konieczność i obowiązek, że jeśli mógł, to wymykał się w regiony żywota niezupełnie pocziwego i różne rzeczy opowiadano o jego wyprawach do gubernialnego Lublina, do galicyjskiej stolicy – Lwowa i do owej stolicy prawdziwej – Warszawy, nie mówiąc o zagranicznych ekskursjach: do Paryża, Wiednia i Sankt Petersburga. Występował wówczas w garniturach szytych u Blatta, w obuwiu od Hiszpańskiego, otoczony delikatną wonią wody kolońskiej sprowadzanej z dalekich krain, na palcach migotały: sygnet (który zaginął), pierścionek narzeczeński z trzema rubinami (który przetrwał do dziś w mojej szufladzie), a kiedy miał ochotę zapalić papierosa w długiej tutce napełnionej Pursiczanem, to sięgał do kieszeni po okazałą papierośnicę z syberyjskiego złota. Tę papierośnicę powlekliśmy w czasie okupacji czarnym lakierem, który ją w sposób najzupełniej nieudolny pozbawiać miał szlachetności, ale o dziwo wojnę przetrwała. Niestety nie mam jej już: w okresie studiów w pocie czoła oczyściłem ją z lakieru, a następnie sprzedałem pewnemu lwowskiemu Ormianinowi, który od lat prowadzi prywatny bank na krakowskich plantach.

Ja jeszcze pamiętam tego eleganckiego pana, ale w tych latach, do których pamięć moja sięga, regiony niezupełnie pocziwe znacznie się skurczyły; po prostu ojciec był już starszym panem, ciężko chorym na

serce, więc pozwalał sobie na wizyty w lwowskim klubie ziemiańskim, w którym bynajmniej nie zasiadał ani do baka, ani do pokera, tylko do łagodnego brydża, co jednak nie przeszkadzało, że niemal zawsze wizyta taka przedłużała się i stary służący z klubu dzwonił około ósmej wieczorem głosem solennym zapowiadając, że „dziś Jaśnie Pan nie wróci na kolację”.

Lerech należał jednak wyłącznie do sfery żywota pocziwego, którego uprawianie ojciec podbudowywał całą solidną historiozofią obowiązku wobec ziemi i wobec narodu. Nie piszę tego z ironią, bowiem należał on do tak zupełnie innego świata, że jego myślenie może się dziś wydać komuś najzupełniej anachroniczne, albo wręcz śmieszne. I takim jest z pewnością dla tych wszystkich, którzy znają tylko naszą współczesność oraz nie dopuszczają myśli o tym, że być może i nasze myślenie wyda się przyszłym pokoleniom czymś dziwnym, jeśli nie absurdalnym.

Faktem jest, że w poczuciu owego samo ustanowionego obowiązku ojciec wiele miesięcy spędzał na wsi, którą tak po prawdzie nie zanadto lubił, chyba polowania, chyba samotne spacerowanie ze starym wyłem, chyba zaszywanie się w swej ogromnej bibliotece (ale czy to ostatnie można nazwać „wsią”?). Niby gospodarował, ale przecież podstawowe czynności wypełniali różni ludzie: administrator, rządcowie, polowi, gumienni, fornale i czeladź – nie licząc ludzi „do specjalnych poruczeń”, jak Grzegorz – szofer, Stach – stangret, czy Kazik – lokaj. Więc rano czytywał raporty, raz na tydzień z rządcami omawiał tok prac, jeździł bryczką albo dwukółką w pole (w myśl starej zasady, że „pańskie oko konia tuczy”), a także do miasteczka. A te ostatnie wyprawy miały ustalony rytuał, którego jeden z elementów uchwyciła fotografia.

Pierwsza rzecz, która rzuca się w oczy, to dziwaczność strojów: Żydzi, ogromnie brodaci i dostojni oczywiście, stoją w czarnych chałatach i w okrągłych aksamitnych czapeczkach z mini-daszkami, taki był bowiem „obowiązkowy strój starozakonnych w dawnym zaborze rosyjskim. Tylko Lerech takiego stroju nie posiada: ubrany jest w zwykły garnitur z kamizelką i w nieprawdopodobnie powyginany kapelusz. Od siebie mogę dorzucić, że ów kapelusz miał powyżej i poniżej wstążki ciemne,

odwieczne ślady przepocenia, zaś ubranie nie posiadało żadnego określonego koloru, natomiast było tak wyświecone, że aż się mieniło. Ale za to przy kamizelce wisiała gruba, mosiężna dewizka.

Odzienie mego ojca też prezentuje się tu dziwacznie: jest to z lnianego płótna uszyte ubranie „do pola”, a na nie zarzucony jest prochownik, bowiem u nas każdej podróży w dzień suchy towarzyszył zawsze wysoki słup białego, natarczywego kurzu. Owe lniane płótna wyrabiano u nas i bielono na gazonie od strony stawu: długie, szare pasy rozciągnięte na trawie, których przekroczyć nie odważały się kaczki wracające do kurnika.

Mój ojciec, elegant z niezupełnie poczciwych regionów, w regionach poczciwych mało dbał o odzienie. Zdarzało się, że jeśli nie musiał w miasteczku odwiedzać urzędów czy lokalnych osobistości, to po prostu wkładał na pizamę szlafrok bardzo sędziwy, tabaczkowego koloru, i w nocnych pantoflach wyruszał na te specyficzne konferencje z Żydami.

Matka wspominała mi często, jakim przeżyciem było dla niej, gdy młodziutką z zacnego, podkrakowskiego dworku, gdzie się już bardziej miejsko niż sielsko żywociło, uwiózł w dalekie strony ów przystojny i elegancki pan, magnat nieomal (skoro galicyjskie barony kogoś, kto pochodził nieco bardziej ze wschodu uważały zaraz za królewiczkę na bezbrzeżnych latyfundiach), który na jedno jej skinienie potrafił zgolić sute, sarmackie wąsy, i który umiał mazurka tańczyć z dzikim animuszem i przyklękaniem, a walca z osobliwą dystyncją. Uwiózł ją początkowo koleją, ale ta urywała się na blisko 50 kilometrów przed celem podróży i dalszą drogę odbywano karetą, którą pamiętam, jak stała w wozowni, od czasu do czasu pucowana przez stangreta, ale nigdy nie używana. Jedyłą i ostatnią podróż odbyłem w niej w czasie ucieczki w 1939 roku, a jej kontrast z czołgami międłącymi wrześnie błoto musiał być niezwykły, z czego sobie wówczas zupełnie nie zdawałem sprawy. Otóż karetę ową, zaprzęgniętą w czwórkę rasowych anglo-arabów, witały po drodze banderie chłopów i fernali, dudniące ciężko kopytami nienawykłych do kłusowania roboczych koni. A potem przejeżdżano miasteczko, ale nie to, które

później było naszą mini-stolicą, ale jeszcze uboższe i jeszcze bardziej starozakonne, choć historia zapisała się tu nie byle jakimi wydarzeniami, a także smukłą, dwuwieżową sylwetką kościoła, wielokroć piękniejszego niż ubożuchny baraczek kościoła w naszym miasteczku. Tam więc młodą parę witali przedstawiciele gminy żydowskiej w szatach odświętnych, ze wspaniale rozczesanymi brodami, niosąc na obrusie chleb, sól i okazały korowaj, a to wszystko przy świetle pochodni wydawało się niedawnej panience z dobrego domu czymś tak niezwykłym, że na chwilę utraciła poczucie rzeczywistości, poczucie czasu.

Ale o wiele gorszym wstrząsem było to, że w domowych pieleszach, w regionie żywota pocziwego, niedawny szarmant i strojniś przeobraził się w małomównego pana nie pierwszej młodości, który do południa, a częstokroć i przez dzień cały chodził w tabaczkowym szlafroku i rozkłapścianych pantoflach, a najchętniej zaszywał się w bibliotece pośród ukochanych ksiąg lub przy pasjansie. „Wiciu odezwij się, powiedz coś do mnie...” „Ambrozja gonila psa po pokoju, a pies uciekał skowycząc zjadliwie” – odpowiadał nieodmiennie ojciec, nie odrywając oczu od książki, ale tajemnicę cytatu dawno zabrał ze sobą.

W takim więc lnianym lub szlafrokowym odzieniu pojawiał się ojciec na rynku miasteczka, gdzie mu z najbliższego sklepu (sądzę że od Linga, bowiem ten jeden sklep dobrze pamiętam: wąski i mroczny, ale pełen nieprawdopodobnych łakoci) wynoszono wyplatany fotel albo krzesło o zrudziałym pluszowym obiciu, a on na nim zasiadał, kiedy wokoło gromadzili się najbardziej uprzywilejowani Żydzi, by odbyć obowiązkową konferencję o wszystkim i o niczym. Komentowano bowiem ceny zbóż i bydła, plotki z życia ziemian i wyższych sfer miasta, plotki z życia ich samych, a także sprawy polityczne na skalę miasteczka i globu. Żydzi, którzy mnie tak jak niegdyś mamie wszyscy wydawali się patriarchalnymi starcami, wszyscy z wyjątkiem Lerecha, kiwali głowami i rozmawiali powoli, medytując jak gdyby jednocześnie, a gdy kończono omawianie „spraw bieżących”, ojciec żartował z nimi, wzajem ich na siebie napuszczając, a oni brali w tej zabawie udział świadomy i dobroduszny, choć czasem, w ferworze, zapominali o umownych regułach gry.

Lerech na zdjęciu nie wysuwa się naprzód, jest w tylnym rzędzie, bowiem Lerech nie zwykł był folgować próżności. Jego status był w jakiś tam sposób utwierdzony powszechną, cichą umową, więc po co on, skromny Żyd, miałby się ponad innych Żydów wywyższać? I to wszystko, co mogę z tego zdjęcia odczytać, więc gdyby nie ów pocziwy uśmiech, byłoby to w ogóle niczym w próbie rekonstrukcji jego osoby, niczym więcej niż przypadkowym mrugnięciem migawki.

Teraz więc wypadaloby się zastanowić nad jego nazwiskiem. Wszyscy nasi Żydzi mówili, jak zresztą w całym kraju, jidysz i nosili niemiecko brzmiące nazwiska, więc skąd nagle ten Lerech? Co to właściwie miało znaczyć? Przypuszczam, że przeobraziło się z innego, które dziadkowi czy pradziadkowi nadał jakiś urzędnik z łaski cesarza albo króla pruskiego, że może pierwotnie brzmiało „Arche” albo „Lehrem”, ale z biegiem lat ułożyło się „wedle” gardła, podniebienia i warg narodu, który już był prawie postradał swoją dawną mowę, który przyjął inną, kształtując ją jednak na swój obraz i podobieństwo, więc nieme „h” lub głuche „ch” przesunęło się na koniec nazwiska, a zarazem w głąb gardła, gdzie nabrało nieco tego hebrajskiego uporu.

Ta skazona, czy przyswojona sobie mowa stanowiła podstawową granicę, która dzieliła ich świat od naszego, następnymi zaś były religia, obyczaj i niezłomna wola trwania we własnym, a choćby rozproszonym narodzie. Ale to, co pozostawało poza ową granicą, również nie stanowiło jednolitego świata, dzieli się na dwa dalsze, choć religie ledwie się różniły, należąc do tego samego chrześcijańskiego pnia, a również mowy nie były na tyle odmienne, by się ich nie mogło nawzajem rozumieć. Tak więc podziały owych trzech w istocie światów przebiegały rozmaicie i rozmaite posiadały stabilność, a kiedyś, przed wojną, mogło się wydawać, że nie są ani takie głębokie, ani nieodwracalne, czy wręcz przeciwnie: przewidzieć nie umiano, jak łatwo przyszło je naruszać i w proch ścierać, granice przekształcając w bariery, a bariery w połamane drągi przesądów. I najdziwniejsze, że się to przeobrażenie dokonywało wśród jednej z największych w dziejach świata erupcji nienawiści i zbrodni, kiedy zwątpić można było nawet w chrześcijańskość owych dwóch światów, naszych

światów, nie tak różnych w gruncie rzeczy między sobą, jak ów trzeci – żydowski – gdyby go z nimi zestawić.

Owe dwa światy podobne, trzeba je wreszcie nazwać – więc nasz, polski, i tamten drugi, który powoli dopracowywał się własnej, ukraińskiej świadomości, ale dla nas był wciąż jeszcze „chachłackim” – posiadały nieprzekraczalne granice, ale tylko na niektórych odcinkach, na tych górnych: w sferach wyższej inteligencji, w kręgach ziemiańskich i oficerskich, wśród urzędników i wyższej miasteczkowej socjety. Ukraińcy tam nie przenikali i chyba nawet niespecjalnie, poza wyjątkami, starali się przenikać, tworząc pracowicie, uparcie i zaciekle swoją, na razie jeszcze dość cienką, skorupę inteligencji, główne zarzewie późniejszych lun i nienawiści. Dołem, poniżej owych stref wydzielonych, panował stały, może nie nadmiernie liczny, ale nieprzerwany ruch osmozy biologicznej: małżeństwa krzyżowały się, zacierając granice. Z Żydami jednak była inna sprawa: oni tam jeszcze nie byli na tym etapie, aby podjąć – chociażby poprzez jednostki – próbę przeniknięcia granic. Jeżeli takie podejmwano, to na zewnątrz: uciekając z miasteczka w ten daleki świat, gdzie było tak całkiem inaczej. Więc nie przypominam sobie przypadków małżeństw mieszanych, choć tłuką się po zakamarkach pamięci echa jakichś pradawnych plotek o skandalu, o czyjejs żydowskiej kochance. Nie było też równouprawnienia towarzyskiego, nawet w stosunku do tych najróżniejszych i najbardziej wyemancypowanych. O jakimś Żydzie można było mówić z szacunkiem, ale się go nie prosiło do wspólnego stołu, chociaż prosiło się do niego ciemnych, zabobonnych popów, a wyjątkowo nawet ukraińskich nauczycieli.

Cisną mi się tu dwa wspomnienia, niezbyt ważne, a jednak znamienne. Popi nieczęsto zaglądali do naszego domu, stali bowiem na czele tych ruchów i tych tendencji, które później poszły w jakże tradycyjnym kierunku, a polityka rządu sanacyjnego na pewno ze swej strony zbliżeń nie ułatwiała. Jednak stałym gościem (tak mniej więcej raz na rok) był pewien zacny pop, może nie nazbyt świątły jako duszpasterz, ale dysponujący znakomitą wiedzą specjalną: był zegarmistrzem. Otóż w jałdalnym stal zegar (cóż za paradoks, że ów ciężki nieporęczny przedmiot

stoi do dziś w moim mieszkaniu), typowy szafkowy zegar, jakie w XVIII i na początku XIX wieku masowo sprowadzany z Londynu, na miejscu już oprawiany w drewniane pudło. Ten zegar, chodził i wybijał godziny, ale coś mu czasem strzelało do głowy. (a takie porównanie jest w pełni uzasadnione z uwagi na kształt obudowy) i chodzić przestawał. Pop-cudotwórca pojawiał się wówczas i zegar odzyskiwał swoje tętno i swoją mowę. A pop zostawał na obiad i pamiętam, że raz: kiedy siedział tak godny i speszony zauważyłem, że półmisek podany mu przez Kazika podskakuje dziwnie, a gdy wzrok powędrował wyżej, zobaczyłem twarz lokaja krzywiącą się groteskowo od powstrzymywanego od śmiechu. Otóż gość przeżegnawszy się szeroko, nałożył na talerz ziemniaków, a później, po chwili wahania zacerpnął z podsuwanego mu półmiska z parówkami kilka łyżek wody, w której one pływały. Orientując się, że coś jest nie w porządku, powiódł po nas czarnymi, smutnymi oczami i wyjaśnił, że oni – prawosławni mają dzisiaj post. A zegar? Milczy już od ćwierćwiecza.

Drugie wspomnienie wiąże się z okresem gwiazdki, a od tej ostatniej w roku 1938 nie przeżyłem już nigdy żadnej prawdziwej rado-snej mi, nie dlatego, by nie było ku temu okazji, ale po prostu, ponieważ przestałem być dzieckiem. Otóż w czasie tych ostatnich moich gwiazdek zdarzała się zawsze pewna niespodzianka, która powoli przeistaczać się zaczęła w rutynę, tuż przed Wigilią przychodziła skądś z daleka paczka z nadzwyczajnymi frykasami: były tam owoce południowe – surowe i cudowne kandyzowane, migdały, daktyle i rodzynki, a także butelki wina o niecodziennym kształcie i dziwaczne zabawki na choinkę (bo-wiem u nas w tamtych czasach baniek nie kupowało się w sklepie, lecz własnoręcznie wykonywało rozmaite ozdoby, wedle wzorów zawartych w starej, wyświechtanej książce z epoki Bluszczu i Kłosów – więc łań-cuchy i girlandy, więc rozmaite zabawki: kogutki z orzechów włoskich, smoki z dmuchanych jajek, ptaszki z szyszek i straszki ze słomy). Nie pewnego nie wiem o nadawcy tych paczek, tylko tyle, że był to jakiś Żyd z naszego miasteczka, który trafił w daleki świat i zrobił tam karierę, ale nawet nie wiem jaką: czy był to ów słynny skrzypek, o którym czasem

pokazywano sobie notatki w gazetach, czy jakiś uczonec, czy po prostu kupiec. Nieważne. Ważne jest to, że w moim przekonaniu owe paczki były dorocznym, gwiazdkowym zaprzeczeniem owej bajeczki o obowiązkowej nienawiści do „gojów”, natomiast potwierdzeniem autentycznej i niewymuszonej, zwyczajnej ludzkiej wdzięczności. Bo ojciec jakoś tam pomógł owemu Żydowi w jego astronautycznej podróży z naszego miasteczka w świat. Ale właśnie tu zaznacza się owa nieprzekraczalna granica tamtego mego świata. Mógł ów nieznan Żyd zrobić karierę niebotyczną, siedzieć w jakimś dalekim kraju na workach pieniędzy, ale tu – nadal nie mógł należeć do naszego, ale wyłącznie do ich własnego świata. Już inaczej było we Lwowie, gdzie mogli u nas bywać Żydzi na mniej więcej równych prawach, gdzie możliwe były mieszane „mariáže” i gdzie to nawet dodawało pewnej pikanterii, na tych salonach, gdzie mniej więcej wszyscy byli ze sobą bliżej lub dalej skuzynowani.

Ale tu... tu nawet Eisen, który od ojca dzierżawił folwark, nie najgorszy folwark, taki na 100 czy, 500 hektarów, nawet on nie był traktowany na równi z innymi, z naszego świata. Wprawdzie gospodarz był z niego nikczemny (ilekroć przejeżdżaliśmy obok uprawianych przez niego pól, gdzie perzu było więcej niż czegokolwiek innego, ojciec zapezrał się i wykrzykiwał pod jego adresem różne przykre rzeczy), ale takim znowu najgorszym nie był skoro – nie daleko szukając – ciocia Dziudzia miała jeszcze większą wydajność perzu z hektara, a poza tym, to jednak był on człowiekiem zamożnym, grubo zamożniejszym od tych spośród naszych sąsiadów, co się tylko kurczowo, uporem, przyzwyczajeniem i weksłami trzymali swych ostatnich morgów. Więc Elsen zwracał się do ojca per „Panie Dziedzicu”, tak samo jak się do niego zwracali inni Żydzi, choć pośród nich należał do samej śmietanki, do najwyższej arystokracji. Pamiętam fragment jego listu do mego ojca: „Ja do Pana Dziedzica jak do lampy, piszę i piszę, a Pan Dziedzic nie”.

Dla mojej matki podróż spod Krakowa do naszego domu była wyprawą egzotyczną, nieomal równie niezwykłą, jak do Turcji czy Portugalii, i nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy, jak świeże było jeszcze wówczas piętno zaborów, które tak odmiennie ukształtowały

poszczególne dzielnice Polski i jak daleko było do współczesności niektórym, bardziej oddalonym okolicom, grzęznącym w biedzie i swoistej archeologii. Ale dla mnie, który znikąd tam nie przyjechał, tylko właśnie tam, w tej mikroegzotyce wychował, poczucie inności poszczególnych światów na nią się składających inności i dziwności, aż do niesamowitości włącznie, istniało tak daleko, jak potrafię sięgnąć pamięcią.

Ta egzotyka to były owe Żydówki w koniecznie rudych perukach, to były te małe Żydki, albo okropnie obdarte i umorusane, albo znów wystrojone odświętnie z pejsikami jak sprężynki, to były przede wszystkim te wieczorne okna miasteczka, spoza których, w ciepłym, wypływałym świetle lamp naftowych, wynurzały się patriarchalne głowy starych, modlących się Żydów. Gwar i zaduma tego świata, jego nieprzeniknioność była czymś pasjonującym, a jednak nie pamiętam z tamtych lat jakiegos zainteresowania, jakiejś potrzeby przeniknięcia w głąb owych labiryntów, zabudowanych najdziwaczniej posklecanymi nieporządnymi domami, które puchły od przybudówek i szopek, schodków i wystawek jak człowiek chory na puchlinę, gdy jednocześnie ich dachy gięły się i spadały, jak klatki piersiowe gruźlików. Wiem, który był dom Lerecha, ale nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek był w jego wnętrzu, stąd też najzupełniej niewyraźnie rysuje mi się jego żona, a nieco wyraźniej dzieci, choć te ostatnie nie zawsze przebywały w mieście, ale być może pamiętam je z lat okupacji, gdy już musiały stale tam przebywać.

Bowiem Lerech, któremu się nie powiodło w życiu, chciał dzieci wychować na coś lepszego od siebie, chciał im stworzyć możliwość wydobycia się z jego świata. Lerech swym nietypowym strojem, brakiem zarostu, całym sobą chciał ukazać wolę wyzwolenia, a ukazywał tylko śmieszny smutek niemożności. Nadzieją więc ostatecznego zwycięstwa były one: chłopak i o rok młodsza dziewczyna, ładni, czyści, starannie ubrani – on, gdyby przeżył, przyszły student uniwersytetu, ona, po maturze, uczestniczka kursów pielęgniarstwa albo szycia, kobieta wolna, wyzwolona od peruki i życia domowego, w którym istoty nieczyste miały nader ograniczone pole do działania.

W gruncie rzeczy to pamiętam tylko jeden dom żydowski od

wnętrza – a to dlatego, że mieścił się tam zakład krawiecki Szpilmana. Nie było, jak sądzę, wyraźnego przedziału między mieszkaniem i warsztatem: po ciemnym, niezbyt czystym, ale obszernym pokoju kręciły się kobiety, a dzieci co najmniej od dziesiątego roku życia brały czynny udział w pracy. Jeden syn huśtał z rozmachem potężnym żelazkiem, w którym rozżarzały się węgielki, drugi, w maleńkiej mycce na głowie, coś tam fastrygował, a najstarszy, który mógł mieć około 14 lat, zapisywał w zeszycie dane dyktowane przez ojca. Ten zaś uwijał się, miętosił kupon znakomitej leszczkowskiej wełny cmokając pochwalnie, potem z centymetrem obiegał mnie wkoło, mamrocząc: „Zybenefucyng, na, na (ręka jego wdzierала się w krocze, dosięgała nieomal tych organów, których świadomość dopiero się we mnie budziła), fynfenzwancyg, na ja, zeksyncwancyg...”

W mojej szafie wisi jeszcze dziś, w przeszło trzydzieści lat od wykonania, jedno z ubrań, które Szpilman uszył dla ojca. Ze swoich wyrosłem bowiem dawno, a ojcowe pasuje do dziś jak ulał, choć nie zanadto modne i miejscami przetarte, a jednak nie do zdarcia: bo i leszczkowska wełna, i podszewka „prima sort”, i nić niezłomna, o gęstym, równiutkim ściegu. Na kołnierzu marynarki znajduje się jeszcze wstążeczka z nazwiskiem twórcy i sądzę, że ten dowód istnienia jest stokroć wspanialszy niż owo zdjęcie z uśmiechniętą twarzą Lerecha. Szpilmana, jego kobiety i dzieci zabili hitlerowcy, podobnie jak zabili uroczego pana Bilińskiego, który nam, od czasu do czasu, przywoził z Leszczkowa owe znakomite kupony produkowanych tam materiałów. Skromne materialne, a jednak imponujące świadectwa ludzkiej pomysłowości, pracy, umiejętności.

Często bywałem za to w żydowskich sklepach, w miasteczku bowiem bardzo mało było nie-żydowskich. Niby popierało się te inne, ale w gruncie rzeczy wygodniej było kupić „u Żyda” niż „u katolika”, gdzie i towaru było zawsze mniej, i drożej, i uprzejmość nie taka. Moim ukochanym przybytkiem był sklep cukierniczy Linga: wąski, długi, jednak nie do nory podobny, ale jaskini z bajki, skarbcza Ali Baby. W gruncie rzeczy nigdy nie byłem żarłokiem, a nawet „gurmandem” nie jestem rasowym, więc sklep Linga fascynował mnie nie smakiem czekolady czy

marcepana, ale swą wszelakością, swą niezwykłością, tym, że zwyczajny baton, który można było kupić wszędzie za parę groszy, tam wygrywało się w zabawnej loterii. Pani Lingowa (kobiety udział w życiu handlowym brały czynny) zawsze obdarowywała mnie różnymi cudownościami, na co rodzice patrzyli krzywo, bo i tak za te podarki trzeba było później płacić. Jakież więc było nasze zdziwienie, gdy po powrocie z wrześniowej peregrynacji nie zastaliśmy w miasteczku Linga, ani jego sklepu. Ling uciekł za rzekę, do „czerwonych”. Miałem mu to za złe, z bynajmniej nie ideologicznych względów, ojciec tak samo, już o wiele bardziej ideologicznie, widać jednak, że z nas wszystkich Ling był najbardziej przewidujący: wolał zrezygnować ze swej słodkiej jaskini Ali Baby i w porę umknąć z palącego się domu. Bo dom płonął już, choć prawie nikt tego ognia nie umiał jeszcze wówczas dostrzec.

Tak więc niektóre regiony sąsiednich światów pozostawały dla mnie zamknięte. W cerkwi, dziwacznej i niebieskiej, na zewnątrz pełnej kokoszników, a wewnątrz sutych złocień, którą z łaski cara-batiuszki wystawiono nieopodal kościoła parafialnego, byłem po raz pierwszy dopiero po wojnie. W synagodze nie byłem nigdy. I nie dlatego, by mi tam kto wstępu bronił, ani dlatego, by mnie nie ciągnęło zobaczyć, jak się oni po swojemu modlą, ale po prostu dlatego, że nie wypadało. W tamtych czasach istniała niewątpliwa wrogość pomiędzy owymi trzema światami, ale jednocześnie – aż do pewnego słonecznego poranka wrześniowego – istniała też określona granica wzajemnego poszanowania, której starano się nie przekraczać. Do świątyni innych wyznań nie chodziło się nie z wrogości, lecz po to, by nie ujawniać zaciekawienia. Bowiem jedną z cech prawdziwego szacunku jest umiejętność powściągnięcia ciekawości.

Był ów niepisany kodeks postępowania, ten cały dziwny układ, oparty na nie dopowiedzianej przez nikogo „umowie społecznej” czymś tak archaicznym i absurdalnym, że z naszej perspektywy niemal niewiarygodnym. Co gorsze zaś, był prędzej czy później skazany na zagładę, bowiem przeżył się i trwał swym sztucznym, zatrzymanym istnieniem. Czy był ów układ w swej istocie antysemitki? Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć, ponieważ słyszałem wielokrotnie, jak z okna

kancelarii ojciec grzmi na żydowskich interesantów, okraszając inne, bardziej skomplikowane wyzwiska pośledniejszymi: „Ty gudłaju, ty par-chu, ty obrzezańcu...”, ale po prawdzie to i na katolików oraz prawosławnych sypały się nie mniej soczyste przekleństwa, a poza tym... poza tym system barier i granic zapewniał jakąś – być może pozorną – równowagę i po prostu tam, w tamtym moim świecie, nie zastanawiałem się nad takimi zagadnieniami. Miałem się o nich dowiedzieć dopiero gdzie indziej, w jeszcze innym zaginionym świecie.

Wybraliśmy się doń pewnej jesieni, z rodziną, przyległościami i mnóstwem bagażu. Po prostu zdecydowano w domu, że dość już domowej edukacji, że najwyższy czas, by mnie zawieźć do porządnej szkoły, i wybór padł na Lwów. Więc odtąd miałem w tym moim świecie prawdziwym spędzać tylko jakże krótkie miesiące letnie i nieopisana żalność zalewała moje serce, a ponadto trwoga: obce miasto, obca szkoła, obce twarze. Do owej szkoły mama prowadziła mnie w stanie półmaligny. Czerwone mury wielkiego budynku zdały mi się groźną siedzibą świętej inkwizycji, długie korytarze drogą na szafot, a potem otwarły się drzwi i stanąłem twarzą w twarz z klasą. Dosłownie, bowiem owych dwadzieścia parę twarzy zlało się w jedną, dwadzieścia kilka spojrzeń w jedno, które powędrowało po mnie od czubka głowy w dół i tam nagle zatrzymało się. Moje wejście bowiem powitała chwila ciszy, a potem rozległ się chóralny ryk: „On jeszcze chodzi w rajtuzach!” Już nigdy nie włożyłem rajtuzów, ale ich odcisków nie udało się zatrzeć: pozostały w samym środku, na tym, co zwykle się określać mianem duszy.

W klasie było dwóch Żydów, jednego nie pamiętam z nazwiska, ale z wyglądu, a drugi był mały, rudy i nazywał się Kopersztych. Wpadł mi on w oko, bo się do mnie jeden z pierwszych uśmiechnął, a ponadto miał na nosie zabawne piegi. Więc kiedy rozpoczęła się pierwsza lekcja gimnastyki i kazano nam się ustawić parami, podszedłem do Kopersztycha i wziąłem go za rękę, a on był z tego zadowolony i mocno ścisnął moją dłoń. Ale potem, zebrała się starszyczna klasowa: ci, którzy przedwcześnie rosną, oraz ci, którzy powtarzali rok, i z obrzydzeniem wytknęli mnie palcami „On chodzi razem z Kopersztychem”. Nie bardzo

rozumiałem, dlaczego źle jest chodzić Kopersztychem, ale uległem presji, tak jak w wypadku rajtuzów, nie zbliżałem się odtąd do rudego kolegi. Na szczęście Kopersztych przyjął to jako rzecz w pewnym sensie naturalną i nie starał się zmienić nowej sytuacji. Wyobrażam sobie, że było to dla niego czymś takim, jak obowiązek opuszczania klasy, zanim pojawił się w niej na lekcję religii ksiądz Kmita, zacny choleryk, który o byle co purpurowiał, a w przypadku większych przewin potrafił nawet za uczniem gonić z rulonem mapy, przedstawiającej skarby naturalne naszej ojczyzny. Moje stosunki z księdzem Kmitą nie układały się pomyślnie i nie zapowiadały przyszłej współpracy z Tygodnikiem Powszechnym; po kilku krótkich spięciach ksiądz zwykł był, wchodząc do klasy i jeszcze zaledwie różowy, oświadczać nie patrząc w moją stronę: „Chrzanowski, ty lepiej zaraz wyjdź na korytarz, niech ja ciebie nie muszę wyrzucić”. Więc niby skruszony, a w gruncie rzeczy szczęśliwy czmychałem w tajemniczy świat nagle opustoszałych korytarzy, schodów i ustępów. Ale i tam nie bawiłem się z Kopersztychem.

A nieco później, po trzyletnim mieszkaniu przy ul. św. Zofii, gdzie tramwaj piał się pod górę jęcząc metalicznie, a za siatką wielkiego zakładu głuchonieme dzieci stroiły do mnie małpie miny, przenieśliśmy się do willi stojącej w ogrodzie, tej samej, do której w równo trzydzieści lat po wyjeździe na moje ostatnie przedwojenne wakacje, wetknąłem głowę i było tak, jakbym ją przez okno wsadził do innego czasu. A w tym ogrodzie znajdował się na samym końcu, jeszcze jeden maleńki domek i mieszkało w nim młode małżeństwo żydowskie; państwo Fiedlerowie, którzy mieli śliczną córeczkę imieniem Mińcia. Że była śliczna, wiem raczej stąd, iż często stwierdzali to rodzice, moja bowiem ówczesna estetyka wyżej od wszystkich kobiet świata stawiała samoloty mego brata i colty Toma Mixa. Zresztą Mińcia była ode mnie o kilka lat młodsza i nudziła mnie swym nieustannym pragnieniem bawienia się ze mną, więc ją straszylem, przezywałem: „Mińci Flidli”, a ona z płaczem biegła skarżyć się rodzicom. A potem starszyzna klasowa zaczęła propagować prawdziwe hasła antysemityczne, bowiem nastał czas, kiedy studenci endecy w bratniackich czapkach obrzucali w parku kamieniami żydowskich

staruszków i kaleczyli żyletkami swe własne Żydowskie koleżanki. Więc pewnego dnia wypisałem kawałkiem cegły na rogu domku państwa Fiedlerów: „Bij Żyda”.

Pan Fiedler poszedł do mego ojca, a ojciec wkrótce potem wezwał mnie do swego pokoju. Nie krzyczał, ani groził laniem (co wydarzyło się nie tak dawno, gdy zarobiłem na półrocze „cztery cwajery”), ale mówił jak do dorosłego. I zrobiło to na mnie o wiele większe wrażenie, niż gdyby krzyczał. Wyszedłem z pokoju czerwony i jego próg był zarazem progiem mego ząbkującego antysemityzmu; pozostawiłem go za sobą.

Sądzę więc, że w tym moim prawdziwym świecie antysemityzmu rzeczywistego nie było, był tylko porządek pewnej niedopowiedzianej „umowy społecznej”, opartej na tradycji, bezwładzie, i na tak dziwnych instytucjach, jak na przykład owa Lerechowa „hazuka”.

Wykupywało się ją w kahale, wpłacając większą lub mniejszą sumę, jako upoważnienie do wyłączności pośredniczenia z jakimś większym sprzedawcą, a więc był to swoisty patent na jednego dużego goja. Oczywiście nie wyobrażam sobie, aby to uprawnienie sięgało w sfery zamożnych hurtowników, a z pewnością nie dotyczyło kupców innych wyznań. Ojciec jednak nie wszystko rozprowadzał pomiędzy wielkich kupców i sądzę, że czynił tak w poczuciu sui generis obowiązku wobec tych biedniejszych, tych kilkuworkowych kupców. Wprawdzie mówiło się zawsze o tym, że zboże trzeba sprzedawać wtedy, kiedy cena jest dobra, ale ja przynajmniej pamiętam, że drobni kupcy przychodzili rok okrągły, zresztą nie tylko o ziarno chodziło: jedni kupowali cielęta, inni świnie, inni wreszcie godzili się na sadowników.

Kiedyś, jeszcze przed I wojną światową, wydarzył się ojcu pewien niecodzienny przypadek. Handlował wówczas sporo z Żydami z owego małego miasteczka, które wspominała mama ze swej podróży poślubnej, i u jednego z tamtejszych kupców miał weksel. Był to weksel na dość znaczną sumę, toteż ojca nie zdziwiło zbytnio, gdy ów kupiec przybywszy raz do niego zaproponował, aby mu w jego miejsce wypisać dwa, dzieląc całość na połowy. Uzasadnieniem miało być to, że wydawał właśnie córkę za mąż i chciał jej dać w posagu ową połówkę, bowiem

całość to byłoby za dużo na jedną z kilkorga potomstwa. Ojciec niewiele myśląc wypisał dwa czekki, a otrzymany podarł i wrzucił do kosza. Coś go jednak po wyjeździe Żyda tknęło i wydobywszy z kosza kawalki zestawil w całość i zaczął dokładnie analizować. Okazało się, że ów podarty weksel – weksel na pełną sumę – był podrobiony. W ten sposób oszust stal się właścicielem trzech dokumentów, wszystkich autentycznych, na sumę dwukrotnie wyższą niż wynosiła należność. Z punktu widzenia sądowego sprawa była nie do wygrania: po jednej stronie były bowiem autentyczne i w swej autentyczności niepodważalne zobowiązania pisemne, po drugiej mało wiarygodna opowieść, poparta strzępkami podartego weksla. Ojcu jednak zaświtała inna możliwość załatwienia problemu, nazajutrz udał się do kahalu i postawił ultimatum: albo Żydzi sprawę tę załatwią w sposób uczciwy, albo on im – to znaczy kupcom z tego miasteczka – nie sprzeda ani ziarnka zboża. I jeszcze tego samego dnia oszust zwrócił, bardzo przepraszając i błagając o wyrozumiałość, owe dwa wyłudzone weksle. Mówiono, że mu ponoć zagrożono w kahale utopieniem w przerebli, gdyby tego nie zrobił. Równowaga bowiem owego dziwacznego układu istniała na zasadzie swoistego gentleman agreement.

Tak więc Lerech pośredniczył w imieniu owych drobnych kupców i codziennie asystował memu ojcu, gdy ten obchodząc folwark równocześnie załatwiał owe kilkuworkowe transakcje. Miały one pewien swój rytuał i nie mówiło się wyłącznie o interesach, ale miało to charakter rozmowy na tematy ogólne, gdzie sprawa cen zbóż oraz kwestie różnicy między tą, którą ofiarował kupiec, a tą, której żądał ojciec, powracały w postaci pewnego leitmotivu. Mam wrażenie, że rytuał ten sprawiał pewnego rodzaju przyjemność obu „wysokim układającym się stronom”. A Lerech? Lerech w rozmowach tych nie brał żadnego udziału, towarzyszył tylko zamyślony, jak gdyby umysł jego zaprzętały inne: głębokie, filozoficzne problemy, jakże odległe od przyziemnych spraw ceny worka pszenicy czy jęczmienia.

Jego rola polegała zupełnie na czym innym: on przyszedłszy rano robił to pięć razy w tygodniu z wyjątkiem szabasu i niedzieli, drałując przeważnie na piechotę cztery kilometry (skrótami), co mogło mieć

urok w dni słoneczne i ciepłe, ale było ciężkim dopustem w okresach kleistych błot i siarczystych mrozów, pojawiwszy się więc oczekiwał – w kredensie, albo na dworze w okolicy ganku, lub okna kancelarii, na pojawienie się ojca, następnie odbywał z nim dłuższą pogawędkę, w czasie której, mimochodem, urabiał grunt dla przewidzianych transakcji. On mówił na przykład, że ten a ten Żyd, bardzo uczciwy i pobożny Żyd, pewnie będzie chciał kupić coś od pana dziedzica, bo jemu się trafia okazja, żeby to szybko zawieźć i spieniężyć w Lublinie, a potem nabyć tam inny towar. Albo że inny, niemniej szacunku godny kupiec, ma kłopoty, bowiem syn jego, aż strach powiedzieć, chce iść do szkoły rabinackiej, a to bardzo drogo kosztuje. Albo jeszcze, że komuś zachorowała obłożnie żona, urodziło się kolejne dziecko, lub zmarł ogólnie szanowany teść. To było owo przecieranie dróg, a potem – ciąg dalszy – zależał już od właściwego aktora.

Bo oni byli znakomitymi aktorami, bez szarży niepotrzebnej, ale wczuwający się w atmosferę, i już same ich twarze i głosy były do tego aktorstwa przeznaczone, pełne ekspresji, podkreślające mimiką prawdziwość słów, przekształcające się w oka mgnieniu z patriarchalnej zadumy w wyrazy uczuć gwałtownych i dramatycznych.

Razu pewnego dwaj Żydzi, bardzo drobni handlarze z miasteczka, kupili u ojca na spółkę kilka worków zboża. Ale niespodziewanie cena na zboże gwałtownie spadła i niefortunni nabywcy przyszli do ojca prosić go, by zechciał przyjąć towar i zwrócić im pieniądze. Ojciec, znając warunki życia biedaków miał zamiar spełnić ich prośbę, ale postanowił nieco się z nimi podrażnić i niby to sprzeciwiać się zaczął, ofukując przybyłych. Wówczas jeden, widocznie bardziej pobudliwy, zaczął się nagle targać za brodę i padł na ziemię tarzając się i krzycząc, że jest zrujnowany, że on i żona jego i dzieci pomrą teraz z głodu... Ja tej sceny nie widziałem, opowiadał mi o niej ojciec i przyznał, że była dla niego tak zaskakująca, iż przez chwilę przyglądał się jej w osłupieniu, a potem niemal odruchowo zwrócił się do tego drugiego współnika: „A ty?”

Wówczas tamten bez chwili namysłu, padł też na ziemię targając brodę. O ile pamiętam Lerech sam niczego nie kupował. Sądzę nawet, że kiedy

mu czasem coś tam ładowano ze spichlerza na „idącą do miasta” furmankę, były to raczej dary niż owoc transakcji. Lerech był bowiem biednym Żydem. Miał wprawdzie dom, ale co to był za dom, więc istnienie całej rodziny wisiało na cieniutkiej nitce owej nieprawdopodobnej „umowy społecznej”, w której się wykupywało na większych gojów „hazuki”. Nie widziałem też nigdy, aby Lerech brał cokolwiek od tych innych Żydów, którym asystował przy dobijaniu targu, ale zapewne rozliczenia pomiędzy nimi odbywały się później – na ich własnym gruncie. Za to widziałem raz, a raczej słyszałem coś, co mi głęboko utkwilo w pamięci. To był krzyk Lerecha. Sam krzyk, skoro ze wspomnień wykruszyła się w znacznej mierze otaczająca go otoczka scenarii.

Otóż pewnego ranka ojciec wcześniej niż zwykle wyszedł na folwark, Lerecha jeszcze nie było, czekał natomiast inny Żyd, który miał bardzo pilny interes. Przy zredukowanym do minimum rytuale targu transakcja została zawarta i ojciec polecił gumiennemu, by kupcowi wydał ze spichrza zakupiony towar. I wówczas na owej scenie, której brak szczegółów, ale chyba odbywała się właśnie pod spichrzem, pojawił się Lerech, a gdy zorientował się, co nastąpiło przed chwilą, jego pogodna twarz ułożyła się w maskę nieopisanego gniewu, a grube wargi zaczęły miotać charczące wyrazy. Kupiec nie pozostał Lerechowi dłużny i gdy tak ich głosy zaczęły narastać gwałtownie, Lerech wyrwał nagle stojącemu obok fernalowi bat i z całej siły zdzielił nim przeciwnika. Ten zaś, ponieważ przyjechał własnym wozem, również był zaopatrzony w ów niezupełnie stosowny oręż, tak więc zaczął się regularny pojedynek: obaj Żydzi, stojąc w odpowiedniej odległości od siebie, zaczęli się ćwiczyć, krzycząc zarazem przeraźliwie: „Aj waj, aj waj”. I właśnie to, co utkwilo mi w pamięci, mieściło się w owym krzyku, w owej nieprawdopodobnej kondensacji rozmaitych uczuć: gniewu i oburzenia, strachu i bólu, wściekłości i wstydu.

Nie wyobrażam sobie, aby przedstawiciel innej rasy potrafił w jednym krzyku, krzyku opartym na dwóch słowach, a właściwie tylko na jednym, popartym wykrzyknikiem („O biada”) zawrzeć naraz tyle uczuć, uzyskać ową kumulację i ową ekspresję. Żydzi zresztą krzyczeli rzadko, bardzo rzadko. Szwargotali szybko i gwałtownie, czasem głos

któregoś podnosił się na chwilę, ale zaraz potem ktoś drugi uciszał go tym charakterystycznym: „Sza, sza!” Ja w gruncie rzeczy pamiętam tylko dwukrotnie żydowski krzyk. Raz to był ten Lerechowy, indywidualny (choć w duecie wykonywany), „Aj waj”, a drugi to był ów zbiorowy krzyk, a może nie tyle krzyk, ile jęk, i płacz, i zawodzenie, którym Żydzi oplakali swe pierwsze wypędzenie z miasteczka.

Było to zimą roku 1940, kiedy jeszcze o krematoriach i obozach zagłady niewiele się wiedziało, kiedy jeszcze Żydzi mieszkali w swoich domach, a nawet sprzedawali w swoich sklepach, kiedy nie zatrzęsnięto wrót getta, choć padały już pierwsze trupy. Nie mam pojęcia, co to był za wybryk: czy istotnie zaplanowana akcja, która nie doszła do skutku, czy też indywidualny pomysł jakiegoś zapitego lub oszalałego gestapowca. Pewnego dnia rano zapowiedziano, że w południe wszyscy Żydzi mają wyjść na wskazane miejsce, z kobietami i dziećmi, lecz nie zabierając ze sobą niczego, i że zostaną wyprowadzeni za rzekę, to znaczy za ową milczącą granicę, poprzez którą, ponad nami, spoglądały na siebie nieufnie dwie potęgi. Przez ową rzekę przechodziły już od dawna duże konwoje wozów i ludzi: to z Wołynia przybywali zamieszkali tam Niemcy – zamożni, solidni gospodarze, którzy żyjąc w diasporze, ale w diasporze rozszczepionej dodatkowo podziałem narodowym większości, utrzymywali – jak do dziś siedmiogrodzcy Sasi – swą narodową odrębność, nie polonizując się ani rusyfikując.

Przyjechaliśmy do miasta akurat po ogłoszeniu wezwania, w momencie gdy z krętych zaułków wzbierać i wypływać zaczęło zawodzenie. Ojciec, zdenerwowany i przerażony, załatwił tylko sprawy niezbędne i zarządził powrót, ale w tej półgodzinie czy godzinie zawodzenie narosło, z uliczek weszło w ulice i place, zamieniło się w jeden wielki jęk i krzyk, który krzykiem w sensie dosłownym nie był, ale był czymś więcej od jęku i płaczu, był pieśnią, chorałem, wezwaniem. I zdawać się mogło, że zawarły się w owym krzyku, czy jakkolwiek mielibyśmy ów głos zbiorowy nazwać, wszystkie doświadczenia narodu wybranego: te znad Eufratu i te znad Nilu, znad Manzanares i znad Renu.

A pośród owego krzyku przypadł do naszej bryczki, która już

miała ruszać, Żyd młody i piękny, ale już poważny, choć teraz niewiele z tej powagi zostało. Nie wiem, jak się nazywał, myśmy o nim mówili – „rabiniak”, ponieważ był ponoć synem miejscowego duchownego. Podobnie jak tamtego krzyku, nie zapomnę też tamtych oczu rabiniaka, pełnych najstraszliwszej grozy, tej ostatecznej, którą widzi się zazwyczaj tylko raz, na samym końcu. On prosił, błagał, coś mówił, chwycił za derkę, za ubranie. Ojciec rozłożył ręce, Staszek zaciął konie. Uciekliśmy.

Wówczas ten jakiś zwierzęcy wybryk skończył się kilku, czy kilkunastu zaledwie trupami. Prerażony tłum pognano po śniegu kilka kilometrów, po czym esesmani bez słowa zawrócili do miasta. Wówczas ów mikro-exodus powrócił w milczeniu do swych zaułków, do swych domów. I nie miał już nigdy krzyzczeć; następne odejścia odbyły się w milczeniu.

W opisanym epizodzie brak mi sylwetki Lerecha; nie było go tam albo jego obecności moja pamięć nie odnotowała. Zresztą Lerech to był ktoś właściwie stale obecny, obecnością nie zawsze i nie całkiem uświadomioną. Obecność ta była, bowiem przeważnie bierna, a kiedy przekształcała się w czynną, to tylko wyjątkowo nabierała jakiegoś znaczenia.

Nie wiem, dlaczego utkwił mi na przykład w pamięci taki najzupełniej błahy epizod, jak to Lerech obraził się na ojca z powodu wron. Był bowiem rok, kiedy wrony upodobały sobie korony starych drzew rosnących wokół domu i na wiosnę założyły tam całe mnóstwo gniazd. Ojciec pozierał na to krzywym okiem i nawet kazał owe gniazda postrzącać, ale strącono ich zaledwie kilka, inne zaś pozostały i wkrótce o nich zapomniano, zwłaszcza że listowie ukryło ich obecność. Zabawa zaczęła się jednak w momencie wyklucia piskląt: nagle nad koronami drzew i w ich zakamarkach zawrzało – roje wron zaczęły uwijać się kracząc tak przeraźliwymi i złowróżbnymi głosami, że poza domem wprost nie dało się rozmawiać. Któregoś ranka ojciec rozwścieczony porwał z szafki na broń lekką dubeltówkę i wyszedłszy na ganek zaczął strzelać do ptaków. Ofiar tej strzelaniny było niewiele – cztery czy pięć – bowiem wrony, jak wszystkie z rodziny krukowatych, odznaczają się niebywałą inteligencją: kraczący obłok rozwiął się w oka mgnieniu i odtąd karmienie młodych

i sąsiedzkie niesnaski załatwiane były z ogromną dyskrecją. W czasie owej strzelaniny pojawił się Lerech. Przy każdym uniesieniu strzelby przykladał wymownym gestem ręce do uszu i zamykał oczy. A potem zapytał ojca, po co on strzela do tych dużych, czarnych ptaków. Ojcu raz po raz wpadały do głowy dziwaczne pomysły, które realizował z kamienną twarzą, więc i tym razem bez mrugnienia wyłożył pytającemu, że mięso wronie jest bardzo wykwintne, że się z nich robi znakomitą pieczeń, a następnie wybrał wśród trofeów dwa ptaki i wręczył je jako cenny dar. Lerech ucieszył się, podziękował i zamiatając za sobą czarnymi piórami podreptał do miasteczka. A potem nie pokazał się przez trzy dni. Przez całe trzy dni. I to jest właśnie tajemnica obecności Lerecha. Ona była niewyczuwalna. Odbierało się dopiero jego nieobecność.

A co do wron, to po trzech dniach ojciec kazał zaprzęgać (tego rodzaju polecenia przekazywane były zazwyczaj specyficznym telefonem bez drutu – ojciec wychodził na ganek i potężnym głosem wołał: „Staaaszek, zakładaj” i udał się w niby niecierpiących sprawach do miasteczka, gdzie – zapewne przed sklepem Linga – nastąpiła rekoncyliacja. Ale Lerech jeszcze długo potem wspominał to dramatyczne wydarzenie i zawsze wówczas ustawiał się do ojca trois quart, więc nie tyłem, broń Boże, ale w żadnym przypadku frontalnie, bo jakkolwiek wybaczył, ale wciąż jeszcze cierpiał, że pan dziedzic wystawił go na pośmiewisko, że jak on teraz wygląda między innymi Żydkami, że one śmieją się z niego i przezywają wronojadem, bo każde małe dziecko wie, że wron się nie jada, fe.

Tak więc Lerech był z jednej strony zjawiskiem codziennym, i to do tego stopnia, że się w owej codzienności roztapiać poczyniała jego obecność, z drugiej strony był zjawiskiem groteskowym, a z trzeciej poniekąd nietypowym. Mówił: my, mówił: nasze Żydki, mówił: u nas w mieście (ale nigdy „w miasteczku”) i niby należał do tamtego świata, ale był w jego wymiarach inny. Niewątpliwie również dlatego, że nie nosił chałatu, ale i inni go nie nosili, jak Eisen. Odmienność Lerecha polegała na niezwykłości jego dziejów, tych poprzednich, które potem przetopiły się w zwyczajność jego codziennej obecności i jego domniemanej „hazuki”.

Bowiem Lerech – jak go pamiętam – był biednym,

małomiasteczkowym Żydem, ale przedtem... był ni mniej, ni więcej: dziedzicem. „Prawie takim samym dziedzicem jak pan dziedzic” – dodawał z nutką dumy i poprawiał się zaraz: „No, nie takim, ale wszystko jedno dziedzicem”. I opowiadał o tamtych swoich dziejach z rezygnacją i spokojem, jak o czymś, co go jak gdyby osobiście nie dotyczyło, a nawet z nutką ironii. Zaczęło się to wszystko od młyna. Nie wiem, czy się go sam dorobił, czy po ojcu dziedziczył, ale skłonny byłbym uważać ten młyn za dziedzictwo, bo Lerech nie należał do tych, co to się sami dorabiają. Ten młyn przynosił wielkie dochody, takie, że wreszcie trzeba było je w coś zainwestować. Istniały przy tym dwie możliwości: albo uciec w szeroki świat z tego zabitego deskami światka, albo w jego wymiarach pozostać, a wówczas pozostawała jedynie ziemia: ta nieprawdopodobna, rajaska ziemia, która rodziła sama, zachłanna i dobroczynna.

Bo postępek, co tu dużo owijać w bawełnę, przychodził tam do nas bardzo powoli, bardzo drobnymi kroczkami, a jeśli tylko krok wydłużył, to przydarzały się dziwne a znamienne przypadki. Pokazywano mi nieraz przydrożny kurhanik, trawą porosły i krzaczkami, na których czasem polne ptaszę przysiadłszy nuciło swą odwieczną pieśń o radości istnienia. Otóż o tym kurhaniku opowiadano, że właściciel sąsiedniego majątku, człek ocytany, ale dziwak wielki, zakupił pewnego razu traktor, pierwszy jaki pojawił się w tych stronach, i na długie lata ostatni. Traktor przywędrował pewnie z gubernialnego Lublina (bo było to jeszcze za cara-batiuszki) bitą drogą, jedyną, która przecinała te czarnoziemne krajobrazy i łączyła (ale czy potrzebnie?) nasze światy z tymi wszystkimi innymi, co jak planety krążyły gdzieś daleko wokół nas. Nie dotarł jednak do celu, bowiem z owej bitej drogi trzeba było wreszcie zjechać i przebyć jeszcze tych kilkanaście kilometrów drogą polną a że właśnie spadł był deszcz – zwiastun postępu zagrzął, i to tak skutecznie, że się go już nigdy z błota (a później z zeskorpiałej, twardej gliny) wydobyć nie udało. Pokrywał go kurz, ten sam, co wysokimi białymi słupami wędrował za furmankami i za naszą bryczką, nawarstwiał się, tężał i wychwytyując łąpczywie wszelkie niesione wiatrem nasiona przeobrażał w coraz gęstsza, coraz potężniejszą tkankę rodną. I w tym trybie skurhaniał, co było

widomym przykładem przyśpieszonego procesu powstawania stanowisk archeologicznych oraz pointą przypowieści o płonności postępu.

Więc dorobiwszy się na młynie Lerech kupił folwark. A może była to decyzja irracjonalna, pragnienie stania się dziedzicem, która w innym wypadku podyktowała naszym bliskim przyjaciółom pomysł sprzedania apteki, która przynosiła kokosy, i nabycia mająteczku, gdzie ledwie koniec dało się z końcem powiązać? Dziś nie sposób dotrzeć do dna owej sprawy, która zrobiła z Lerecha pana dziedzica. A to zobowiązywało. Więc powiedziano Lerechowi, że niby jaki to dziedzic, który nie ma strzelby? I Lerech posłuszny nakazom stanu broń zakupił. Tylko że jej nigdy nie rozpakował, lecz tak jak przyszła ze sklepu, w pudle, papierze i przewiązaną sznurkiem, powiesił na ścianie.

„Bo u dziedzica to przecież strzelba musiała wisieć na ścianie” – mówił z rozbijającym uśmiechem, jakby świadom umowności tej zabawy w ziemianina.

Zabawa ta nie trwała długo, a miała finał smutny i szary: sprytniejsi od Lerecha uwinęli się przy nim i przy jego dobrach, tak go omotali, tak mu doradzali, w taki kozi róg zapędzili, że Lerech ani się obejrzawszy wylądował na miasteczkowym bruku, w tym ruderowatym domu, w którym później mieszkał, bez młyna, majątku i strzelby. A kiedy ojciec wypytywał o szczegóły, o to, kto go właściwie tak wykierował, Lerech uśmiechał się z zażenowaniem i opuszczając głowę przyznawał bezbrinnie: „To katoliki, panie dziedzicu”. Nie ma co ukrywać: był on często naszym pośmiewiskiem. Ojciec, który od monotonnej sfery życia pocziwego uciekał w fascynujące regiony historii, czytając o Lancelocie z jeziora i o rewolucji francuskiej, a te lektury przetwarzał na mój użytek w opowieści czasem budujące, ale częściej dziwaczne i bez wyraźnego morału (jak o tym rycerzu Squarciafico, co to „patrzył dziko”), na swój sposób pastwił się nieraz nad Lerechem, opowiadając mu z właściwą sobie kamienną twarzą – niestworzone bzdury, które słuchającego wprowadzały w osłupienie i zgorzienie (zauważyłem, że nieraz dyskretnie popluwał za siebie).

Pewnego razu, studiując dzieje któregoś z zakonów rycerskich,

więc może joannitów, a może maltańczyków, wpadł na pomysł uczynienia z Lerecha rycerza takiego właśnie, wymyślonego przez siebie zgromadzenia, ponieważ zaś swe lektury uprawiał przeważnie po francusku, więc i francuskie wymyślił dla niego nazwisko (no bo czy mógł być rycerz zwany Lerechem, Lerechem tout court?). Pamiętam więc, jak biedakowi wpierał, że się będzie odtąd nazywał rycerz „Cutas de Mouton”, że już załatwi to w kahale, aby Lerechowi „przepisali nazwisko”, a ten – już całkiem przerażony (wiara we wszechmocność pana dziedzica przerastała grubo realne jego możliwości) obstawiał, że on chce, że on musi być Lerech, a nie żaden Kitademuto, Lerech i szlus.

Innym razem ojciec wrócił do domu jakiś stropiony, bo i rozbawiony jak gdyby, i zarazem zawstydzony. Początkowo nawet nie chciał mówić, co się wydarzyło, ale potem opowiedział: otóż szli we trójkę brzegiem stawu w kierunku „mostku garbatego”, który wiódł do parku. Szli – to znaczy ojciec, Lerech i Staszek stangret, wspaniały okaz ułana i narwańca, jeźdźca, co się z koniem zrastał, i bazarza, który rozmaite historyjki zmyślał na poczekaniu. Lerech, jak to Lerech, coś tam długo opowiadał, a chodziło w gruncie rzeczy o pogodzenie ojca z pewnym kupcem zbożowym nazwiskiem Bewustsein, który popadł w niełaszkę. Ojciec nie był skłonny Bewustseinowi przebaczyć (na razie) wykroczenia, a Lerech uporczywie drążył, że to porządny, że to bardzo uczciwy i pobożny Żyd, że on ma ileś tam córek i tak dalej, i tak dalej. Ojciec, znudzony tą gadaniną, dla żartu powiedział nagle: „Staszek, utop mi zaraz tego Żyda, bo już go słuchać nie mogę!” I jakież było jego zdziwienie, gdy Staszek, bez chwili namysłu, złapał Lerecha za kapotę i wepchnął do stawu. Oczywiście w tym stawie porośłym nenufarami więcej było mułu niż wody i utopić się w nim bez własnej woli było nie sposób, ale utyłać i zmoczyć oczywiście tak. Ojca oczywiście ubawiła ta idiotyczna scena, a jednocześnie żał mu się i wstyd zrobiło, więc Staszka skrzyczał, a następnego dnia widziałem, jak coś tam ze spichrza ładowano na fornalkę, która akurat „szła do miasta”.

Staszek, zresztą, wbrew pozorom, nie był aż taki narwaniec,

aby się zanadto narazić, w tym wypadku miał zawsze na swe usprawiedliwienie, że „...tak jaśnie pan kazal!”. A jeśli mu się w postępowaniu ojca coś nie spodobało, to zwykł był, przechylając się ku mnie (bo oczywiście jeździłem na koźle), powiadać tak, żeby to z tyłu słyszano: „O, starszy jaśnie pan to był prawdziwy jaśnie pan: i w mordę dał i wynagrodzić potrafił... Nasz jaśnie pan, to też pan, ale już nie taki jaśnie pan, co starszy jaśnie pan”.

Zerkałem dyskretnie przez ramię i widziałem, jak ojcu chodzą szczęki, ale nigdy nie reagował. W domu panował bowiem absolutny kult rodziców i Staszek dobrze zdawał sobie sprawę, że jest całkiem bezpieczny robiąc takie porównania. Lerech był śmieszny przez swoją naiwność, przez swoje „żydlaczenie”, przez to, że czasami jakby umyślnie starał się być pośmiewiskiem, a kiedy mu się to udało, opuszczał głowę z czymś w rodzaju zażenowania i rumienił się. Był ponadto śmieszny przez swą bojaźliwość, więc pamiętam, jak to wykorzystywaliśmy w pierwszych miesiącach okupacji, kiedy pojawiał się na ganku lub w kredensie, zadawało mu się pytanie: „No co tam mówią Żydki w miasteczku? Szybko tego Hitlera szlag trafi?”

Wówczas Lerech bladł lub pąsował i przykładając palec do grubych warg szeptał: „Sza, sza, paniczu... Uj, żeby ktoś nie posłyszał...” Potem przestało to nas wszystkich bawić.

Ale kiedy tak szeptał, można było dostrzec, że do ust przykłada nie wskazujący, lecz środkowy palec swojej dłoni. Bo Lerech nie posiadał palca wskazującego w prawej dłoni. Złożył go kiedyś w ofierze carowi i własnemu lękowi: jeszcze przed I wojną światową, kiedy doszedł do wieku poborowego, w swym własnym młynie, który miał go poprowadzić ku przyszłym wzlotom i upadkom, palec ten sam włożył między tryby, bowiem nie brano w saldaty ludzi bez palca wskazującego, a więc takich co ani porządnie nie umieli salutować szarży, ani cyngla naciskać w obronie swej wielkiej rosyjskiej ojczyzny.

Kiedy z dziecięcą, bezwstydną ciekawością prosiłem Lerecha, aby mi pokazał miejsce po tym palcu, on niechętnie, lecz potulnie wysuwał dłoń z różową i jak kuperek kurzy pomarszczoną blizną. Fascynowała

mnie ona jako dowód przewyciężenia własnego strachu wobec cierpienia. Dziś rozumiem, że była raczej świadectwem lęku straszliwszego niż lęk bólu i drobnego, bądź co bądź, kalectwa: lęku ponizenia, długoletniej, bezwzględnej niewoli, pozbawienia człowieczeństwa. Ci, którzy dziwili się owej bierności, brakowi odruchu samoobrony w momentach, kiedy powoli, z premedytacją niszczone cały naród mogliby z owej małej blizny na ręce Lerecha odczytać wegetatywną taktykę przeżycia, którą Żydzi stosowali poprzez wieki spędzone w diasporze.

Z nie mniejszym okrucieństwem bawiłem się wówczas także w chwytanie za ogon jaszczurek. Zwierzątka te, z wyglądu przypominające smoka, są w rzeczywistości niemal całkowicie bezbronne i w swoich groteskowych paszczach nie posiadają nawet zębów. otóż jaszczurka złapana za ogon „zrzuca go” – szarpie się tak, że pozostaje on jako łup napastnika. Potem już ogon jaszczurce nie odrasta, co najwyżej jakiś karłowaty kikucik, i jest ona mniej zwinna, niemniej pozostaje żywa.

Naród Lerecha przyjmował więc z góry swą bezbronność, a pragnąc zachować swą tożsamość pośród innych narodów zakładał nieuniknioność ofiar. Tam, gdzie to było możliwe, okupywał się, tam, gdzie to jeszcze było możliwe, poświęcał palec, poświęcał część samego siebie. Doświadczenie lat hitlerowców ukazało zawodność owej taktyki i można się było wkrótce potem przekonać, że przebudowa psychiki całych odłamów narodu jest możliwa na przestrzeni jednego nieomal pokolenia. Pośród rupieciarni moich wspomnień pozostało jeszcze jedno związane z ręką. Nie pamiętam jej kształtu, wielkości, siły czy temperatury i byłbym nawet skłonny przypuszczać, że pamięć owej dłoni jest wtórną rekonstrukcją faktu, który zdarzył się na rynku miasteczka w roku 1941, a raczej już w roku 1942. Przyjechałem konno, niby żeby coś załatwić, a w gruncie rzeczy po to, by odwiedzić znajomą dziewczynę, która sprzedawała w kiosku papierosy i gazety a czasem, gdy nikt się przy okienku nie tłoczył, dawała się przelotnie pocałować.

Klacz, która nazywała się Fru-fru, co nie było taką znów głupią nazwą, zważywszy lekkość i taneczność jej kroku, uwiązałem do drewnianej barierki, bowiem było tam na placu sporo takich, przeznaczonych

właśnie dla wiązania koni i wieszania worków z obrokiem, a kiedy wynurzyłem się z powrotem z kiosku, obok mego rumaka stał młody Niemiec w mundurze SS. Zrobiło mi się trochę niewyraźnie, ale przecież zrejektować nie mogłem – z całego rynku spoglądały na mnie dziesiątki oczu, a wśród nich te najważniejsze: z kiosku, więc jakby nic podszedłem do barierki i zacząłem odwiązywać wodze.

„Guten Tag – powiedział i wyciągnął rękę. – Ein schönes Pferd!” Podąłem mu dłoń i przez chwilę czułem jego uścisk. A potem, po kilku zdawkowych słowach odszedł. Ale ta chwila wystarczyła, aby uderzyła mnie jego wyjątkową urodą. Liczył chyba nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i mógłby zdobić okładkę „dzieła” Rosenberga albo występować w filmie Kabaret: blondyn, o złocistych włosach i jasnych, błękitnych oczach, Ta uroda, choć nigdy nie byłem czuły na męskie wdzięki, tak mnie zainteresowała, że odjeżdżając na Fru-fru, która lekko tańczyła zdenerwowana rojem much, co ją w miasteczku obsiadły, postanowiłem go zidentyfikować.

Można by mnie w tym momencie oskarżyć, że w sposób banalny posługuję się, wyświechtanymi pseudo literackimi „kliszami”, i nie będę mógł bronić się w żaden inny sposób, jak tylko upierając przy swoim: że niczego nie zmyślam, że wszystkie przytoczone tu fakty są prawdziwe, Bowiem zła literatura bliższa jest życiu, niżby się to nam podobało przyznać. Germańskiego efeba zidentyfikowałem bardzo szybko, w miasteczku, bowiem znany był powszechnie jako specjalista od rozwałki, specjalista z zamilowania, a już w szczególności gdy chodziło o Żydów.

Wkrótce potem mój kolega wrócił z miasteczka zupełnie roztrzęsiony. Był świadkiem następującej sceny: w pociągu (bowiem od czasu ślubu mojej matki kolej jednak dotarła do miasteczka, do stacji, która carskim obyczajem przycupnęła w dość znacznej od niego odległości), a więc w pociągu, który przybywał wczesnym popołudniem (drugi przyjeżdżał o świcie, inne to były transporty wojskowe) złapano troje Żydów, dwie kobiety i młodego mężczyznę, którzy wymknąwszy się z getta wyprawili na wieś w celu zdobycia odrobiny żywności. Złapanych przekazano na stacji owemu blondynowi, a on ich zaczął prowadzić do

miasta na skrót, to znaczy ścieżką przez łąkę koło cmentarza, i będąc już, na tej łące, o kilka kroków za prowadzonymi, nagle zdjął z ramienia Schmeissera i pociągnął serię, kładąc na miejscu wszystkich troje. Interpretacja tej sceny nie jest łatwa. W gruncie rzeczy ta nagła, zaskoczenia oddana seria była czymś humanitarnym, była czymś, co skracало czas lęku i agonii. Ale czy on to zrobił z tego względu, czy tylko tak – od niechcienia, bo się mu już nudzić zaczynała ta rola, której się podjął, a może właśnie dlatego, by być przy wykonywaniu swej czynności widzianym, by mieć świadków swego métier.

Widziałem go później, na ulicy, dwa lub trzy razy, ale na szczęście z daleka i nie zaistniała już sytuacja, w której on wyciągnąłby do mnie rękę, i chyba na pewno świadomość tego przelotnego uścisku jest pamięciową rekonstrukcją, rekonstrukcją niezbędną w sytuacji, w której czułem, że mam brudną dłoń.

Jeśli ktoś, kto sam nie przeżył okupacji, buduje jej obraz na podstawie książek i filmów może wyobrazić sobie, że na co dzień pełna była trupów i krwi. Tak jednak nie było, zwłaszcza w naszym zaciszu, i ja włączwszy w to przejścia frontów – na własne oczy widziałem nie więcej niż trzydziestu zabitych. Więc najpierw, na wiosnę 1940 r., oglądałem zwłoki obcej kobiety, którą pastuszkowie znaleźli rano w polu zarzuconą słomą i gdy „granatowy” uniósł ją, a ona, sztywna jak manekin, nie ugięła się w żadnym punkcie swego ciała, poczułem, jak mi się coś skręca i zwięża w żołądku. A na ostatku: w styczniu roku 1945 zatrzymałem się na chwilę nad trupem żołnierza niemieckiego, który w nocy upadł trafiony odłamkiem w momencie, w którym jadł żelazną porcję i spoglądałem na niego nie czując nic, zupełnie nic, rejestrując jedynie szczegóły: wyraźny ślad zębów na niedojezdzonym kawałku czekolady. I to nie o to chodzi, że tamta kobieta była Polką, jakąś nieszczęsną handlarką z dalekiego miasta, która tu przybyła z walizką nędznego towaru, a ten żołnierz był z kolei przedstawicielem odchodzącego koszmaru. Tak – dla mnie i dla wielu innych okupacja nie była codziennym teatrem krwi i makabry (chyba że się trafiło do więzienia czy obozu), ale chociaż się tego nie oglądano, była czasem nieustannej śmierci i bardzo szybko postępującej nieczulicy.

Raz po raz dowiadaliśmy się o egzekucjach w miasteczkach, o obozach. Wkrótce zetknąłem się z takimi, którzy przez nie przeszli i powrócili do nas, ale o ostatecznym exodusie Żydów z naszego miasteczka dowiedziałem się z cudzej relacji, a o jego zagładzie dopiero znacznie później, kiedy już było wiadomo, jak pracują Treblinka i Bełżec, kiedy nawet ktoś przywiózł przemycone, amatorskie zdjęcie rowu pełnego nagich ciał Żydówek.

Codziennosc, rzec można, śmierci była w owym czasie czymś, co narastało stopniowo, nieuchronnie, i nie wiem, co w tej sytuacji wywierało większe wrażenie: czy owe informacje o masowych grobach, czy wieści o indywidualnych zgonach ludzi, których się znało.

Więc kiedy Żydów wywieziono już ostatecznie z naszego miasteczka, trwało – przez pierwsze tygodnie – płądrowanie ich domów przez Niemców, a przy okazji odnajdowano raz po raz tych, którzy ukryli się byle jak, w pośpiechu, na przeżycie tygodnia czy miesiąca, choć przetrwać trzeba było jeszcze przeszło rok. Każdego odnalezionego Żyda prowadzono na kirkut i tam zabijano strzałem w tył głowy, dopełniając powoli zawczasu przygotowaną zbiorową mogiłę. Dla mnie straszne było nie tylko to, że ich tam mordowano w ten sam sposób, w jaki zamordowano już wcześniej mego brata, ale jeszcze i to (a może, było to nawet czymś straszniejszym), że jak mówiono w egzekucjach tych brali udział spędzeni widzowie spośród polskiej i ukraińskiej ludności miasteczka, że patrzeć na to przychodziły nawet niektóre dziewczęta: urzędniczki z Landratamtu, ze „Społem” czy z „Probojerm”.

Owe strzały na kirkucie, w miarę upływu dni i tygodni, stawały się coraz rzadsze; konglomerat dziwacznych żydowskich domów został przeorany niemieckim rabunkiem, do ciepłych jeszcze mieszkań wprowadzili się nowi lokatorzy. Najpóźniej, w wiele miesięcy po likwidacji getta, odnaleziono Eisena. Nigdy nie dowiedziałem się dokładnie, w jaki sposób Gestapo natrafiło na doskonale przygotowany i zaopatrzony schowek, w którym miał on pełną szansę przeżycia. Mówiono – i jest to dość prawdopodobne – że stało się to przypadkiem.

Eisena jak jego poprzedników, zaprowadzono zaraz na kirkut.

Podobno Niemcy prowadzili go spokojnie, jak gdyby nawet z pewnym szacunkiem, a on szedł: duży, czerwony, kanciasty, z wysoko, dumnie podniesioną głową. Może to, że w jakimś stopniu jednak wyswobodził się z tego przedwojennego, dobrowolnego getta, że pracował na roli – fizycznie i twardo – a może po prostu to, że się już taki urodził – duży, krwisty i hardy – pozwoliło mu iść do własnej śmierci bez oporu, ale z dumą. Ale o wiele bardziej niż wiadomość o śmierci Eisena wstrząsnęła mną relacja o innej jeszcze późnej śmierci być może nie znanego, a być może tylko nie rozpoznanego Żyda.

Była jesień. Odbywały się omloty: to znaczy na pole, w sąsiedztwo stert, wytoczono archaiczną „lokomobilę”: maszynę parową z wyglądu przypominającą parowóz z westernowego filmu oraz wielką, drewniano-żelazną młockarnię. W lokomobili rozniecało się zawczasu ogień i biały dym buchający z wysokiego komina ciągnął się daleko nad lśniące babim latem ścierniska. Potem na koło napędowe nakładano pas, bezcenny składnik całości, gdyż całkowicie wykonany ze skóry, i pasem tym łączono oba mechanizmy. I wówczas rozpoczynała się ciężka, ale wesół robotą: mężczyźni podawali widłami snopy na maszynę, gdzie dziewczęta – rozcinając powrósła – karmiły nimi młockarnię, a za każdym kęsem jej stukotliwy rytm załamywał się nagle i było słychać takie „uuuuch”, jakie wydają ludzie dźwigający wielki ciężar. A czasem z jednego z kół zsuwał się pas wśród ogólnego „aaaa” i następowała chwila przerwy, w czasie której mężczyźni rozprostowywali kręgosłupy, a dziewczyny otrzepywały się z kurzu.

Od najwcześniejszych lat uwielbiałem młockę: ten ruch, gwar, sypanie się ziarna do worków, grube żarty przerzucane ze sterty na młockarnię i z powrotem, spadanie pasa oraz chwilę podniosłą, gdy gumieny ogłaszał przerwę pociągając za sznurek, a wówczas z cienkiego kominka obok tego dużego wytryskał słup śnieżnej pary i rozlegał się ochryply gwizdek. Najbardziej emocjonujące chwile następowały jednak wówczas, gdy kończono stertę, a więc ten wielki snopowy dom o dwuspadowym dachu, którego kalenicę umacniano gałęziami. Oczywiście później rozbierano go i snop po snopie rzucono na pożarcie młockarni właśnie od

dachu zaczynając, a kiedy już dochodzono do najdolniejszych warstw, wówczas gromadził się tam tłum oszalałych mysich sublokatorów, którzy tak z warstwy na warstwę, z piętra na piętro umykali w dół, aż niczego nie stało poza twardą, spieczoną latem ziemią. Teraz więc za każdym snopem szmyrgały pod nogami szare zwierzątka, parobcy tłukli je kijami lub widłami, ale najwięcej do roboty miały psy, które wiedzione niezawodnym instynktem właśnie w tym momencie pojawiały się gromadnie i wylapywały piszczące, tłuste kąski.

Rolnictwo, życie bliskie naturze, prowadzi z jednej strony do pewnej łagodności, opanowania i umiarkowania, z drugiej jednak wyzwała to naturalne okrucieństwo, które tkwi w porządku otaczającej nas przyrody, które należy do obowiązku walki o byt i utrzymania gatunku. Pamiętam, że sam – choć nie dopuszczano mnie do czytania bajek braci Grimm i choć surowo strofowano tych, którzy próbowali mi opowiadać makabryczne wiejskie bajdy brałem z wielką uciechą udział w „wylewaniu chomików”. Tych żarłocznych, zapobiegliwych i sprytnych zwierzątek było na naszych polach bez liku i stanowiły one istotnie swego rodzaju plagę, więc chłopcy wiejscy dostawali pieniężne nagrody za ich zabijanie.

Sezon na „wylewanie chomików” przypadał na jesień, na ów czas, gdy pola, ogołocone ze zbóż, a jeszcze nie przewrócone lemieszami pługów, ujawniały sadyby zwierzątek: nory z płasko rozsypaną wokół ziemią. Te nory były niezwykle przepastne – i jak mówiono – zasobne w kilkadziesiąt nieraz kilo ziarna, ale tego sprawdzić nie mogłem nigdy, bo nikt nie podejmował próżnego trudu ich rozkopywania. Na chomiki był bowiem inny, prostszy sposób. Do beczki zmontowanej na dwóch kołach i opatrzonej w dwa dyszle zaprzęgano starego, ślepego konia, który zwykł był chodzić wokół kieratu, napelniano ją wodą, zwoływano psy i jechano w pole. Tam do każdej napotkanej nory wlewało się wodę: czasem trzy wiadra, czasem i dziesięć, aż do chwili, gdy z owej nory, ze srebrnej strugi wody zaczynały się wynurzać pyszczki zwierzątek. Łało się im nadal wodę na noski, aż całe nie wychynęły na zewnątrz, a wówczas zabijało się je ciosem kija, ale jeszcze lepiej załatwiały to psy, zwłaszcza stary

jamnik Bziunio, który miał już cały siwy łeb i niedowidział, a większą część czasu spędzał w kuchennej „bratrurze”, ale tu był niezawodny: błyskawicznym uderzeniem zębów wpijał się w gruby kark chomika i tak nim długo rzucał w lewo i w prawo, aż przetrącił kręgi. Ale czasem zwierzę unikało ciosu i pierwszego uderzenia psich zębów, więc jeszcze całe mokre, ale już oprzytomniałe stawało na tylnych łapkach: mały, brązowy człowieczek o wydętych policzkach, i podejmowało, wściekle prychając, nierówną i z góry przegraną walkę z przeciwnikiem.

Po takiej eskapadzie chłopcy przychodzili do ojca i z powagą wręczali mu małe, brązowe pęczki. Ojciec przeliczał je i wypłacał odpowiednią należność. Te pęczki to były ogonki chomików, obcinane kozikami kupowanymi w pobliskim wiejskim sklepiku, a które nosiły fa-szynującą mnie zawsze nazwę: „Magnitnaja Łosad”.

Pozornie daleko odbiegłem od napoczętego wątku. Tamto młócenie, o którym zacząłem pisać, przypadło na jesień roku 1943. Nie bardzo późną, bo w listopadzie już na zawsze wyjechaliśmy z tamtego świata, uciekając od nocnych łun, które coraz bardziej zbliżały się do naszego domu, więc pewnie działo się to w październiku, kiedy noce były już bardzo zimne i kiedy pola całkowicie pustoszały ze wszystkiego, co można było jeść. Niespodziewanie pośród wesołych, ciężko pracujących ludzi pojawiła się zjawa. Przybyła nie wiadomo skąd, gdzieś: z pól (bo lasów w naszych okolicach nie było prawie) straszna, omszała, złachmaniona. Był to Żyd, który przez dłuższy czas ukrywał się samotnie wśród tych bezwzględnie pustoszejących pól, po rowach, wśród chuderlawych krzaczków na miedzach, w oczeretach mokradeł. Siny z głodu, wycieńczony i tak zmieniony, że już nikt nie mógł rozpoznać, kim on był, jak się nazywał przedtem, prosił ich słabym, ledwie zrozumiałym głosem, aby wyświadczyli mu przysługę, aby go zaprowadzili do Niemców, bo on już nie może dłużej żyć i nie może, nie potrafi sam sobie odebrać tego trochę, co mu jeszcze zostało. Wesoło żartujący ludzie oniemieli i dłuższy czas patrzyli i słuchali milcząc, a później wystąpiło dwóch, którzy zgodzili się wypełnić jego prośbę, i wzięwszy pod rękę tego ślaniającego się, już całkiem martwego, a jednak żyjącego i nie mogącego się od tego życia oderwać człowieka, powiedli ku miasteczku.

Zanim jednak doszło do tej masowej i do tych pojedynczych śmierci tamtego, trzeciego naszego świata, ojciec podejmował mizerne, nieskuteczne próby ratowania poszczególnych jednostek i rodzin. O ukrywaniu ich w naszym domu nie było mowy, ponieważ ten dom i jego mieszkańcy byli pod stałą, coraz bardziej wrogą obserwacją ludzi, należących do drugiego świata, a narastająca jak ogień nienawiść manifestowała się z nocy na noc łunami palonych zagród.

Wydawało się jednak, że jakąś ochroną, jakąś próbą ocalenia będzie zatrudnienie w rolnictwie możliwie największej liczby znajomych Żydów. Machina Trzeciej Rzeszy domagała się stale dostaw żywności i administracja Generalgouvernement szła na rękę rolnictwu, zwłaszcza większej własności, ułatwiając nabycie maszyn i nawozów sztucznych, więc zatrudnieni w folwarkach wydawali się bardziej bezpieczni od słończonych w gettach, a przynajmniej od tamtych różnili się tym, że mieli co jeść. Pośród owych rodzin, które udało się wydrzeć stamtąd, na zasadzie zwyczajnego przetargu, za określoną ilość masła i gęsi, a może za pieniądze, znajdowała się także rodzina Lerecha. Od pewnego czasu ustały bowiem jego wizyty, nie było po co przychodzić, komu pośredniczyć, w ogóle nie wolno było opuszczać zamkniętej części miasteczka. Ojciec uznał, że wobec tego, iż żadne z nich niczego w rolnictwie robić nie potrafi, więc najlepiej będzie osadzić ich jako sadowników w oddalonym od naszego domu o kilka kilometrów folwarku.

Sad był tam stary i już nieco skarłałe rodził owoce, ale wciąż jeszcze istniał, granicząc z parkiem, w którym sędziwe dęby demonstrowały milczące, zmartwiałe cierpienie w napiętym, bolesnym powyginaniu konarów, dęby tak stare, że na ich spękanych głęboko korach bruzdy piorunów, które raziły przed setkami lat, wyglądały na naturalne zmarszczki. Pośród tych wielkich drzew i pośród niskich, ale bujnych pokrzywy stały ruiny dworu, który spłonął w czasie I wojny światowej.

Jako dzieciak bardzo lubiłem tam jeździć: opuszczenie, samotność martwego domu wionęły tajemnicą. Ojciec też tam chętnie zaglądał, budząc zapewne swe własne młodzieńcze wspomnienia i snując plany, jak to – kiedy dorosnę odbuduje ten dom dla mnie,

bowiem dom, w którym mieszkaliśmy, był przeznaczony dla mego starszego brata. A potem prowadził do sadu, gdzie ogryzałem skarłałe, lecz słodkie jabłka, i do dawnego warzywnika ogrodzonego kruszącym się murem ceglany, i zawsze opowiadał o ukrytym skarbie. W warzywniku tym pracował bowiem i mieszkał wiele dziesiątków lat ogrodnik, który najprawdopodobniej wykopał kiedyś skarb, a nie mając krewnych znów go ukrył, nie chcąc się nim z nikim dzielić.

Bowiem tamta ziemia szcudrze rodziła pieniądze i ojciec mój miał schowany w biurku spory woreczek rozmaitych monet, które znosili mu chłopci, gdy zdarzyło się im wyorać rozbite naczynia i małe metalowe krążki. Tamta ziemia była bowiem rodna i otwarta i różne nią przechodziły dzieje, różne znaczyły osypiska i gruzy, a także kopce – kurhany prawdziwe, już nie traktorowe, ale te, które „wieść gminna” wiązała z „czarnym szlakiem”, z ciągnącymi ze wschodu hordami, a nawet z wielkoludami, co tu dawniej mieszkali. Chowali więc ludzie swój najcenniejszy dobytek w glinianych dzbanach, podobnie jak chowali w nich popioły swych bliskich, a ziemia przyjmowała te depozyty cierpliwie i po stuleciach, gdy się nikt zwrotu nie dopominał, zwracała je tym, co ją uprawiali, a oni nieśli to, by u ojca wymienić na pieniądź marny, na papierze odbity, ale posiadający realną siłę wymiany na butelkę gorzałki czy na buty. A pomiędzy owymi szarymi krążkami pokazywał mi ojciec także dwa lub trzy złote i na jednym, pamiętam, rysowała się twarz któregoś przez historię lekceważonego cesarza bizantyńskiego. Więc te złote przyniósł, jeszcze mojemu dziadkowi, ów ogrodnik, ale ani powiedzieć nie chciał, gdzie znalazł, ani też wyznać, czy więcej ich było. A potem, gdy staruszek umierał czekając pojednania z ziemią za to wszystko, co jej w ciągu długich lat życia odebrał, kazał swe łóżko wynieść z małego domku przy warzywniku i ustawić tak, aby mógł patrzeć na mur odgradzający jego przemijające włości. Ojciec komentował więc, że pewnie ów garnek ze złotymi pieniążkami zamurował w tym murze i umierając tę miał pociechę, że posiada skarb, dobrze przed innymi ukryty i stanowiący jego własność nawet wtedy, gdy go już w tym warzywniku nie będzie.

Lerecha z żoną i dziećmi umieszczono więc w owym domku od lat nie zamieszkałym i nie pamiętam nawet mojego ostatniego spotkania z nimi, bowiem do tamtego folwarku jeździło się od czasów wojny coraz rzadziej, sprawy gospodarcze pozostawiając rządcy, i nigdy się już nie mówiło o odbudowie ruin, zwłaszcza odkąd pewnym się stało, że brat już żadnego nie będzie potrzebował domu. Mogę jedynie na zasadzie domysłu rekonstruować tę scenę, tych czworo osób stojących przed krzywym domkiem, na tle muru, co miał ponoć kryć skarb a nawet ten szczegół, że Lerech układał grube fałdy swej twarzy w poczciwy uśmiech, niby taki jak dawniej, a jednak osłabiony zmęczeniem strachu.

Wiadomość o zabiciu Lerechów przyszła rano. Bowiem rano przychodziło zawsze najwięcej wiadomości. A rano to była dla mnie owa błoga ciemność budzenia się, gdyż zamykane na noc dębowe okiennice utrzymywały w pokojach mrok niemal nieprzenikniony, więc dzień anonsował się nie przez owe okna, ale pod drzwiami, wciskając się złotym, wibrującym prętem i miarowym szuraniem, co oznaczało, że w sąsiednich pokojach Kazik otwarł już okiennice i nałożywszy na bose stopy dwie szczotki, zaopatrzone w paski, by się mogły na owych stopach trzymać, rozpoczął swą froterującą podróż po wszystkich zakamarkach: „szuch.....szuch, szuch-szuch, szuch.....szuch”. A potem słychać było pobrzękiwanie i Kazik wchodził do sypialni mego ojca, niosąc na tacy kawę, mleko, chleb i plik raportów, specjalnych druczków, w których rubryki rządcowie wpisywali dane dotyczące dziennych robót oraz liczby dotyczące zasiewów, zbiorów, bydła, mleka i innych spraw dających się cyframi wyrazić. Ja wtedy wyskakiwałem z łóżka, biegłem ochlapać twarz zimną wodą, ubierałem się pośpiesznie, wpadałem na chwilę, by ojcu powiedzieć dzień dobry, i już pędziłem na folwark, do parku czy ogrodu.

Tego dnia było pewnie wszystko tak. samo: złoty pręt, szuranie, kroki i głosy w sypialni ojca. Ale kiedy wbiegłem tam, zobaczyłem rzecz niespotykaną: ojciec milcząco płakał, trzymając garść raportów, a Kazik z pochyloną głową stał przy oknie, które dopiero co otwarł z okiennic, i cicho opowiadał szczegóły.

Lerechów wystrzelali ukraińscy policjanci, którzy od niedawna zastąpili na naszym terenie policję „granatową”. Wpadli rankiem do sadu, a oni, jak gdyby spodziewając się tego, jednak próbowali uciekać. Nie uciekali długo. Najdłużej Lerech, ale był to już człowiek starszy, nieco otyły, więc gdy dobiegł na folwark, utracił do reszty oddech, przewrócił się, ale jeszcze szukał ocalenia wciskając się pod koryto, w którym pojono konie i krowy. Tam go zastrzelono. A zaraz potem trupy pochowano, nie – zakopano w owym sadzie, którego skarłałych owoców mieli strzec, obok ruin domu, którego nie było dla kogo odbudowywać.

Biografie kończy się zazwyczaj w momencie śmierci ich bohatera, nawet wówczas gdy są szare, bez znaczenia i ową śmierć mają nieładną, pozabawioną wzniosłości. Ale gdy odrywam się od wspomnień, gdy staram się odnaleźć właściwe słowa, dostrzegam nagle, że przy mym stole brak dwóch nieudanych geniuszków drwiny i frasunku, że odeszły znudzone lub może przepędziła je władczy gestem ta starzejąca się pani, która jednak – nieproszona – wróciła, by stać za mną i zaglądać przez ramię. I być może to ona podszeptuje mi, że ani to, co spisałem, nie jest biografią, ani też nie posiada zakończenia, że istnieje na swój sposób, to znaczy że pisząc dzieje Lerecha przez siebie pisałem je o sobie.

W tamtym świecie, podzielonym na trzy mniejsze, więc w tamtym świecie, którego już nie ma i który nie mnie osądzać, mówiło się często żartem, że każdy szlachcic ma swojego Żyda i każdy Żyd ma swojego szlachcica. Ale tak naprawdę to każdy człowiek własne swe człowieczeństwo buduje z okrzesek cudzych człowieczeństw i w jakiś sposób, w tej ułamkowej formie, przenosimy nawzajem w głąb czasu własne nasze istnienie. Mój ojciec miał swego Żyda i ów Żyd go miał, nawet jeśli plotką były tylko opowieści o „hazuce”, a także ja miałem jakąś część Lerecha dla siebie i sądzę, że wielu, że wszyscy, którzy z jakichś zaginionych światów pozostali, mają ich także – własnych, bliskich, nieznanymi, przedłużonych pozornym a prawdziwym istnieniem.

Fotografie















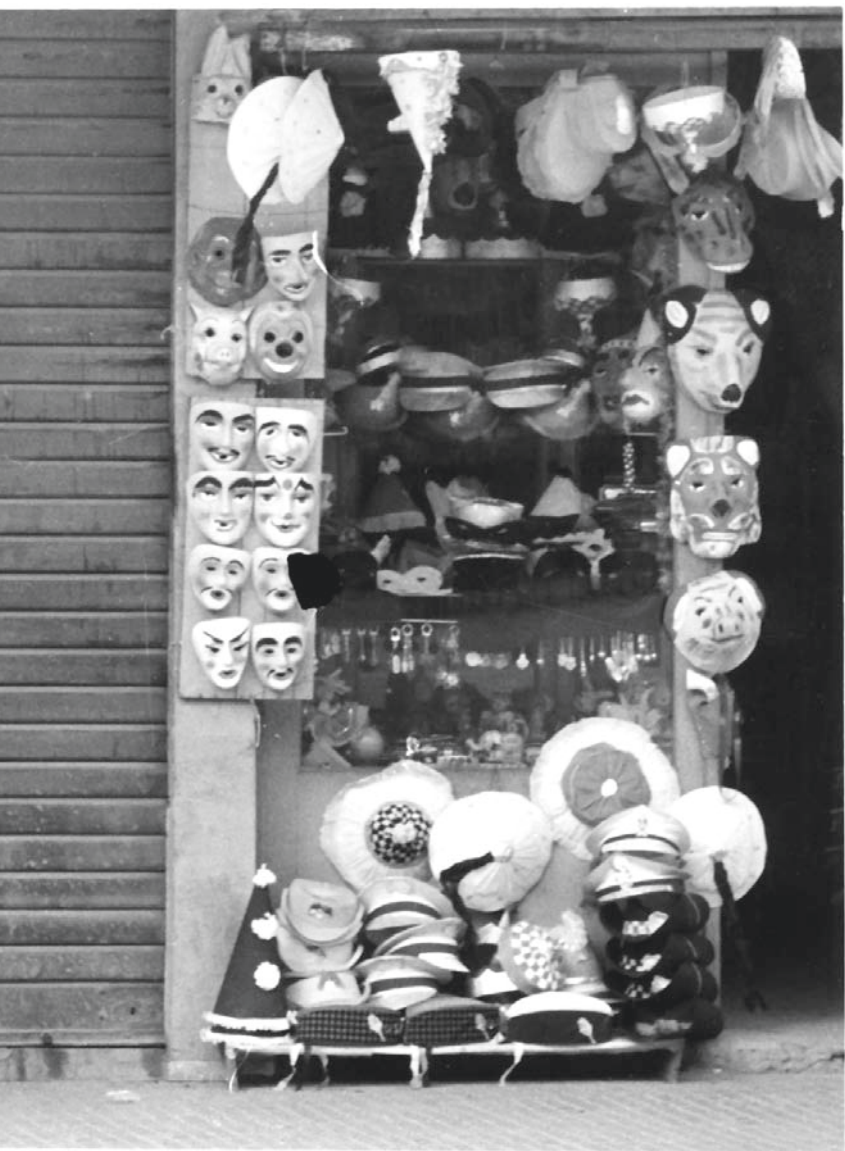




























Listy

*A na dworze o tym czasie o całej pełni i krasie
Maj z dniem białym umierał na słonecznym kompasie*

*Zakwitały po sadach bzy koślawe i krzywe
Biedny słowik zawodził trele jakieś fałszywe
Biedny słowik ukryty w ciemnym gąszczu sobie piła
Beznadziejnie zamyślał miłość, której nie było*

Kochany Panie Tadeuszu,**

Ten list powinien wbrew wszelkim regułom stylistyki zaczynać się od słowa dziękuję, mało, słowo to powinno poprzedzać każde zdanie, mało każde zdanie powinno być naładowane wylewną wdzięcznością. List Pana noszę w portfelu, czytam na głos pod okwitującym kasztanem. Jest bardzo dobry, kojący przyszedł jako odpowiedź na samotne wołanie. Czuję się mocno kopnięty przez życie. Samotność mnie przeraża. Z ludźmi nie mogę żyć, to nie tonik rozpaczy, ale cała tonacja.

Z rad tow. Tyrmanda¹ będę korzystał – jak mi ponownie za-depeszuje. Najwięcej pomogą mi jednak dobre listy Pana. Wie Pan one mnie jakoś rozpogadzają od środka, dlatego nie mogę za nie dziękować, tylko wstrzymuję oddech, czekam następnego.

Ale poza tym to postępuje Pan ze mną źle – niepedagogicznie. Mnie nie można rozpieszczać, Pan dokonuje tyle starań i zachodu zwłaszcza w sprawach mojej tfu twórczości. Z rad korzystam skwapli-

1 Leopold Tyrmand (1920-2004), prozaik, publicysta i krytyk muzyczny. Tutaj tow[arzysz] ironicznie. Tyrmand był uważany za kontestatora, propagator jazzu i ekstrawaganckiego ubioru („czerwone” skarpetki Tyrmanda).

wie, nie sądzę, że nie są słuszne. Zdanie mistrza Konopki² powiesiłem nad łóżkiem, kupiłem słownik ortograficzny, walczę z niechlujstwem w szufladzie mojej zakurzonej psyche. A wie Pan, że ja miałem się za czelatora. Flaubert³ przepisywał podobno siedem razy, ja pisałem raz na brudno, drugi na czysto i myślałem, że to tyle, co Flaubert – biorąc pod uwagę różnicę talentów. Co do opowiadania „Początek”, to jeśli Pan uważa, że nie będzie większego skandalu proszę takowe przekazać przeorowi.⁵ Bez porozumienia się z Panem wysłałem dwie recenzje. Co Pan o tym sądzi. Czy wypada w ogóle. Bo w dalszym ciągu upieram się przy syndykacie: linii generalnej.

Zgodnie z poleceniem „Początek powieści” wysłałem doń [przeorowi] niemal natychmiast po dokonaniu poprawek zaznaczonych przez Pana. Właściwie całą hecę należałoby napisać raz jeszcze. Z tym nieokreślonym narratorem ma Pan słuszość. Koncepcja była taka dać dwa plany czasowe i duże przenikające się świadomość narratorów szczenięcą i dojrzałą. Koncepcja zawałiła się z trzaskiem w czasie pisanania. Dlatego uważam opowiadanie nie zrealizowane w pełni (co 20% na 100 zamiarów). Jeśli to się nie ukáže w co nie wątpię – proszę Drogi

2 Feliks Konopka (1888-1982), poeta i tłumacz literatury polskiej na język francuski i literatury obcej na polski (*Lotta w Weimarze* T. Manna, *Fausta* W. Goethego).

3 Gustave Flaubert (1821-1880), jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy europejskich XIX w., przedstawiciel realizmu. Znany z pracy nad językiem i stylem. Autor m. in.: *Pani Bovary*, *Szkoły uczyć*, *Kuszenia św. Antoniego* (3 wersje).

4 *Początek powieści*, komentowane opowiadanie ukazało się w „Tygodniku Powszechnym”, 1951, nr 25, s. 4, dedykowane *Rodzicom*. Pisanie tego opowiadania Herbert skończył w pierwszych dniach maja 1951, brał pod uwagę inny tytuł *Puste okno*. Za:] Zbigniew Herbert, *Węzeł gordyjski i inne pisma rozproszone 1948-1998*, oprac. Paweł Kądziała, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2008, t. 1, s. 27-32, s. 572.

5 „Przeor”. Jerzy Turowicz (1912-1999), redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, publicysta i działacz katolicki.

Panie Tadeuszu (ładnie powiedziane co?) ów „Początek” sobie zabrać jak swoje, bo Pan jeden mnie rozumie i wie, co w mojej duszy i myśli w ogóle, to co inni nie rozumieli...

Za przesłane wiersze serdecznie dziękuję, że jest to piękny, staroświecki zwyczaj przesyłania sobie utworów. Najbardziej podoba mi się kolorowy świat Chagalla, cały łącznie z tragicznym zatrzaśnięciem⁶ – nie mogę o nim zresztą nic powiedzieć zgodnie z poglądem G. Marcela⁷ – opinię mamy o tym, co jest poza nami, a ten wiersz jest we mnie, jestem w nim osobiście zaangażowany. Chardin – uroczy; małej partytury na cztery takty milczenia, jeszcze sobie nie przyswoilem, ale uważam, że jest Pan w stosunku do tego maleństwa zbyt surowy.

Ja piszę bardzo źle. Napisałem może cztery wierszyki, najlepsze załączam, aby dać pojęcie o tamtych. Dobry wiersz to jest u mnie taki, który podoba mi się pół roku – te zbrzydły mi nazajutrz.

Za zaproszenie wysyłam – całuję rączki. Zwłaszcza nocniczek mnie wzruszył do nagłej wilgoci (Wie Pan, przypominam sobie tego Makowskiego⁸ w Poznaniu, tam „to” też jest, ale jakie!).

Mało teraz mogę pisać, kilka drobnych egzaminów.⁹ Więc w czerwcu opuszczę się w twórczości. Ciąg dalszy tzw. prozy pozwolę sobie przesłać w lipcu. Ale niech Pan nie zapomina o mnie.

6 *Świat malarza* (1949). Wiersz kończy się frazą: „U Chagalla świat odległy kolorowy tli światelkiem – / były świat – stratowany najazdem”.

7 Gabriel Marcel (1889-1973), filozof, dramatopisarz, krytyk, przedstawiciel francuskiej szkoły egzystencjonalizmu chrześcijańskiego. Autor m. in.: *Być i mieć*, 1935, wyd. pol. 1962, *Homo viator*, 1949, wyd. pol. 1960.

8 Tadeusz Makowski (1882-1932), malarz, grafik, znany z cykli dziecięcych. Jego prace znajdują się w kolekcjach zagranicznych (Francja) i polskich, jak Muzeum Narodowe w Poznaniu, w Warszawie.

9 Zbigniew Herbert od 1951 r. studiował prawo i filozofię na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Niech Pan napisze jak studia (u mnie studnie), co Pan zamierza, jak wyobraźnia i plany wakacyjne. Czekam na wydanie tomiku, jak kontakty z grupą, no i jeszcze wiele Pana spraw, które mnie interesują i wzruszają.

Drogi Tadeuszu, Druhu i Powierniku – Czuwający
Mocno Pana ściskam jeszcze raz serdecznie dziękuję za wszystko
bardzo serdeczne pozdrowienia wdzięczny i oddany

Zbigniew

PS. Pana Pawlika J.P.T.J.T.P.¹⁰ całuję w czołko i naprawdę proszę, aby nie męczył się odpisywaniem – kiedy nie ma czasu czy nie może – więc rozumiem.

PS. W związku z Dniem Dziecka serdeczne pozdrowienia dla miłych
zdziecinniałych krakowskich przyjaciół.

Cześć pieśni

Z.

10 Jan Paweł Gawlik (ur. 1924), teatrolog, krytyk, w l. 70. dyrektor
Starego Teatru w Krakowie.

*Listy Zbigniewa Herberta do Tadeusza Chrzanowskiego, Archiwum
Zbigniewa Herberta w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Zbiór zawiera 63
listy, (bez akcyzy).

**List napisany niebieskim piórem, na górze listu: *zamiast daty*.
Według zbioru w Archiwum datowany, Toruń, marzec/kwiecień.

*Pełne radości
są instrumenty
kiedy poeta
wchodzi w ogród ziemi*

Kochany Tadeuszu,*

Serdecznie gratuluję i podziękowanie za przesłany tomik „Powitanie lata”. Jak w dobrym sklepie wszystkiego tam po trochu i gwiazd i łez i miłości... Jeszcze na to wszystko przeczytałem ze wzruszeniem i notuję moje wiersze: „List do Wincentego”, „Hieronimus”, „Do poezji romantycznej”, „Życie przedmiotów”, „O wyborze”, „Świat malarza”, „Pokój”, „My także byliśmy w Arkadii”, „Oglądając szychy”, „Jastrzębie”, „Piosenka do Prometeusza”, „Dwie mowy”, Przypis do „Zakopanego”¹ (uważaj na czarne *Wortbiefy*,² Tyrmandzi są mściwi), „Tarnów”, „PGR Myców”, „Jakieś miasto”, „Pisa Gwiazda”, „Na końcu świata”, „Babci o wnuczce”, całe „Palcówki”.

Wiem zresztą, że jest to wybór z wyboru, że masz wiele świetnych wierszy nie drukowanych w tomiku np. „Nie powoływać się na dzieci”, którego Ci zazdroścę i chętnie bym ukradł. Ale najważniejsze, że wyszedłeś i teraz stoisz goluteńki pod szkiełkiem i okiem Historii Literatury Rodzimej, która nas sądzi.

Tak bardzo się ucieszyłem z przysłowiowej książeczki, że poszedłem z Władziem na wódę, gdzieśmy głośno odczytywali ludowi Twoje wiersze, a nieliczni kelnerzy doliczali nam to do rachunku. Laliśmy także alkohol na okładkę dzięki czemu jest ona nieco pobrudzona. Ale to wszystko z radości wielkiej – więc z wyboru. Ale na tym sprawa się nie kończy. Postawić musisz.

1 Zob. *Na założenie albumu*, s 127.

2 *Wortbiefy*, niem., listy otwarte, (ogłoszone publicznie słowa).

Donoszę przy okazji, że „Grupa warszawska”³ Prezesa Tyrmanda została ponownie zdekompletowana wraz z wyjazdem Sekretarza Najdera, raz po raz podjęliśmy rozmowy z „Grupą krakowską” Prezesa Turowicza. Rozmawialiśmy oczywiście z pozycji siły. Mamy tylko w łonie naszej grupy ofiarowane trudności, w przypadku głosowania więc szukamy trzeciego (lub trzeciej). Tyle w świetle polityki.

Dedzie słońce nie zapominaj – pisz
przesyłaj wiersze
jeszcze raz bardzo gorąco Cię ściskam i całuję
Vivat Poeta Editus!

Patryk

*List napisany długopisem. Bez daty. Datowany na 1957, rok wydania *Powitania lata*.

3 „Grupa warszawska”: Leopold Tyrmand, Zdzisław Najder, Zbigniew Herbert. Po r. 1956 na fali odwilży „październikowej” nastąpiła, po zawieszeniu, reaktywacja „Tygodnika Powszechnego”. Wymieniona „Grupa” występowała jako skrzydło liberalne „TP”.

Warszawa 2.09.1993

Zbigniew Herbert
Promenada 21 m. 4
00-78 Warszawa

Kochany mój Dedzie,
od dawna winien Ci jestem list z podziękowaniem za cenne dla mnie dowody pamięci.

Piszę krótko, bo jeszcze nie jestem w najlepszej formie.

Twój referat z Kazimierza podobał mi się ogromnie, jest wnikliwy, cenny i jak wszystko co pochodzi z Twego warsztatu, świetnie zrobiony.

Dzięki serdeczne za „Sarmatia Semper Viva”¹.

Z wszystkich zamieszczonych tam reprodukcji najbardziej podobała mi się Twoja fotografia, chociaż inne obrazy są zadziwiająco dobrze jak na polskie wydawnictwo, oddane. Całą książkę przeczytałem z uwagą. Najbardziej podobał mi się szkic Zdzisława Żygulskiego. „Ranny bohater”².

Raz na zawsze: to nieprawda, że nie lubię historyków sztuki, natomiast prawdą jest, że nie historyków sztuki tępych i bez polotu. Prawdopodobnie tępota w tym zawodzie równa jest populacji nieudaczników innych profesji.

1 *Sarmatia Semper Viva*, Zbiór studiów ofiarowany przez przyjaciół prof. dr hab. Tadeuszowi Chrzanowskiemu, Komitet Redakcyjny..., red. J. Nicewicz Konińska. SHS, Warszawa 1993.

2 Z. Żygulski, *Ranny bohater*, op.cit., s. 226-232.

Nie dawno dostałem długi list od Johna Michaela Montiasa. Czytał moją książkę, która ukazała się w Holandii. Przesłał mi krótki esej o Torrentiuszu i zadeklarował wymianę książek i idei. Otóż ów Montias jest wybitnym profesorem ekonomii na Yale University a więc kimś, jakby naszym kolegą z Akademii Handlowej. Takich właśnie lubię.

Czy to prawda, że zaangażowałeś się w kampanię wyborczą na rzecz Unii Demokratycznej³ wraz z Turowiczem, Woźniackiewiczem⁴ i prof. Błockim polonistą.⁵ Takie chodzą wieści po Warszawie. Hm. Ja jak możesz się domyślać działam na osi Tymiński – Lep[pl]er. A no zobaczmy.

Dudusiu kochany mimo różnic ideologicznych
całuję Cię bardzo serdecznie i do serca przyciskam

Twój

3 Tadeusz Chrzanowski kandydował w r. 1993 z ramienia Unii Wolności na senatora RP, nie przeszedł niewielką ilością głosów (jako trzeci po Stefanie Jurczyku „Solidarność” i Krzysztofie Kozłowskim Unia).

4 Jacek Woźniakowski (ur. 1921), historyk sztuki, publicysta i krytyk „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, wieloletni dyrektor wydawnictwa Znak.

5 Jan Błoński (1931-2009), prof. literatury UJ, krytyk.

1 T. Chrzanowski, Zbigniewowi Herbertowi *Na urodziny przyjaciela*, „TP” 1994, nr 44, s. 8.

2 Herbert w l. 1954-55 miał się różnych zajęć zarobkowych: pracownik bankowy, sprzedawca w sklepie, kalkulator i chronometrażysta w Spółdzielni Emerytów Nauczycieli „Wspólna Sprawa”, starszy asystent w Biurze Studiów i Projektów Przemysłu Torfowego „Torf Projekt”, wykorzystując swoje pierwsze studia – ekonomiczne, odbyte w Akademii Handlowej w Krakowie. Przypomnijmy był absolwentem prawa i filozofii (Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika w Toruniu). Zob. Leopold Tyrmand, *Dziennik* 1954, Londyn 1980, s. 71-73, 80-81. Por. Zbigniew Herbert, *Proza poetycka – Pejzaże kolejowe*, [w: Hermes, pies i gwiazda, Wydawnictwo Dolnośląskie 1997, wyd. II por., s. 147.

3 Zob. Zbigniew Herbert, *Węzeł gordyjski...*, op. cit., t. 1, s. 223-224 i 389-390.

17. XII. 1994

Mój Kochany Dedzie,

Jesteś prawdziwym i dobrym przyjacielem. Tak ładnie, napisałeś w „Tygodniku”¹, że zakręciła mi się autentycznie łza w oku nad młodością naszą, nad tymi dwoma szczeniakami Tadziem i Zbyszkiem, a także nad Żabińskim i Sarną. To wraz z nastaniem, Spółdzielczością i otchłaniami wiedzy o „Torfowiskach kolejowych”².

I to, że my obaj kształceni na głównych księgowych, nosiliśmy pod sercem Nikifora³, sklepienia gotyckie, laserunki a nawet sfumato.

Dedzie miły, ode mnie
i Kasi dla Tereski, Ciebie
Całej Rodziny życzenia, Dobrych
Świąt i aby lepszego Nowego Roku,
Ściskam znajomą dłoń

Twój

DOWÓDCA KRÓLEWSKIEJ
SAMODZIELNEJ BRYGADY
HUZARÓW ŚMIERCI
PŁKOWNIK ZBIGNIEW HERBERT

Jak widzisz po długich wahaniach
ujawniłem się.

Kochany Panie Zbyszku!

Bardzo dziękuję za list, zwłaszcza że przyjemność jego czytania trwała dość długo („z powodu długość? – Nie, z powodu hieroglify!”). Z listu sądząc jest Pan pesymistą, co zresztą pasuje nieco do Pańskiego egzystencjalno-zgniętego klimatu (dosłownie i przenośnie), gdy tymczasem my tu w Po-Krakowie jesteście pełni zapału, optymizmu i w ogóle twórczości radosnej. Radości to zresztą trochę z wulkana i trochę z Beaumarchais’go.¹ Ale mniejsza z tym. W ogóle przydałoby się, żeby Pan spłynął do naszego grodu, bo zaprawdę z Kisielem,² Gawłem³ i w ogóle tymi zasiedziałymi tematy się kończą. Trzeba pożyczki, trzeba zastrzyku z zewnątrz.. Niech Pan sobie tylko wyobrazi takie rozkoszne „tetatet” [*tête à tête*, fr.] taką długą, jednomyślną, spon-taniczną litanię anty-piłkarską zakończoną kawałami dołowymi (bo nie tylko księża są dołowi – także są i dowcipy). Niech więc Pan sobie wyobrazi taką „rozmowę literacką”... Czyż nie wystarczy kuszeń? Czy po tych wizjach nie kupi Pan natychmiast biletu?... Czekamy – Ja i mój pies „Gawel”. No naturalnie inni też (Łepepek).⁴ A poza tym przydałoby się, żeby pan (przepraszam – Pan) nadesłał nam (mnie i memu psu Gawłowi) trochę wierszy. Bo naturalnie jest Pan w wyjątkowej sytuacji

1 Pierre A. de Beaumarchais (1732-1799), komediopisarz, sławny z dwóch komedii *Cyrulika sewińskiego* (1775, wyd. pol. 1780, przekł. Boya 1933) i *Wesela Figara* (1784, wyd. pol. 1786, przekł. Boya 1932).

2 Stefan Kisielewski, pseud. Kisiel, pisarz, kompozytor, krytyk i felietonista „Tygodnika Powszechnego”, od 1956 poseł do Sejmu PRL katolickiej grupy Znak. „Guru” środowiska młodych pisarzy i intelektualistów, jak Klubu Logofagów. Por. *Życiorys własny*, s..., *Taka moja sarmacka gęba*, s...

3 „Gawel” – Jan Paweł Gawlik, zob., s 295.

4 „Łepepek” – Andrzej Łepkowski (ur. 1925), malarz, ilustrator, myśliwy.

– oprócz świeckiej, duchowej i tej ostatecznej – wiersze Pańskie przechodzą jeszcze czwartą – Naszą (moją i mego psa „Gawła”) [ilustrację].. Poza tym, co u licha z tym esejem o Rouaultcie,⁵ o którym odgrażał się Pan w czasie pobytu w K? A poza tym dość już breweryj i w ogóle niech Pan pisze obszerniej i gęściej. My (ja i mój pies Gawel) robimy to nieustannie, a że świat o tym nie wie – to już sprawa srogiego Turowicza,⁶ który naszymi dziełami miota po koszach itp.

Poza tym Kisiel wspomina Pana czule.

A zimno jest jak chol..

Więc wiele serdeczności – i serio – niech Pan zajrzy do nas.

Dla Wnuków pokłony
Ded

Kraków 3.2.51

5 Georges Rouault (1871-1958), malarz, grafik, ilustrator, projektant witraży i dekoracji (balety rosyjskie Diagilewa). Tekst Herberta o francuskim artyście ukazał się w „Twórczości” w r. 1958, nr 4, s. 164. [Za:] Zbigniew Herbert, *Węzeł gordyjski oraz inne pisma rozproszone 1948-1998*, w opr. Pawła Kądziała, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2008, s. 249-250.

6 Jerzy Turowicz, red. nac. „Tygodnika Powszechnego”, zob. s 293.

*Listy Tadeusza Chrzanowskiego do Zbigniewa Herberta, Archiwum Zbigniewa Herberta w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Zbiór zawiera 132 listy, (bez akcyzy), w tym m. in. 6 wierszy, rp. akc. 18122.

Kochany!!!*

Nie odzywasz się – zapominasz o przyjaciółkach (jak i oni o Tobie poniekąd), a to brzydko, a to fe. Cóż – czasy dziś nie – epistolarnie i człek budzi się dzień w dzień – czasu za grosz – a przecież czasem trzeba sobie to i owo listem powiedzieć. Koniecznie! Nawet jeżeli się filozofię wkuwa.

Ja po powrocie rzuciłem się z wielką furią do pisania. I prawie nic nie wyszło. W T.P [„Tygodniku Powszechnym”] były dwa wierszyki i może jeszcze trochę ich będzie, ale to właściwie nic nowego. Napisałem je kiedyś dawno, a teraz tylko przerobiłem. Zawsze to robię i wstydzę się okrutnie – w moich wierszach nie ma nic „ważnego” – tego nagłego, chwilowego, impresjonistycznego – no po prostu jedno-razowego. Robię te wiersze mimowolnie i na zimno. A to wszystko przekonuje mnie jeszcze bardziej, że poezja jest jakimś ersatzem [Erzatz, niem., namiastka], jakąś przykrą pomyłką, ciągnącą się od wieków. Stu chorobom dano już radę, a tej nie. Zbyszku – mnie tak cholernie mierzi poezja. Coraz bardziej. A najbardziej, kiedy Ty piszesz tak dobre i zawsze nowe wiersze. Po prostu szlag mnie trafia – jak Ty to robisz. Ja już właściwie doszczętnie zestatyczniałem wobec tego nie mam, co tu robić.

To wszystko nie znaczy jednak – byś mnie miał – jak ostatnio pomijać w akcji upłynniania Twojej spuścizny (czy na pewno przez takie „u”?).

Więc przesyłam taki jeden z ostatnich wierszy. Niby dobry, gdyby nie to, że to sto razy napisałem. Na różne sposoby zresztą nie takie bardzo różne. Zapewne jest w nich coś „takie same”.

A oto ten wiersz

"O drewnach"

Chciałbym o drewnach: w ogólnym łacińskim
miejscu, pagódek, chłopi, młocznicy -
ale ratować wolno mi
i nie wiem, czy nie wypaść

Chciałbym o drewnach, których łona
wyprzeć w białej (białej) miedzi
o liściach, poronach i sporech
... i nie wiem, czy nie wypaść

Jak mi dał, ogólnie, a nie
abaja - waga, łona - gwarant
i łona - waga, a łona - waga...
... i nie wiem, czy nie wypaść

Przyjęte, białe, pagódek, łona, gwarant
na ogólnie, ogólnie, łona, gwarant -
ogólnie, łona - waga, łona - gwarant
nieco łacińskie - nieco łacińskie.

Od liści, łona, ad gwarant,
ad ogólnie, łona, ad gwarant
... i nie wiem, czy nie wypaść

Wzrostem, łona, łona, łona -
Wzrostem, łona, łona, łona -
Wzrostem, łona, łona, łona -
Wzrostem, łona, łona, łona -

O wzroście, łona, łona, łona
i ogólnie, łona, łona, łona
ogólnie, łona, łona, łona
ogólnie, łona, łona, łona

Lece w otępieniu obym się wami rozmawiaj,
po strachu stuka gdzieś echo
i dźwiękiem swoim dobiegł wieny
nie dostrzegając już gościa.

Nie mam piśmienia i nie potrafię
gdyś niktym kiego kawa po mował -
nie mam przynajmniej smaku parostaw -
Gdyś nie wiem co to wrycha gościa -
To tylko zęgiem sobie ufa -
i tylko miłośku chwile, boli -
~~Ł~~ kiedy popisał i ma jonyfowa
od drzew staa carych i katech.

I proszę Zbyszku – nie pieprz z Łaski wielkiej – jak zwykle cacy –
tylko pomóż druhowi szukać przyczyny zła. Bo samemu Dedusiowi
i ciężko i głupio.

A poza tem pisz – długo i przesyłaj

Ściskam i Teres też
Ded

piątek – deszcz

*List pisany piórem, niebieski atrament. Bez daty.

Prawdopodobnie z r. 1952-1953. Por. *O drzewach*, nota, s 336.

Kochany Zbyszku!

Już bardzo dawno nie odzywałeś się do mnie i sądzę, że ów kurs ideowo-kalkulacyjny, którego byłeś pacjentem, jest zasadniczym powodem milczenia. Tak, tak – człek, który umie kalkulować, nie będzie zwracał większej uwagi na smętnego barda spraw nieistotnych, na pokornego ojca dzieciom, na krakowskiego Watykańczyka (tak mnie ochrzcił piewien mój znajomek) – jednym słowem na Dudusia bidusia. Nie warto. Ja sam zresztą doszedłem do przekonania, że właśnie należy postępować i w związku z tym postanowiłem wycofać się z siebie, wynarodowić się w sensie duchowo-fizjologicznym i w związku z powyższym napisałem „Testament Mój” (ze względu na nieoryginalność tytułu nosi miano „Poeci Staromodni”).¹ Napisałem poza tym kilka innych ślicznych wierszyceńków i chętnie bym się o Twe zdanie pytał, gdyby nie skromność i pokora. Twoje bajki czytam i lansuję. Jednego, ale za to wiernego i czulego wyznawcę znalazłem w Janie Pawle.² Powiedział: „Znakomite”. Powiedział: „Wyborne”. Powiedział: „Genialne”. Nic nie powiedział tylko rękę zgiął w łokciu i cmoknął. A następnie sam napisał bajkę, która była do twoich podobna tym, że liczyła trzy arkusze kancelaryjne maczkowego manuskryptu. Pełna była przenośni i przymiotników w rodzaju „ciepły matecznik świątecznego szczęścia” oraz „Kolorowe motyle zwiewnych uczuć” a różniła się tylko tym, że miała cel doraźny – ułatwić tzw. nawiązanie kontaktu. Kiedy bajkę ową poddałem delikatnej krytyce (do dupy, bracie, do dupy) – orzekł że, przerobi. I przerobił. Na trzy nowe bajki po trzy wyż[ej] wzm[tankowane] arkusze każda.

1 *Poeci staromodni*, „Tygodnik Powszechny”, nr 3, s. 5.

2 J.P. Gawlik, op. cit.

Ale do rzeczy. Twoje bajki są istotnie fajne i rozmaite.³ Ja osobiście dziele je na bajki oraz na szkice do wierszy i prozy. Dla mnie prawdziwymi bajkami są: np. „Skrzypce”, „Guzik”, „Chińska bajka”, „Klawesyn”, „Krasnoludki”. Inaczej z takimi jak „Przedmioty”, „Muszla”, „Epizod w bibliotece”, „Szkola” – to zadatki na wiersze, którym po trosze ciasno w ramach miniatur i po trosze szkoda, że nie nabrały większego oddechu, bo chyba warto. Są zresztą i takie jak „Matka i jej synek”, „Szwaczka”, „Wariatka” a może i „Epizod w bibliotece, w których jest zarys opowiadań. Kto wie – może to właśnie owa najmniejsza forma odbiera im banał, którego być może nie ustrzegłyby się w innym gatunku pisarskim. A może szkoda i może warto popробować... A wreszcie – widać facet ma dużo do powiedzenia, jeżeli tak nieoszczędnie szafuje pomysłami. Być może zresztą co innego tuszysz (winno się restytuować ów czasownik w kraju o niedoborze mydła) o mikro-formach. W tym wypadku nic z moich uwag, bo rozmowę należałoby podjąć na tzw. płaszczyźnie i tzw. podstawie. Ja zresztą bardzo cenię małe formy, nawet wówczas gdy liczą trzy arkusze maczka i mają cel doraźny – tylko że nie cenię ich tak jak np. ody, epepeje i akroteria.

Płotki: był u mnie Bieszczadowszczak, myślałem, że będzie kaperował, ale nic. Psia krew – nawet kaperować nie warto. Tyle, że „Słowo Powszechne” przysłało mi opłatka. Bogusz pytał czy nie słyszałem o jego wyczynach. Powiedziałem, że nie, bo posłyszałem później. A no ładnie, ładnie Zbyszku, tak zreć kolacje i nie wywiązywać się ze zobowiązań.

3 Wymiana listów na temat bajek znalazła swoje odbicie w prywatnej edycji Herberta. Zeszyt *Bajki*, z sarkastycznym podpisem Ministerstwo Obrony Narodowej. Patryk opatrzył dedykacją: *Dedusiowi/ i jego potomkom/aż do siódmego pokolenia/ w dzień św. Tadeusza – Patrona/- poświęca -/ Autor/ AD. 1953*. Wszystkie wymienione w liście bajki były później publikowane w „Twórczości”, „Tygodniku Powszechnym”, a ostatecznie niektóre z nich, jak *Wariatka*, autor włączył do swojej książki, proza poetycka, *Hermes, pies i gwiazda*, Warszawa 1957. Zob. Zbigniew Herbert, *Bajki*, opracował Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2009.

Najder⁴ i Kubeczek⁵ ubawili mnie. Ale im tego nie mów. Bo to nie-pedagogicznie. Powiedz im, że nie ładnie, nie kulturalnie, że... no w ogóle opierdol.

Turowicz pisze skrypt „Towaroznawstwo⁶ w handlu dewocjonaliami”.

Jaś Józio⁷ piszą 10 powieść i 11 tom opowiadań.

Jaś Gawel j.w. oraz stracił na święta posadę.

Łepek stoi na gruncie twardego oporu, że tylko ilustracje. Poza tym utrzymuje, że ma tumor w mózgu i studiuje medycynę sądową.

Kisielowi zniszczyłem nowy kaszkiet niebieski w zieloną kratkę. Chciał zniszczyć mój kapelus, ale nie udało mu się. Ma być ponoć grany (na instrumentach dętych i tych innych).

Elżbietka dziś cztery kupki i do tego kwaśne. Wobec tego uznany zostałem za złego męża i wyrodnego ojca.

O Teresie nie wspominam nawet, bo nie poszła do kina i prasowała pieluszki całe popołudnie.

Tyle wiadomości, dobrych czy złych, ale zawsze rzewnych.

Czy wpadniesz podczas świąt? Czy prześlesz coś wreszcie jako tzw. strawę? I w ogóle?

ośmielam się ścisnąć i kolana obejmować

D.

Aha! Wesołego Aleluja i sto lat sto lat na Gwiazdkę.

20.XII.53

4 Z. Najder, zob., s 297 .

5 Zygmunt Kubiak (1924-1979), pisarz, eseista i krytyk, związany z „Tygodnikiem Powszechnym”.

6 Gra słów z domieszką makabry. Jerzy Turowicz po zamknięciu „Tygodnika Powszechnego” był bezrobotny, szukał bezskutecznie pracy m. in. w instytucji zajmującej się handlem dewocjonaliami. Nikt z wymienionych przez Deda kolegów nie miał wtedy (okres stalinowskich szykan) stałego zatrudnienia. Zob. Leopold Tyrmand, *Dziennik* 1954 (28 stycznia), wersja oryginalna. Wstęp i oprac. Henryk Dasko, Wydawnictwo Tenten, Warszawa 1995.

7 Jan Józef Szczepański (1919-2009), pisarz, krytyk, scenarzysta.

Słodycz ma imię Herberta!*

Dzięki Ci za piękną książkę
za czułą dedykację za wiersz
o róży, za to że w tej smutnej
i raczej prozaicznej epoce
nadajesz sens poezji.
Bardzo chciałbym z Tobą
porozmawiać, ale w Warszawie
nie było Was, kiedy tam ostatnio
zajrzałem i tylko żywię nadzieję,
że w czasie Waszego pobytu
w Krakowie (a więc już za dni kilka)
nie zapomnicie o starym,
zesklerociałym emerycie poezji,
który Was kocha.

Ded

*Kartka pocztowa. Na obwolicie reprodukcja: Józef Koniński (1753-1821), *Młoda dama w białej sukni*, akwarela, gwasz, płytka kościana, 7,5 x 5,6 cm, Muzeum Narodowe w Krakowie.

Kraków, dnia 20.IX.1992

Kochany Zbyszkule,

wielką mi uczyniłeś radość przesyłając „Rovigo”¹, co oznacza żeś jeszcze byłego krakauerskiego poetę nie zapomniał ze szczętem. Jeślibyś mnie chciał, kiedy na własne ślepka obejrzeć, to napisz słówko, ja się wprawdzie niezbyt często obecnie pojawiaam w Warszawie, ale jednak od czasu do czasu, ale piekielnie boję się Kasiuni, która jako smok waruje na Promenadzie² i kąsa nieproszonych gości. Więc jeśli będziesz miał ochotę, to wyślij kartkę i Kasiunię weź na obrozę, a przydrepczę. U nas, jak to u nas – pusto się w naszym domu zrobiło, bo odwieczna Babcia (mama Teresy) zmarła na początku czerwca, córki się powyprowadzały i zostaliśmy sami z czarnym kotem³, który ma – jak wszystkie koty charakter wredny, ale śliczne ślepia. Ja przeszedłem na emeryturę. Przez ostatni rok akademicki jeździłem jeszcze na pólétatowe zajęcia do KULu, ale już skończyłem definitywnie, natomiast niewykluczone, że jednak wezmę jakąś inną posadkę, bo emerytura cieniutka, a paszczaków, pomimo wyprowadzenia się cór, nie brakuje i wszystkie wrzaskiem jednostajnym domagają się dożywienia i w ogóle wspierania. Teraz na regularne honoraria nie sposób liczyć, więc nawet takie doróbki wątpliwe. No, ale poza tym na szczęście jakoś tam jeszcze funkcjonuję, nawet mózgownica jeszcze funkcjonuje.

1 Zbigniew Herbert, *Rovigo*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993.

2 ul. Promenada, adres Herbertów.

3 „Murunia”. Wspomina o niej Tadeusz Jaroszewski: „Ciesz się [Jubilacje – Tadeuszu] absolutnie wszystkim (...), nawet Murunią, która z niewypowiedzianym wdziękiem, właściwym tylko kotom, skacze z pieca na Twoje barki. [Za:] *Sarmatia temper viva, Laudacja*, op. cit., s. 6.

Właśnie czytam listy Zygmunta Hertza do Miłosza, gdzie Cię czule parokrotnie wspomina pt. Kicia⁴. Nie wiedziałem, żeś się tak pieszczotliwie zwał w tamtych latach. Piszę raczej zakalce naukowe lub troszkę publicystyko-esejowo no i tak to leci. A jak tam nasza Nadwiślania wygląda? No cóż – dużo i długo by na ten temat biadać, ale akurat dziś nie mam ochoty na biadolstwo, więc Was czule ściskam, bo Twego Smoka też i to czule.

Ded

P.S. A wiersze piękne i z tą melancholijną nutą, z którą niemal każdemu poecie do twarzy. A co z Twymi szkicami o malarstwie niderlandzkim?

⁴ „Kicia”. Zob. Listy do Czesława Miłosza (1952-1979), Zygmunt Hertz, Wybór i oprac. Renata Gorczyńska, Instytut Literacki, Paryż 1992.

Kraków, Trzech Króli 1996 r.

Kochany Zbyniuszku,

wielką radość sprawiła mi piękna książka o maestrach weneckiego rysunku i grafiki, a zwłaszcza tak czuła – jak dawnymi laty – dedykacja: zaraz cieplej mi się zrobiło gdzieś tam pomiędzy płuckiem lewym a środkowym żołądkiem. Niestety nie mam nic tak pięknego w rewanzu, ale przesyłam Ci do wiadomości ksero z wywiadem ze mną, który się co dopiero ukazał i gdzie jest o Tobie.¹ Niby nic, a przecież jakaś pamiątka dla potomnych jak to poetę kochano!

U nas zmian niewiele i jak łatwo się domyśleć rok rozpoczynamy markotnie pod panowaniem cygana i agenta. Mamy za to rodzinną zabaweczkę, której na chrzcie świętym na imię dano Karolina, ale której ja przyznałem swe własne imię: Konfucek, w nadziei, że mi się wreszcie trafi w rodzinie jakaś niegłupia niewiasta. Bachor właśnie obchodził pierwszy roczek spędzony na tym łożu padole i z zachowania jego wnosić można, że tego co ją otacza za padół wcale nie uważa. Jest to bachorek pełen animuszu radości z życia i na swój sposób ładny (o ile w tym wieku można coś na ten temat powiedzieć?).

Ja pracuję jak wściekły osioł odbudowując Kraków, do którego mógłbyś kiedyś wpaść, bo tłum wiernych przyjaciół czeka i tęskni do rozpuku. Za mało piszę, ale jednak czasem coś wypuszczę z komputera, który nabyłem nie tak dawno i wciąż jeszcze bawię się po trosze, a chwilami nienawidzę, gdy mi się sprzeciwia i na przykład połyka napisany już tekst.

Całuję, tulę, leczę tu i ówdzie tudzież życzę wspaniałego i owocnego ROKU 1996.

Ded

1 Zob. *Taka moja sarmacka gęba*, op. cit., *Na założenie albumu*, s 317.

Zamiast Posłowia

Taka moja sarmacka gęba

Zbigniew Baran:

★ Panie profesorze, czy kocha pan róże? Zbigniew Herbert zadedykował panu piękny wiersz *O róży*: „Słodycz ma imię kwiatu, / Słodycz ma imię róży”. Herbert gloryfikuje cudowność i tajemnicę różanego kwiatu, natomiast nic nie wspomina o kolcach...

Tadeusz Chrzanowski:

— Chce mnie pan przyszpilić różą. Otóż ja – przyznam się panu – w ogóle nie lubię kwiatów, a zwłaszcza tych ciętych, co nie znaczy, że nie jestem wrażliwy na wymiar symboliczny kwiatu. Zgadzam się. W sensie symbolicznym „różane kolce” mogą pasować do mnie, jestem bowiem z natury człowiekiem uczuciowym, a jednocześnie zgryźliwym. Natomiast – jak mi się wydaje – Herbertowi w tym wierszu chodziło o coś innego, o fascynację pięknem, zarówno pochodzenie naturalnego, jak artystycznego. Ważna jest metryka wiersza, lata pięćdziesiąte. Byłem wówczas w bliskiej przyjaźni z Herbertem, poszukiwaliśmy instynktownie jakiegoś estetycznego antidotum na tę szarość, z którą mi się zawsze kojarzy okres stalinowski. Brakowało nam przywoływanych w wierszu magów piękna: „chorążych purpury”, „trębaczy zapachów”. Odbieram ten wiersz jako pochwałę nadprzyrodzonego piękna, które w tym czasie starałem się solidarnie ze Zbyszkiem odkrywać.

★ Uwielbia pan kłuć i prowokować, ma pan coś z zadziornego Sarmaty. Jest pan przewrotny, miejscami błazeński. Przypomnę choćby stały felieton sprzed kilku lat w „Tygodniku Powszechnym” *Bujdy z Chrzanem*, czy *Refleksje Fensterguckera* w paryskiej „Kulturze”.

— Zabił mi pan ówieka. Od dawna zmagalem się z sarmatyzmem i widocznie coś zeń wchłonałem. Przy, nie ukrywam, zachwycie dla Sarmatów równocześnie jednak miarkowałem, aby nie stać się bezkrytycznym apologetą. Dlatego też bardziej niż w innych okresach historycznych właśnie w sarmatyzmie drażniły mnie cechy, które ciążą do dzisiaj nad naszym nieszczęsnym narodem. Ja jestem Sarmatą na pewno. Sarmatą z ukształtowania psychicznego, dziedzicząc pewien typ szlachecki, czy jak kto woli – szlachecczyzny. Stąd się biorą, jak pan mówi, te moje klucia i prowokacje. Czasami nie potrafię opanować swojego jęzora i widzę zdumienie u ludzi, którzy nie uświadamiają sobie tego, że ja po prostu żartuję. Mój niedawny artykuł w „Gazecie Wyborczej” *Polska mizeria* poruszył czytelników jedną sprawą. W gruncie rzeczy nikt mnie nie skopał po tym artykule, choć był napisany z wyraźnym zamiarem narażenia się bliźnim. Jednakże parę głosów się odezwało w obronie honoru księcia Pepi i Tadeusza Kościuszki, o których napisałem, że ci nasi bohaterowie byli nieudacznikami, gdyż jeden nie umiał pływać i utopił się w Elsterze, a drugi nie umiał jeździć konno, bo spadł z konia pod Maciejowicami. Z premedytacją wyjaskrawiłem ten przykład, by zwrócić uwagę na pokutujący w naszej tradycji wybitnie martyrologiczny stosunek do bohaterstwa. Stawialiśmy generalnie pomniki tym, którzy polegli za ojczyznę, względnie tragicznie zatracili się w miłości do niej. Zdumiewające, ale dopiero niedawno w Wiśniczu wystawiono pomniki Jerzemu Lubomirskiemu, który był świetnym wojownikiem o doprowadzili do zwycięstwa w czasie pierwszego oblężenia Chocimia. A o nim się zupełnie zapomniało, gdyż nie zginął.

★ Stosuje pan interesujące zabiegi językowe, tworzy neologizmy. Czy ma pan w tej dziedzinie swoich mistrzów, wzorce literackie?

— Po pierwsze, literatura staropolska. Dużo czytałem zarówno poezji, jak i pamiętników, które są kopalnią starej polszczyzny kolokwialnej. Ze współczesnych pisarzy w młodości pociągał mnie Tuwim, który był mistrzem słowotwórstwa. Jego poemat *O zieleni* jest znakomitym przykładem językowej ekwilibrystyki. A także Leśmian. Ciekawe, że ci dwaj Żydzi z pochodzenia poczynali sobie tak śmiało i tak skutecznie z językiem polskim, jak mało kto z rodowitych „Lechitów”. Otóż ja specjalnie nie dbałem o wyrobienie sobie językowego stylu, jest on dla mnie czymś immanentnym, taka moja sarmacka gęba.

★ I chwała...

— Nie wiem. To się wielu ludziom nie zawsze podoba, m.in. księciu redaktorowi Giedroyciowi. Parę razy mi powiedział: „ta pańska obrzydliwa maniera, nie kończące się językowe dziwolągi...”

★ Ale przecież często pana drukował.

— Widocznie godził się na ten styl, chociaż go drażnił. Aliści, że ten styl w jakiś sposób mnie odróżniał od innych, przekonałem się kiedy publikowałem w latach siedemdziesiątych w paryskiej „Kulturze” pod dwoma zresztą pseudonimami: Tymoteusz Klempski i Józef Szrett. Rozszyfrował mnie szybko Mieczysław Pszon z „Tygodnika Powszechnego”. Mietek, świeć Panie nad Jego duszą, powiedział mi ze swadą: „A ty, gnoju, piszesz do „Kultury” i nie kłam, bo to łatwo rozpoznać”.

★ W ustach Pszona był to komplement.

— On też miał swoją gębę i w tych wulgaryzmach był zabawnie przyjacielski.

★ Jaki miał pan stosunek do Gombrowicza? Czy tutaj nie istnieją jakieś pańskie powinowactwa np. z gombrowiczowskim obrazoburstwem, językiem?

— Gombrowicz interesował mnie jako facet, który nie boi się być anachroniczny i tkwi w zakłętych kręgu własnych obsesji – miłości i nienawiści. Niewątpliwie ożywił moje widzenie Sarmatyzmu, ale można to powiedzieć o wszystkich, którzy w Jaśnie Paniczu Gombrowiczu szukali różnych odcieni szlachetczyzny. Byłem w tej szczęśliwej sytuacji, że docierały do mnie zakazane przez cenzurę numery paryskiej „Kultury”. Pamiętam, jak czytałem w dwóch odcinkach *Trans-Atlantyk* i zrobiło to na mnie szalone wrażenie. Akurat natknąłem się na numer z adnotacjami jakiegoś księdza, czy zakonnika. W *Trans-Atlantyku* jest taka patriotyczna przemowa konsula polskiego wygłoszona po wybuchu wojny w 1939, który z namaszczeniem mówi: „Kaszo, nasza kaszo, nasza święta narodowa kaszo”. To było tym bardziej śmieszne, że na marginesie tekstu przeczytałem: „Ejże śmiałku!”, a nieco niżej: „Bluźnisz!!!”.

Oczywiście z czytania nie musi aż tak wiele wynikać. Nad tym wszystkim nie zastanawiałem się, kiedy dorastałem do dziewcząt i literatury. Chociaż muszę wyznać, że w moim domu znajomość była jednym z elementów wpajanej nam kindersztuby. Po obiedzie cała rodzina zasiadała w bibliotece i mój starszy brat czytał na głos. Najczęściej był to Sienkiewicz, gdyż nie wzbudzał kontrowersji. Toż to rodzinne czytanie było niezastąpioną szkołą wyobraźni i języka. Cokolwiek by powiedzieć na temat wizji historycznych Sienkiewicza, to był on świetnym znawcą literatury i języka staropolskiego. Sienkiewicz docierał do różnych dawnych słów, albo też tworzył je nowe. Mało kto dziś wie, że kłusownik jest wynalazkiem Sienkiewicza, przedtem mówiło się szczerze po sarmacku raubszyc.

★ W książce *Wędrowki po Sarmacji europejskiej* czy eseju *Galicyjski przekładaniec* drukowanym w „Dekadzie Literackiej”, wraca pan do

okresu dzieciństwa jako utraconego raju. W czasie wojny pańska rodzina została zdziesiątkowana, a z wielkiej rodowej fortuny mało co pozostało.

— Z wyjątkiem kilku otaczających mnie rupieci i cennego zbioru starodruków, które uratowały się cudem z pożogi wojennej. Mój ojciec należał przed wojną do elity finansowej, był szlacheckim burżujem. Dlaczego wracam w rodzinne pielesze? Z wielu względów. Miałem dzieciństwo niefrasobliwe, bajeczne. Przynależę do tej generacji, która jeszcze posmakowała owoców wolności II Rzeczypospolitej. Przekazano mi pewien trwały system wartości, który pozwalał mi przetrwać w trudnych czasach.

Jeżeli pisałem o historii dworu polskiego, to moim naturalnym punktem odniesienia był mój dwór rodzinny w Moroczynie koło Hrubieszowa, gdzie doznałem brzemiennych w skutki inicjacji historyczno-sztucznych.

★ Jak ocenia pan własną karierę w PRL-u? Ciekawi mnie, czy nigdy nie miał pan pokusy zagrania z komunistycznym diabłem?

— O co? Moi bracia odłączeni nie nękali mnie niczym. Nie otrzymałem propozycji wstąpienia do PZPR-u. UB nie zaproponowało mi nigdy współpracy agenturalnej. Mam określony stosunek do PRL-u. Był to okres w dziejach Polski haniebny, permanentnego zidiocenia i ogłupiania narodu, ale nie bądźmy naiwni, ci, którzy łapali się na komunistyczny lep, wiedzieli o co chodzi, w jakiej grze biorą udział. Podzielał pogląd Herlinga-Grudzińskiego, że te wszystkie wynurzenia nawróconych intelektualistów mają wiele z kokieterii i mizdrzenia się. Nikt nie chce się przyznać do zwyczajnej małości, do tego, że się po prostu zeszmacił. Estetyczniej bowiem pisać o konieczności dziejowej, względnie zestawiać się z Sartrem czy Picassem.

Po wojnie trafiłem do środowiska, które uważało narzucony ustrój za nieszczęście. Jednocześnie staraliśmy się coś zrobić i nie

skazywać się na bezskuteczną konspirację. Stąd moje zaangażowanie w „Tygodniku Powszechnym” i współuczestnictwo w założonym w 1946 roku dyskusyjnym „Klubie Logofagów”.

★ Kto należał do tego środowiska?

— Wodzował nam Stefan Kisielewski, który był od nas starszy i szalenie imponował swą inteligencją i zmysłem polemiki, wspomniany Zbyszek Herbert, z którym zetknąłem się w czasie studiów w krakowskiej Akademii Handlowej, Jan Józef Szczepański, Jacek Woźniakowski, a także ludzie spoza Krakowa: Zygmunt Kubiak, Andrzej Walicki, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Leopold Tyrmand. Byli wśród nas tacy, którzy uważali się za marksistów, jak Henryk Markiewicz, człowiek prawy i koleżeński.

★ Czy te same osoby należały do „Klubu Logofagów”?

— Tylko częściowo. W „Logofagach” przeważali krakauerzy i prawnicy. Później kilku członków wywedrowało z Krakowa, ale większość pozostała mu wierna.

★ Z perspektywy czasu ten klub jawi się jako rodzaj snobistycznej loży. Jakie były wasze cele ideowe, zasady doboru? Czym naraziliście się, że was rozwiązano? Czytałem, że niektórzy członkowie klubu: Andrzej Ciechanowiecki i Andrzej Rozmarynowicz zostali skazani przez sądy PRL-u?

— To są w dużym stopniu mity. Nikt za działalność klubu nie był represjonowany. Ciechanowiecki istotnie dostał poważny wyrok i wiele lat spędził w więzieniu, ale nie za „Logofagów”. I nikt nas nie rozwiązywał - rozwiązaliśmy się sami, nie bez „koleżeńskich rad”.

A co do genezy i charakteru klubu, to był on rzeczywiście snobistyczny, przede wszystkim jednak z punktu widzenia intelektualnego.

Pan nie wyobraża sobie, jaka po 1945 roku była hossa na naukę, na dyskusję, na wzbogacenie własnych mózgownic. To była jakby naturalna reakcja na zagładę tak ogromnej części polskiej inteligencji. Więc jak umieliśmy, tak sposobiliśmy nasze mózgownice: zapraszaliśmy najciekawszych prelegentów z rozmaitych kręgów i orientacji: przez spotkania klubowe przewinęła się cała śmietanka z UJ: Adam Krzyżanowski, Roman Ingarden, Vetulani, Pigoń, Wyka, częstymi gośćmi byli redaktorzy „Tygodnika Powszechnego”, ale i Bolo Piasecki do nas trafił, przekonując nas do swej *Realpolitik*. Z pewnością nie byliśmy zwolennikami marksizmu, ale od prelegentów z tego kręgu nie stroniliśmy. Nam chodziło po prostu o maksymalnie szeroki wachlarz poglądów, bo konspirowaliśmy w naszych szarych komórkach, a nie w praktyce ówczesnej rzeczywistości, ale i to okazało się nadmiernie wywrotowe. Dano nam do zrozumienia – jak w tej fraszce Krasickiego: „O młodzi ludzie, źle się bawicie, dla was to igraszka, nam chodzi o życie”. W „Logofagach” terminowali m.in. obecny sekretarz PAU Józef Skąpski, niepoprawny pięknoduch wśród krakowskich prawników śp. Franciszek Studnicki, czy warszawiacy Andrzej Wielowieyski i Zygmunt Skórzyński. Nadal utrzymuje bliskie więzy z naszym *spiritus movens* Andrzejem Ciechanowieckim, znanym historykiem z Londynu, który zaraził mnie podwójnie: do historii sztuki i polityki.

★ Pierwsze pana prace naukowe z historii sztuki odnoszą się wyłącznie do tzw. dokumentacyjnej historii sztuki. Czy nie była to ucieczka przed obowiązującą w nauce w latach pięćdziesiątych ideologią marksistowską? Jak reagował pan na socrealizm?

— Byłem przy narodzinach socrealizmu. W 1949 roku uczestniczyłem w zjeździe młodzieży Wyższych Szkół Artystycznych, gdzie minister Sokorski ogłaszał podstawowe dogmaty socrealizmu. Doszło potem do spektakularnych posunięć, manifestacyjnego napinania mięśni: wyrzucono z katedry w Krakowskiej Akademii Muzycznej Stefana Kisielewskiego, a Tadeusza Kantora z Akademii Sztuk Pięknych.

Szybko się zorientowałem, że z przyczyn politycznych i doktrynalnych nie mam szans w uniwersyteckiej dyscyplinie historii sztuki, kiedy więc Jerzy Łoziński umożliwił mi pracę w tworzącej się przy Instytucie Sztuki PAN Pracowni Katalogu Zabytków, to przyjąłem ją z radością. Przez przeszło dwadzieścia lat prowadziłem żywot wagabundy i nie krzywdowałem siebie. Wraz z Marianem Korneckim zlustrowaliśmy mało znane i słabo udokumentowane w polskiej historii sztuki obszary: Krakowskie, Opolskie, Kujawy, Ziemię Chełmińską, zaglądało się często do przeróżnych dziur i pipidówek – i był to posmak jakiejś niepowtarzalnej przygody. Wiele z tych opracowanych przez nas zabytków już nie istnieje. Także myślę, że miało to sens. Ja lubiłem szperać, odkrywać, przy inwentaryzowaniu zastanawiać się nad strupieszalym jakimś zabytkiem. W dużej mierze na podstawie prac terenowych powstały moje rozprawy scjentystyczne: doktorat dotyczący rzeźby na Opolszczyźnie okresu renesansu i manieryzmu i habilitacja o mało znanej *Działalności artystycznej Tomasz Tretera (1547-1610)*.

★ Wagabunda dał znać o sobie również w szkicach i esejach. Mam na myśli dwa zbiory esejów wydanych w „Znaku”: *Żywe i martwe gralice* i *Wędrówki po Sarmacji europejskiej*.

— Pociągały mnie zawsze kontrasty polskiej duszy oglądane poprzez sztukę: zabytki codzienne i razowe, jak drewniana chata, beskidzki Nepomuk, wiejskie wizerunki Chrystusa Frasobliwego oraz formy napuszone-triumfujące: rozbuchane architektonicznie rezydencje magnackie z schyłku I Rzeczypospolitej, czy sarmacki portret trumienny.

★ W szkicu *Saturn polski i sarmacki Bachus* napisał pan: „I chwilami stojąc wobec zwierciadła naszej sztuki widzę, parafrazując Zbigniewa Herberta, jak za moimi plecami stoją dwa anioły: blade, złośliwy anioł Ironii i potężny pałający anioł Schizofrenii”.

— Wydaje mi się, że w historii polskiej sztuki i poezji miesza się przewrotnie element „bachiczny” i „saturniński”. Tak więc jedne i drugie składniki tych naszych temperamentów ujawniać się będą w naszej spuściźnie nieustannie: gdy w malowanych tryptykach średniowiecznych nurt zadumy i rezygnacji zderza się z jowialną gadatliwością na tematy postronne nieomal, w renesansie – gdy płaczkowie swych dzieł i Kassandry państwowości pleść będą przy kuflu grube dowcipy, a nawet w samym sercu sarmatyzmu, a więc zdawałoby się u apogeum władztwa bachusowego, rodzić się będą dzieła o wyraźnie saturnińskim zabarwieniu. Takie sprzeczności ujawniają się raz po raz: bachiczne wystroje kamieniczek Kazimierza, Zamościa i Lublina sąsiadować będą z saturnińskim eremem w Rytwianach, saturnińska *par excellence* Wespazjana Kochowskiego *Psalmodia polska* sąsiaduje z bachicznością wymuskanej i poniekąd ideowo antysarmackiej poezji wspaniałego Andrzeja Morsztyna. Przeskakując do Młodej Polski owo „rozdwojenie w sobie” demonstruje się wyraźnie u Malczewskiego, w poezji Kasprzowicza czy Leśmiana, choć równocześnie obok nich wyrasta olbrzymi saturniński cień Wyspiańskiego i malutki, „bachiczny” zdemonizowany cień Przybyszewskiego.

★ Wspomniał pan o złapanym już w młodości bakcyli polityki. Czym jest dla pana postawa obywatelska? Parafrazując tytuł książki Jacka Woźniakowskiego *Czy artyście wolno się żenić?* można zadać pytanie: czy historykowi sztuki wypada zajmować się polityką?

— Przyznam się, że już dobrze nie pamiętam, czy Jacek zalecał artystom żeniactwo, czy też nie. Akurat wśród historyków sztuki daje przykład zupełnie odwrotny: faceta, który nie tylko się ożenił, ale ma dużo dzieci, a ponadto czynnie się interesuje i angażuje w politykę. Estetyczne wysublimowanie nie musi zatem oznaczać wstrętu do polityki.

Mnie pasjonuje to, co się dzieje wokół. Nie potrafiłbym żyć nie wiedząc

np. czy Hutu wyróżniło więcej Tutsich czy Tutsi więcej Hutu? Interesuję się w ogóle polityką, tym co się wydarza w świecie, a w szczególności w moim kraju i na jego obrzeżach. Niedawno dostałem takie pytanie od pewnej redakcji: „Czy należy bać się Rosji?”. Odpowiedziałem zdecydowanie, że należy strasznie bać się Rosji. Nie zamierzam bynajmniej odmówić Rosjanom cech wybitnych, wyjątkowych zasług zwłaszcza w kulturze, ale kiedy się obserwuje u nich ten nawrót do komuny, wzrastające rzesze ludzi miłujących największą bestię XX wieku, jaką był Josif Wissarionowicz, to człowiek się pyta, czy koło historii nie odwróci się ponownie?

★ Co pan sądzi o miejscu symboli narodowych we współczesnej Polsce? Symbole powróciły, natomiast w powszechnym odbiorze ich rozumienie zdaje się być nikłe.

— Boję się symboli, gdyż posługując się nimi instrumentalnie można wszystko zamazać i zafałszować, jednocześnie jestem przywiązany do symboli i uważam je za rzecz niezbędną w życiu codziennym każdego narodu, polskiego w szczególności, bo miał swoją bardzo charakterystyczną i nie najweselejszą historię. Takim symbolem jest orzeł, dlatego tak zachwyciłem się wystawą w Zamku Królewskim w Warszawie, która ukazała dzieje tego naszego ptaszka.

Przeciętni ludzie skażeni PRL-em reagują na ogół bezrefleksyjnie na symbole. W PRL-u – jak wiadomo – symbole proletariackie dominowały nad narodowymi. Z kolei ciągle dają znać o sobie głosy nawiedzonych patriotów, którzy rozprawiają, czy na koronie orzełka powinien być krzyżyk, czy też nie? To Urban – który jest dla mnie wzorem nie do naśladowania – napisał, że Polacy najpierw orła koronowali, a potem ukrzyżowali. Otóż każdy historyk sztuki wie, że istnieją dwa typy koron: korona otwarta i zamknięta. Koronę zamkniętą zwieńcza krzyżyk, natomiast na koronie otwartej, a taką posiada nasz obecny orzeł, nie sposób umieścić niczego, gdyż pozbawiona jest ona charakterystycznych łączących się kabłąków.

★ Wkroczyliśmy w III Rzeczpospolitą, a w rzeczywistości ocieramy się ciągle o PRL-bis. Czym wytłumaczyłby pan erozję tzw. etosu narodowego, który był tak silny w okresie „Solidarności”?

— Na miłość Boską Częstochowską, czy dawne dzieje Rzeczpospolitej nie pokazują tegoż samego? Prywata w dawnej Polsce była tak przeogromna, że trudno tutaj mówić o etosie narodowym ogólnie przyjętym. Przez całe wieki Polacy interesowali się przede wszystkim własnym brzuchem, gardłem i kiesią. Powiedzenie, że szlachcic nigdy nie mówił o pieniądzach, jest najbzdurniejszym, jakie można bezkarnie powtarzać. Szlachta wyłącznie mówiła o pieniądzach i robiła biznesy, aby mieć ich najwięcej. Czy przeciętny obywatel wie, jaka była skala społecznego udziału w Powstaniu Styczniowym? Specjaliści nie są zgodni, w każdym razie, szacunek waha się od 1 do 2 procent. W historii Polski aktywne działania podejmowały zawsze wąskie grupy ludzi. Na ich hasła dawali się czasami nabrać przedstawiciele mas społecznych, tak jak pozwolili się omamić hasłami „Solidarności”, bo im się wydawało, że jak poprą „Solidarność”, to zaraz im będą dolary leciały z nieba do kieszeni. Przecież ich wcale nie obchodziła jakaś tam wolność prasy, wolność sumienia, które się tak pięknie wtedy deklarowało.

★ Znęca się pan nad ludem, a zapomina o grzechach elit. Czy elity polityczne – jeżeli już jesteśmy przy analogiach historycznych – dorastały do wzniosłych idei, które podejmowały? Czy typowe przywary szlacheckie, jak prywata i kłótniwość, nie odnoszą się do elit?

— To jest inna sprawa. Szkopuł w tym, że od XIX wieku – kiedy kształtowały się w Europie nowoczesne społeczeństwa – nie mieliśmy czasu na przeprowadzenie właściwej edukacji narodowej. Nie będąc zwolennikiem rządów II Rzeczpospolitej, które pamiętam z własnych, nie zawsze pozytywnych doświadczeń – w jednym bezsprzecznie cenię włodarzy, że zadbali o patriotyczne wychowanie młodego pokolenia, co w końcu pozwoliło nam przetrwać kataklizm II wojny światowej.

Do szkolnictwa i do wojska szli najlepsi. Była to autentyczna elita, zupełnie inaczej niż dzisiaj. Z perspektywy czasu mogą śmieszyć, głoszone tuż przed wybuchem wojny, deklaracje wojskowe: „Nie oddamy guzika”. Niemniej armia ta była przygotowana pod względem moralnym bez zarzutu. Powtórzę panu tylko rozmowę z O. Innocentym Bocheńskim, który mi powiedział tak: „Proszę pana, ja byłem kapłanem w II Korpusie i ja tych chłopców, którzy w dużej mierze zginęli pod Tobrukiem, Monte Cassino i w innych bitwach znałem bardzo dobrze, bo oni u mnie się spowiadali – i nie ma pan pojęcia, jacy to byli czyści ludzie”. Wie pan, jeśli tak powiedział stary złośliwiec Bocheński, to z pewnością nie koloryzował. Było tak naprawdę.

★ Pański instynkt społeczny sprawdził się m.in. poprzez działalność w Społecznym Komitecie Odnowy Zabytków Krakowa, któremu przewodniczy pan od siedmiu lat. Mówi się o panu, że jest pan najbogatszym człowiekiem w mieście...

— Czuwa nade mną Opatrzność, ale na opak. I tak też jest z tym bogactwem, którym się jedynie społecznie opiekuję i staram się wraz z kolegami z Komitetu sprawiedliwie dzielić. Nie wiem, jak długo wytrwam na pozycji społecznego cerbera, gdyż dla różnych lobby, działających w mieście staję się niewygodny. W moim życiu – jak w wierszu Herberta *O róży* – powstawały zawsze „koronacje zawile”.

Noty

O róży. Wiersz opublikowany w tomie *Struna światła*, wyd. 1 Czytelnik, Warszawa 1956, z dedykacją Tadeuszowi Chrzanowskiemu. Pierwsze wersje wiersza zapisane ołówkiem, ze skreśleniami i rysunkami róży na marginesach, znajdujemy w *Notatniku* poety (*Notatnik V*, 1951, Archiwum Zbigniewa Herberta, Biblioteka Narodowa w Warszawie, rp. akc. 17955, t. 31, akc. 17.841). Wiersz odnotowany również w almanachu „*każdej chwili wybierać muszę*”, z roku 1954, por. Zbigniew Herbert, *Bajki*, opr. Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2009, s. 78.

Na założenie albumu, 1952. Pierwodruk, Tadeusz Chrzanowski, *Powitanie lata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957, s. 98. Pierwsza wersja, kartka, zapis ołówkiem, tytuł *Założenie albumu*, druga wersja, maszynopis, tytuł *Założenie naszego albumu* [w:] brulion *Rytmy*, maszynopis, datowany 1953, Archiwum Rodzinne.

Monsieur Chardin, [brak daty]. Maszynopis, Archiwum Nauki PAN i PAU, Tadeusz Chrzanowski, KIII – 210, depozyt Fundacji Ciechanowieckich na Zamku Królewskim w Warszawie.

Życie przedmiotów, Andrzejowi Ciechanowieckiemu, 1948. Pierwodruk, „Tygodnik Powszechny” 1949, nr 32 (230); [w:] *Rytmy*, 1953, Archiwum Rodzinne, *Powitanie lata*, op. cit. s. 15.

Oda do malarza Atldorfera, [brak daty]. Pierwodruk, „Tygodnik Powszechny” 1949, nr 1 (199); [w:] Tadeusz Chrzanowski, *Wędrówki pięknoducha*, PAX, Warszawa 1951, s. 6-7.

List do Wincentego, [brak daty]. Pierwodruk, „Tygodnik Powszechny” 1949, nr 1 (199), [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 11.

Hieronimus Bosch, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny” 1949, nr 1 (199); [w:] *Wędrówki pięknoducha*, op. cit. s. 5-6; [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 12.

Przed obrazami Canaletta. 1957. Maszynopis, Archiwum Nauki PAN i PAU, KIII – 210, op. cit.

Sztuczne rokoko, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny”...

O trzech muzykach Beocjusza, z cyklu *Trzy ronda na temat muzyki*, 1950/51; [w:] *brulion Rytmy*, 1953.

O muzyce, *brulion Rytmy*, op. cit.

Świat malarza, 1949. Pierwodruk, „Słowo Powszechnie” 1956 nr 50, s. 4.; [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 20.

Wiersz prosty o kościele N.P. na Piasku we Wrocławiu, [brak daty]. Pierwodruk, „Tygodnik Powszechny” 1949...; [w:] *Wędrowni pięknoducha*, op. cit. s. 14; [w:] *Rytmy*, op. cit.

Na obraz z Chromanic. Zdjęcie z krzyża, 1951. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny”...; [w:] *Rytmy*, op. cit.

Stalle w Henrykowie, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny” 1952, nr 34, s. 1.

Mistrz z życia Marii, 1950. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny”...; [w:] *Rytmy*, op. cit.

Mistrz Teodoryk z Pragi, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny”...

Barok, 1947. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny”...[w:] *Rytmy*, op. cit.

Przelotnie, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny” 1949, nr 45 (243); [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 108.

Cyrograf, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny” 1952, nr 41, s. 2.

My także byliśmy w Arkadii, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny” 1951, nr 23, s. 1; [w:] *Rytmy*, op. cit., *Powitanie lata*, op. cit. s. 27.

O drzewach, Zbigniewowi Herbertowi, 1952. Pierwodruk *Powitanie lata*, op. cit. s. 31; [w:] *Rytmy*, op. cit.

Ci z AK, [brak daty]. Pierwodruk „Twórczość” 1956, nr 11, s. 56; „Twórczość” 1995 [w:] cyklu *Wspaniałe, zapomniane – wiersze z lat 1955-1993*, nr 9, s. 9.

Sen o Golfadenie, 1957. Pierwodruk „Twórczość” 1958, nr 11, s. 56.

O dziełach, 1950. Pierwodruk *Powitanie lata*, op. cit. s. 22; [w:] *Rytmy*, op. cit.

Oglądając sztychy, 1952. Pierwodruk „Twórczość” 1956, nr 9, s. 7; [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 29.

O goryczy, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny” 1951, nr 23 (325); [w:] *Rytmy*, op. cit.

O owocach, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny” 1951, nr 23 (325); [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 17.

Powitanie lata, [brak daty]. Pierwodruk [w:] *Powitanie lata*, WL, Kraków 1957, s. 39.

Prośba. W imieniu Teresy, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny”, 1949, nr 45 (243); *Powitanie lata*, op. cit. s. 94; [w:] *Rytmy*, op. cit.

W nocy jest inaczej, Jackowi Woźniakowskiemu, [brak daty]. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny” 1948, nr 26, s. 6.

O wyborze, Janowi Pawłowi Gawlikowi, 1949. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny”...; [w:] *Rytmy*, op. cit.; [w:] *Powitanie lata*, op. cit., s. 18.

Pochwała strof, 1950. Pierwodruk „Tygodnik Powszechny”...; [w:] *Rytmy*, op. cit.; [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 24.

Woda poetycka, [brak daty]. Pierwodruk *Wędrowki pięknoducha*, PAX, Warszawa 1951, s. 8; [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 10.

Miejsce na ziemi, Teresowi, 1949; [w:] *Rytmy*, op. cit.

Lubelskie, Matce, [brak daty]. Cykl wierszy w zbiorze *Rytmy*, zat. *Prywatne*.

Wiersze Lubelskie, z tytułami *Spojrzenie Pierwsze, Drugie, Trzecie*.

Z Dyariusza włóczęgi. Cykl [w:] *Wędrowki pięknoducha*, op. cit., s. 9, 10/11, 12, 13; [w:] *Powitanie lata*, op. cit., s. 47-88. Pierwodruki wybranych wierszy w „Tygodniku Powszechnym” w l. 1950-1955. *Zamek Świny*, „Życie Literackie”, 1955, nr 38, s. 3; *PGR Myców*, „Nowe Sygnały” 1956, nr 2, s. 1 i *Warmia i Mazury* 1956, nr 10, s. 7; *Szkic nie napisanego reportażu o Kostrzynie*, 1954, Archiwum Nauki PAN i PAU, depozyt Fundacji Ciechanowieckich na Zamku Królewskim w Warszawie.

Palcówki. Pierwodruki wybranych wierszy w „Tygodniku Powszechnym”; *Wiersz na córkę*, „Życie Literackie”, 1955, nr 38, s. 3; [w:] *Powitanie lata*, op. cit. s. 105-118.

Nieznane. Wiersze: ...*W moim kraju*, 1957, *Nauczyliśmy się kraść*, 1956, *Ukraińcy*, 1945, *Łuk*, 1960, Archiwum Nauki PAN i PAU, op. cit.; *Jazz*, 1958, Archiwum Rodzinne – Elżbieta Chrzanowska-Kluczevska, Agnieszka Chrzanowska-Kozak.

Limeryki. *Takowy panegiryk wiślany* (dedykowany Zdzisławowi jun. Żygulskiemu), z podpisem 7 lipca A.D. MCMXCIX. *Rymowana* (chwilami) *laudacja ku czci Stanisława Lema jubilata*, [brak daty]. Archiwum Nauki PAN i PAU, op. cit.

Przekłady. Poezja francuska [w:] *Antologia poezji francuskiej*, t. 1, *Od Sekwencji o św. Eulalii do Agrippy d’Aubigné*, pod red., oprac. Jerzego Lisowskiego, Czytelnik, Warszawa 2001, s. 205, 379, 382, 567; t. 2, *Od Malherbe’a do Chéniera*, s. 119, 145, 261, 325. Pierwodruki: Charles d’Orléans (1394-1465), *Modlitwa o pokój*, Guillaume du Bartas (1544-1590), ...*Budowniczego świata wola*, „Tygodnik Powszechny” 1967, nr 24 (957).

Przekłady. Poezja muzyczna [w:] Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków. *Czy wiesz, co znaczą róży kwiat*: na głos z fort./Karol Zeller; słowa M. West i J. Held; (przekł. z niem.), op. cit. 1961, *Kiedy śnię*: na głos i fort./Franciszek Liszt; słowa Wiktor Hugo, (przekł. z fr.), op. cit., 1957, *Ja kocham cię*: na głos i fort./Edward Grieg; słowa Jan Christian Andersen, (przekł. z niem.), op. cit., *Tyś mój skarb*: na głos i fort./ Giuseppe Giordani, (przekł. z wł.), op. cit.,

Mandolina: na głos i fort./Claude Debussy; słowa Paul Verlaine (przekł. z fr.), op. cit., *Gdzież oni dziś*: na głos i fort./Edward Grieg, słowa Henryk Heine (przekł. z niem.), op. cit., *Kołyski*: na głos i fort./Gabriel Fauré; słowa Sully Prudhomme; (przekł. z fr.), op. cit., *Zwada między Febusem a Panem*, Aria Monusa z Kantaty nr 201: na głos i fort./Jan Sebastian Bach; słowa: Picander, (przekł. z niem.), op. cit. 1959, *Aria Dalili* z II aktu opery *Samson i Dalila*: na głos i fort./Kamille Saint-Saëns; słowa Ferdynand Lemaire, (przekł. z fr.), op. cit. 1958, *Pieśń konkursowa Waltera* z III aktu opery *Śpiewacy norymberscy* na głos i fort./Ryszard Wagner; słowa R. Wagner, (przekł. z niem.), op. cit. 1959, *Pieśń do gwiazdy* z III aktu opery *Tannhäuser*, na głos i fort./Ryszard Wagner; słowa R. Wagner, (przekł. z niem.), op. cit.

Opowiadania. Szafy. Pierwodruk, „Tygodnik Powszechny” 1977, nr 26, *Lerech*. Pierwodruk „Twórczość” 1956, nr 8, s. 10.

Zamiast Posłowia. „Taka moja sarmacka gęba”, z Tadeuszem Chrzanowskim rozmawia Zbigniew Baran, [za:] Zbigniew Baran, *Apokalipsa i nadzieja. Portrety współczesne*, C&D International Editors, Kraków 2000, s. 51-61.

Spis treści

5	O róży
15	Wstęp
	Na założenie albumu
30	Na założenie albumu
32	Monsieur Chardin
34	Życie przedmiotów (Andrzejowi Ciechanowieckiemu)
36	Oda do malarza Altdorfera
39	List do Wincentego
40	Hieronymus Bosch
42	Przed obrazami Canaletta
44	Sztuczne rokoko
47	O trzech muzykach Boecjusza
48	O muzyce
50	Świat malarza
53	Wiersz prosty o kościele N.P. Marii na Piasku we Wrocławiu
54	Na obraz z Chromanic. Zdjęcie z krzyża
57	Stalle w Henrykowie
58	Mistrz życia Marii
59	Mistrz Teodoryk z Pragi
60	Barok
63	Przelotnie
64	Cyrograf
66	My także byliśmy w Arkadii...
68	O drzewach (Zbigniewowi Herbertowi)
70	Ci z AK
72	Sen o Goldfadenie
74	O goryczy

- 75 O owocach
77 O dziełach
78 Oglądając sztychy
80 Powitanie lata
82 Prośba
83 W nocy jest inaczej (Jackowi Woźniakowskiemu)
84 O wyborze (Janowi Pawłowi Gawlikowi)
86 Pochwała strof
87 Woda poetycka
88 Miejsce na ziemi (Teresowi)

Lubelskie

- 95 Krajobraz (Matce)
96 Kanikuła
97 Sielanka
99 Zima wiejska
101 Coda

Z dyariusza włóczęgi...

- 104 Jakieś miasto
106 Jelenia Góra (Adiemu Ciechanowieckiemu)
108 O miastach
109 Wrocław
112 Brzeg
113 Jawor
114 Stary Gdańsk
116 Reszel
118 Mitologiczne miasteczka

- 124 Góry Świętokrzyskie
127 Zakopane
132 Wiersz tłumaczący
134 Niepoważne uwagi o Łagowie
136 Byczyna
137 Zamek Świny
138 Szkic nie napisanego reportażu o Kostrzynie
143 PGR Myców

Palcówki

- 148 Palcówki
149 Pochwalam tyle różnych spraw...
150 Piosenka o moim świecie
151 Piosenka o rzemiośle
153 Piosenka na serio
154 Wiersz na córkę
156 O bałaganie

Nieznane

- 161 * * *
163 Nauczyliśmy się kraść
164 Ukraińcy
166 Jazz
168 Łuk

Limeryki

- 172 Itakowy panegiryk wiślany
174 Rymowana (chwilami) laudacja
ku czci Stanisława Lema jubilata

Przekłady | Poezja francuska

- 178 Charles d'Orléans – Ballada
180 Joachim du Bella – Oliva

182	Guillaume de Salluste du Bartas
183	Jean Ogier de Gombauld – Mór ludobójczy
184	Jean de Lingendes – Stance na młodą kurtyzanę
188	Charles Vion Dalibray – Na klepsydrę
189	Saint-Amant – Fajka
	Przekłady Poezja muzyczna
190	Karol Zeller – Czy wiesz, co znaczy róży kwiat
192	Franciszek Liszt – Kiedy śnię
194	Edward Grieg – Ja kocham cię
196	Giuseppe Giordani – Tyś mój skarb
197	Claude Debussy – Mandolina
198	Edward Grieg – Gdzież oni dziś
199	Gabriel Fauré – Kołyski
200	Jan Sebastian Bach – Zwada między Febusem a Panem
202	Kamille Saint Saëns – Aria Dalili
204	Ryszard Wagner – Śpiewacy norymberscy
206	Ryszard Wagner – Pieśń do gwiazdy
207	Ryszard Wagner – Ballada Senty
	Opowiadania
213	Szafy
225	Lerech
263	Fotografie
	Listy
292	Listy Zbigniewa Herberta do Tadeusza Chrzanowskiego
302	Listy Tadeusza Chrzanowskiego do Zbigniewa Herberta
319	Zamiast Posłowania – Taka moja sarmacka gęba
335	Noty
344	Spis fotografii

Spis fotografii

- 10 Mgła, Saloniki, lata 50.
14 Tadeusz Chrzanowski, lata 30. fot. nieznanym
16 Szczęśliwe lata, rok 1936 fot. nieznanym
18 Ded – poeta, rok 1954 fot. W. Puchalski
90 Teres z „Punią”
94 Ziemia fot. W. Puchalski
98 Moroczyn, lata 70.
100 Wiosna
126 Droga na Czerwone Wierchy fot. W. Puchalski
160 Moroczyn, lata 30. fot. nieznanym
212 Ded z jemiołuszką, rok 1956 fot. nieznanym
224 Lerech, Hrubieszów, rok 1937
264 W porcie, Grecja, lata 50.
265 Iraklion, Kreta, lata 50.
266 W porcie, Grecja, lata 50.
267 Grecja, lata 50.
268 bez tytułu, Istambuł, lata 50.
269 Zaulek, Istambuł, lata 50.
270 Iraklion, Kreta, lata 50.
271 bez tytułu
272 W porcie, lata 50.
275 Istambuł, lata 50.
276 Maski, Grecja, lata 50.
278 Manekiny, Londyn, lata 50.
279 Big Ben, Londyn, lata 50.
281 z cyklu monumenty, Istambuł, lata 50.
282 Pielgrzym, Polska, lata 60.
285 z cyklu monumenty, lata 50.
286 Akropol, lata 50.
287 Akropol, lata 50.
289 Mgła, Grecja, lata 50.
345 bez tytułu



Projekt zrealizowano przy udziale finansowym
Gminy Miejskiej Kraków



magiczny
KRAKÓW
www.krakow.pl

oraz dzięki wsparciu
Fundacji Zygmunt Zaleski Stichting



ZYGMUNT
ZALESKI
STICHTING

wiersze, opowiadania, przekłady, listy
Tadeusza Chrzanowskiego do Zbigniewa Herberta
© Teresa Chrzanowska, Elżbieta Chrzanowska-Kluczevska,
Agnieszka Chrzanowska-Kozak

zdjęcia Tadeusza Chrzanowskiego i Włodzimierza Puchalskiego
© Elżbieta Chrzanowska-Kluczevska

wiersz Zbigniewa Herberta „O róży” oraz listy
Zbigniewa Herberta do Tadeusza Chrzanowskiego
© Katarzyna Herbert, Halina Herbert-Żebrowska

fragmenty zapisów nutowych
© Polskie Wydawnictwo Muzyczne S.A.

wstęp, wybór, opracowanie
© Zbigniew Baran

Wykorzystano zbiory Fundacji im. Ciecchanowieckich zdeponowane
w Archiwum Nauki PAN i PAU w Krakowie, zbiory Archiwum Zbigniewa
Herberta Biblioteki Narodowej w Warszawie oraz zbiory własne rodziny
Tadeusza Chrzanowskiego

Spadkobiercy Tadeusza Chrzanowskiego i Zbigniewa Herberta
udzielili zgody na publikację listów

Redakcja | Danuta Harnik
Projekt, skład | Grupa Tomami
Wydawca | Grupa Tomami, www.tomami.pl

Kraków © 2009
ISBN 978-83-60246-75-7

